

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/259

1969



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

H. GRYNBERG :

POCHODZENIE SPOŁECZNE CZYLI ŁAPA

P. PREISS :

WIZYTA W MOSKWIE

K. SABBAT :

ROLA POLITYCZNA EMIGRACJI

SPIS RZECZY

—	<i>Wpłaty na Fundusz „Kultury”</i>	3
Józef Wittlin:	<i>Na pożegnanie Wierzyńskiego</i>	5
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Przebitý światłem</i>	7
Józef Łobodowski:	<i>Poeta zaangażowany</i>	9
Wacław Iwaniuk:	<i>Ostatni list</i>	14



Stanisław Zarzewski:	<i>Czytelnictwo na emigracji — 1967 roku (dok.)</i>	19
----------------------	---	----



Czesław Miłosz:	<i>Zapísane wczesnym rankiem</i>	43
Henryk Grynberg:	<i>Pochodzenie społeczne czyli Łapa</i>	45

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Refleksje współczesne (2)</i>	58
Londyńczyk:	<i>Kronika londyńska</i>	68

SĄSIEDZI

Paulina Preiss:	<i>Wizyta w Moskwie</i>	75
—	<i>Zła wola czy ignorancja</i>	83

SPRAWY POLAKÓW

Kazimierz Sabbat:	<i>Rola polityczna emigracji</i>	86
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Trockij o literaturze</i>	94
Bogdan Czaykowski:	<i>Literatura i polityka (1)</i>	98

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

James Kavanaugh:	<i>NIE staremu Kościołowi</i>	107
—	<i>List księży Dekanatu Londyn</i>	114

K R A J

—	<i>Nie zagdzam się z Baumanem</i>	116
Bogdan Adamski:	<i>Requiem dla socrealizmu w architek-</i> <i>rze</i>	119
—	<i>Czarna lista</i>	123

KRONIKA KULTURALNA

—	<i>Komunikaty</i>	125
---	-------------------------	-----



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	128
------------	----------------------------------	-----

K S I A Ź K I

Józef Lichten:	<i>„... Jeśli my milczeć będziemy kamienie wołać będą”</i>	136
Jan Kowalik:	<i>Bibliografia czasopism polonijnych w USA</i>	142
Maria Dobkova:	<i>Socjologia sercem pisana</i>	147
J. St. Podborski:	<i>Interesujące wydawnictwo</i>	151
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	154



Zofia Hertz:	<i>Humor Krajowy</i>	155
--------------	----------------------------	-----



M. Gruby, B. Kawecki, Z. Markiewicz, K. Popiel:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień-Avril

1969

INSTYTUT



LITERACKI

DO PRENUMERATORÓW

Otrzymujemy masowo reklamacje z U.S.A. i częściowo z Kanady, że numer Kultury Styczeń/luty rb. nie dotarł do Czytelników do połowy marca rb. Wyjaśniamy, że numer ten był ekspediowany do wszystkich prenumeratorów jednocześnie 8 stycznia rb. Zwłoka jest spowodowana długotrwałym strajkiem dokerów w U.S.A. jak i złym funkcjonowaniem poczty amerykańskiej. Niestety nie mamy na to wpływu. W razie zaginięcia numeru postaramy się — w miarę możliwości — wysłać ten zeszyt ponownie. Sugerujemy natomiast masowe wysyłanie reklamacji na adres:

POST OFFICE DEPARTMENT
OFFICES AT HEADQUARTERS
WASHINGTON, D.C. 20260.

Wpłaty na Fundusz «Kultury»

Stanisław M. Barański, San Francisco, Cal. (USA)	F. 24,50
Bronisław Bogacki, Wellington (N. Zelandia)	F. 27,40
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz czwarty	F. 49,50
Aleksander Bujalski, Dallas, Tex. (USA)	F. 122,50
Inż. Kazimierz Czarkowski, Cicero, Ill. (USA)	F. 49,00
Czytelnik z Polski po raz szósty	F. 12,00
Aleksandra Drabczyk, Toronto, Ont. (Kanada) w rocznicę śmierci śp. Męża Feliksa, b. długoletniego prenumeratora „Kultury”	F. 112,50
Gen. J. A. Grobicey, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 22,50
Władysław Jarek, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 22,50
Irena Jarema, Montreal, Que. (Kanada)	F. 22,50
A. Jaremowicz, Hillsport, Ont. (Kanada)	F. 9,00
St. Janiga, Montreal	F. 9,00
Stanisław Kajzer, Wellington (N. Zelandia)	F. 27,40
E. Kochańczyk, Montreal	F. 9,00
Dr Jan Bogusław Kon, Montevideo, po raz trzeci	F. 49,00
St. Kowalczyk, Wellington, (N. Zelandia)	F. 27,40
Edmund Kowalewski, Revelstock, B.C. (Kanada), po raz drugi	F. 31,50
Jadwiga Korchynsky, Bethel Park, Pa. (USA)	F. 24,50
Jan Kowalski, Wellington (N. Zelandia)	F. 27,40
St. Lewicki, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 4,50
Witold J. Łukaszewski, Miami, Fla. (USA), po raz trzeci	F. 24,50
Józef Mendrun, Wellington (Nowa Zelandia)	F. 27,40
Edward Mroczek, Wellington (N. Zelandia)	F. 27,40
Eugeniusz Pawlak, Wellington (N. Zelandia)	F. 27,40
George Petry, Chicago, Ill. (USA)	F. 122,50
Karol Pietkiewicz, Wellington (N. Zelandia)	F. 27,40
Jan Piórkowski, Passaic, N.J. (USA), po raz dziewiąty	F. 24,50
S.K., River Forest, Ill. (USA), po raz osiemnasty	F. 78,50
J. Size, Montreal	F. 9,00
Adam Snarski, Wellington (N. Zelandia)	F. 27,40
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz czwarty	F. 98,00
S.P.K. w Nowej Zelandii	F. 54,75
St. Stachelski, Johannesburg	F. 60,00
Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii	F. 54,75
Janina Surynt-Waroczewska, Toronto, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 112,50

Helena i Witold S. Sworakowscy, Stanford. Cal. (USA)	F.147,00
T. R., Paryż	F. 25,00
Bożena Teisler, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 22,50
Zygmunt W. Węgorzek, Wellington (N. Zelandia)	F. 27,40
Franciszek Zajdler, Wellington (N. Zelandia)	F. 27,40
Bezimiennie, Wiedeń	F. 37,00
<i>Edward Puacz, Chicago, Ill. (USA) nadesłał następujące kwoty wplacone na jego ręce:</i>	
Aloyzy Mazewski, Prezes Zw. Narodowego Polskiego i Kongresu Polonii Amerykańskiej	F.122,50
Józef Pranica, Prezes Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickie- go w Ameryce	F.122,50
Adela Łagodzińska, Przewodnicząca Zw. Polek w Ameryce	F. 49,00
Stanisław Piotrowicz, sr., Prezes Polsko-Amerykańskiej Rady Emerytów	F. 49,00
Leona Uchwat	F. 49,00
Eugenia Kostańska	F. 24,50
Władysława Niedziałkowska, Edward Puacz, Kazimierz Kruszewski i Władysław Rzeszot — dla uczczenia pamięci wybitnego so- cjalisty polskiego Zygmunta Zaremby złożyli razem	F.122,50
<i>Księgarnia S.P.K. w Londynie otrzymała następujące wpłaty na Fundusz „Kultury”:</i>	
M. Włodkowska, Londyn	F. 24,00
A. Rocławski, Londyn	F. 25,00
J. Radomyski, Londyn	F. 26,50
J. Marcinkiewicz, High Wycomb	F. 24,00
J. Czyżewski, Derby	F. 24,00
E. Baczyński, Reading, po raz ósmy	F. 30,00
A. Bogusławska, Londyn	F. 24,00
J. Gogulski, Londyn	F. 25,00
K. Brzozowska, Londyn	F. 24,00
Bezimiennie, Londyn	F. 18,00
Piotr Bukraba, Lafayette, La. (USA)	F. 30,00

DZIĘKUJEMY!

W sobotę 22 marca rb. odbył się w Melbourne, w The Dorchester Inauguracyjny Bal Sezonu, zorganizowany przez Polski Komitet Funduszu Olimpijskiego w Melbourne. Dochód został przeznaczony na Fundusz „Kultury”.



Znany poeta, Wacław Iwaniuk, który jest kanadyjskim korespondentem „Kultury” przystąpił do zorganizowania „Towarzystwa Przyjaciół Kultury paryskiej”, rozsyłając „apel-zaproszenie” do wybitniejszych przedstawicieli polskiej emigracji w Kanadzie. Po zgłoszeniu się dostatecznej ilości osób będzie zwołane zebranie organizacyjne przyszłego Towarzystwa. Wszyscy chętni proszeni są o komunikowanie się z p. Wacławem Iwaniukiem, 263 Keewatin Ave., TORONTO 12, Ont. Tel.: 481 93 63.

Kazimierz Wierzyński

NA POŻEGNANIE WIERZYŃSKIEGO

W siedemdziesiątym piątym roku życia poeta Wierzyński umarł młodo. W tym powiedzeniu nie ma przesady, wywołanej pozgonnym żalem.

Jesienią 1964 roku obchodziliśmy w Nowym Jorku siedemdziesięciolecie Wierzyńskiego. Na wieczorze jubileuszowym w sali teatru Barbizon-Plaza miałem zaszczyt mówić o autorze świeżo wydanego zbioru wierszy „Kufier na plecach”. Sięgając w głąb tego kufra, gdzie piętrzyły się przeróżne smutki, żale, lęki i niepokoje, ułożone w gładkie lub częściej w poszarpane strofy, powiedziałem wtedy, iż gdyby Wierzyński wciąż jeszcze pisał, że ma „zielono w głowie i fiołki w niej kwitną”, że jest „jak szampan lekki, doskonały”, a świat „zakwitał bukietem piękności, który się wkoło, jak wieniec obrasta” — byłby zgrzybiałym starcem. Dziś muszę to powtórzyć, ale bez obietnicy, danej wówczas, iż będę przemawiał na obchodzie osiemdziesięciolecia Wierzyńskiego. Niestety. I powtarzam: dlatego, że autor „Wiosny i wina” w ciągu tylu lat wiernej i wytrwałej służby poezji zmieniał się niemal do niepoznaki i, jak sam w „Kufierze na plecach” wyznał, „pisze pod rozpacz, pod gniew”, „pod wszystko złe i najgorsze”, przeto właśnie pozostał młody. Świeże bowiem, rzec by się chciało młodzieńcze, były reakcje siedemdziesięcioletniego poety na otaczający go świat i na burzliwe przemiany, jakim ulega w nim stwór z rodzaju „Homo- ledwo Sapiens”, żeby powtórzyć słowa poety z wiersza pt. „Strachy”. A ten stwór czy to skazany na samotność jako myśląca i czująca jednostka, czy też jako tzw. pionek, skazany na życie i śmierć w bezdusznej i odwrzuconej masce, stał się obcy samemu sobie i obcy wszystkiemu, cośmy

niegdyś, może zbyt optymistycznie, uznali za cechy człowieczeństwa.

Wierzyński, w ostatnich dziesięciu latach pulsującej goryczą twórczości, był jednym z najwybitniejszych wyrazicieli alienacji człowieka. W tej naturalnej ewolucji od młodzieńczej, nieraz buńczucznej beztroski autora „Wiosny i wina” i „Wróble na dachu”, w ewolucji entuzjasty „Laurów Olimpijskich”, do beznadziejnego pesymizmu, katastrofizmu i rozdzierającego sarkazmu autora „Czarnego poloneza”, przejawia się swoisty witalizm i nie słabnąca energia twórcza poety, którego dzisiaj pożegnać musimy na zawsze. Trudno nam pogodzić się z tym faktem. Trudno oswoić się z tym, że skończył się tak bardzo żywy udział autora „Tkanki ziemi” w tragicznej alienacji współczesnego człowieka. Wierzyński nie odgradzał się swą poezją od klątwy ciężającej nad nami, ale tę poezję, jak roboczego wołu zaprzął do pług, którym chciał przeorać oporną glebę ludzkiej kondycji, aby w niej mogło mimo wszystko zakiełkować ziarno pod pożywny chleb. Do końca zachował Wierzyński twórczy niepokój. I to jest cechą młodości. Nie było w nim zgody na to, co się dzieje na świecie, a zwłaszcza w dzisiejszej Polsce, nie było w nim rezygnacji będącej podobno mądrością, ale częściej cechą starczego zobojętnienia. Nie, nie chciał Wierzyński pogodzić się z porządkiem a raczej z nieporządkiem tego świata i do końca zakładał swe głośnie, namiętne, niekiedy aż gwałtowne veto przeciw teraźniejszości, przez co nie chcemy powiedzieć, iż, zwyczajem ludzi starych, był chwalcą czasów minionych. Nie uciekał Wierzyński od swego czasu, lecz zawsze odważnie wychodził mu na przeciw i maszerował rześkim krokiem, jak niestrudzony wędrowiec, wśród nieprzyjaznych wichrów i kurzawy, oślepiającej szeroko otwarte oczy. Nigdy też nie zasklepiął się w swych prywatnych troskach, ani nie rozsmakowywał się w swych twórczych radościach. Nie umiał spoczywać na laurach, chociażby olimpijskich. I przez to świeży był nawet tam, gdzie pisał o hańbach, upadkach i zagładach. Odbył daleką drogę od dionizyjskich szarów i zawadiackich uniesień, tak daleką, jak odległa była jego droga z podkarpackiego Drohobycza do Nowego Jorku i atlantyckich zatok, aż po ostatni etap jego ziemskiej wędrówki — Londyn. Zawsze w ruchu, rzadko używał sobie wytchnienia, rzadko przystawał na swych drogach, nie poddając się znużeniu. Jeśli ruch, ustawiczna zmiana, nie słabnąca wrażliwość i czujność są cechami młodości — to cechy te zachował Wierzyński do końca.

Uczono nas, że ulubieńcy bogów umierają młodo. Kazimierz Wierzyński był ulubieńcem i bogów i ludzi. Umarł młodo.

Józef WITTLIN

PRZEBITY ŚWIATŁEM

Najpierw była korespondencja na linii Londyn - Long Island. Spotkanie nastąpiło wkrótce po przyjeździe Wierzyńskiego do Europy, na kongresie PEN-Klubów w Frankfurcie. Dość wcześnie bym mógł jeszcze, mimo dwóch niedawnych ataków choroby, zobaczyć jego legendarną „wieczną młodość”. Potem Włochy. „Wieczna młodość” trwała dalej, ale była już inna: wzbogacona i pogłębiona przez doświadczenie, chwilami pełna goryczy i złych przeczuc, częściej zamyślona i jakby nieobecna — „nocna rozmowa miłości z rozpaczą o szczęściu w gorzkim bezradnym istnieniu”. Młodzieńcze *Wróble na dachu* śpiewały teraz nowym i dojrzalszym językiem w *Na gałęzi*: „Wszyscy tak żyją jak gdyby żyć mieli wiecznie, tylko my na gałęzi nie”. Miejsce *Wiosny i wina* zajął „haust czerwonej od ognia jesieni i czarny osad na dnie”.

Kiedy zapadła decyzja że swój wygnaćczy „kufer na plecach” rozpakuje na dłużej we Włoszech, zapytał mnie w liście z Paryża (po przeczytaniu jakiegoś ogłoszenia w gazecie) o Positano. Pamiętam moją odpowiedź. Zaczynała się od włoskiego okrzyku: *Per carità!*, co po polsku znaczy „Na miłość boską!”. Positano jest śliczną miejscowością na Wybrzeżu Amalfitańskim, ale nie ma tam ani jednego płaskiego kawałka terenu; ciągłe schodzenie w dół i wchodzenie pod górę. Zamieszkał więc w Rzymie, w Palazzo Pasolini koło Campo dei Fiori, z widokiem na pożółkłe dachówki i rdzawe fasady starego miasta. Lubił Rzym i równocześnie czuł się w nim osamotniony. Zdarzało się że pisał do mnie do Neapolu: „Przyjedź, tu same mury”. Po przyjeździe nakręcałem zawsze na dworcu jako pierwszy jego numer telefonu. I na ogół prosto z dworca ruszałem do Palazzo Pasolini.

W jakiś czas po jego osiedleniu się w Rzymie Witold Zahorski urządził mu wieczór autorski w polskiej sali parafialnej na Botteghe Oscure. Przemawiałem na tym wieczorze, później ogłosiłem mój tekst po włosku, wraz z przekładami kilku jego wierszy, w tygodniku *La Fiera Letteraria*. Czytelników włoskich najbardziej uderzył wiersz, który i ja powtarzałem sobie bezustannie w myślach ilekroć dochodziło do naszych spotkań:

*A może mi się przywidziało,
Może to deszcz i noc i potem
Lustro naprzeciw okna dniało
I wiatr przewracał się z łoskotem.*

*I nadszedł świt nieznany, drżący,
Na nowy dzień mnie wołał w śnie tym
I obudziłem się krzyczący,
Przebity światłem jak sztyletem.*

Był to tylko zachwyt dla jednego z najpiękniejszych współczesnych wierszy polskich? Czy dołączyło się do niego coś z natrętnego skojarzenia wizualnego? Wysoki, wciąż prosty i smukły, gdy zapadał nagle w swoje absencje mroku i odrętwienia aby po chwili ocknąć się znowu i odgiąć, wyglądał naprawdę jak przebity włócznią światła. Przyplątywały się też echa innych jego „jesiennych” wierszy, przede wszystkim *Piątej pory roku* i *Słowa do orfeistów*. „Ptak przeleciał przeze mnie, ptak, i drzwi zostawił otwarte...”. Albo: „Teraz tu słyszę czego nikt nie słyszy, i widzę rzeczy na skroś i spod spodu, i pełny jestem śmierci jak ciszy, i pełny wieczności jak chłodu”. W *Słowie do orfeistów* ta nowa struna jego poezji zadźwięczała szczególnie czysto, z absolutną świadomością twórczą. „Kto za mną staje nie wiem, ale wiem że tam jest, co mówi nie wiem, ale powtarzam to za nim, nie słyszę tych słów, ale napisać je umiem, i to jest tak ważne że o nic więcej nie pytam. Dawniej oglądałem się za siebie, dawniej chciałem spojrzeć mu w oczy, lecz znikał nim pochwyciłem rys jego kształtu...”. Aż do wspaniałego akordu końcowego: „I rozumiałem istotny los Orfeusza, że miłość jest ustawiczną groźbą utraty. Więc wołałem was, orfeisci, jeśli kto mi zaufa, powtarzajcie słowa podszeptywane, nie patrzcie kto stoi za wami, dobrze, cudownie że jest”. Ten właśnie wiersz miał głównie na uwadze Hostowiec, pisząc w *Liście do Kazimierza Wierzyńskiego* o „eksploracji strefy granicznej na której sprawy ludzkie się kończą i za którą więcej nic nie ma”. Eksplorator widział w niej do końca ławice światła, nożem przecinające od czasu do czasu ciemność. Do tej wizji dostosował swój język poetycki. Był to język zwięzły, oszczędny, prawie epigramatyczny. Nie bez powodu przytoczyłem wyżej kilka strof bez cezury. Mogłyby służyć za dowód słuszności proroctwa Oskara Miłosza, że forma nowej poezji będzie formą Biblii, zbliży się do prozy wykuwanej w wersetach.

Po raz ostatni spotkaliśmy się równo rok temu w Londynie. Nie wie się nigdy na tej rozsianej po świecie emigracji, kiedy spotkania z przyjaciółmi są pożegnaniem na zawsze. Mimo że dzień był chłodny i deszczowy, uparł się żeby wyjść razem ze mną z domu po popołudniową gazetę. Rozstaliśmy się na rogu Gloucester Road, ale idąc w stronę metra obejrzałem się jeszcze w miejscu z którego był widoczny. Wracał przygarbiony, skurczony, tym razem aż po próg swego domu nie przebity światłem.

Trudno w to uwierzyć, a jednak tak było. 14 lutego rano poczta przyniosła w Neapolu świeży numer *Wiadomości* z jego wierszami z podróży do Grecji w roku 1967. Przyglądałem się długo włamanej w nie dużej fotografii, która przedstawiała go wchodzącego z żoną pod górę na Akropolu. *Per carità!* — wyrwało mi się w duchu. W tej chwili zadzwonił telefon. Był to telefon z Paryża z wiadomością o jego śmierci.

Można go było zaklinać i błagać, nic to nie pomagało jeśli czuł że uda mu się nasycić nowymi treściami swoją poezję. *W Tkance ziemi* jest wiersz zatytułowany *Badania lekarskie*:

*Wysłuchali je, opukali je:
Dobrze się trzyma, zdrowo.
Zapomniałem spytać się tylko
Które z nich, serce czy słowo.*

*Prześwietlili je, uziemili je
Ściegiem na kardiogramie,
Choć przecież lata, wysoko lata
I prawdę mówi, nie kłamie.*

*Szpiegowali je, osaczali je
Na swym medycznym tropie,
Z wszystkich sekretów obnażali
Drżące na fluoroskopie.*

*I po co mi to? Czy który z nich wie
Kiedy mnie tu uśmiercą?
Jeśli mi słowo bić przestanie,
Co mi po sercu.*

Jego ostatni tomik *Sen mara*, poprawiany jeszcze na godzinę przed śmiercią, świadczy że słowo przestało bić dopiero z sercem. Wolno go nazywać poetą szczęśliwym.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

POETA ZAANGAŻOWANY

Kazimierz Wierzyński debiutował w roku 1919, a więc twórczość jego obejmuje całe półwiecze. W ciągu tych pięćdziesięciu lat wydał, nie licząc prozy przeszło dwadzieścia tomów wierszy.

Pośmiertnie mają wyjść jeszcze dwa. Poeta zmarł w 75-tym roku życia. Czy można zatem mówić o zgonie przedwczesnym?

Dla jego rówieśników, czy też dla nieco młodszych, którzy z przejęciem i zachwytem chłonęli pierwsze zbiory wierszy na ławie szkolnej, w owym okresie ogromnej poczytności poezji Polski ledwie odrodzonej, Wierzyński pozostał na zawsze autorem przede wszystkim „Wiosny i wina”, „Wróble na dachu”, „Pamiętnika miłości”, „Lauru olimpijskiego”. A więc poetą młodzieńczego optymizmu, upojenia życiem, ekstazy miłosnej, urody i tężyzny fizycznej. To rozumiałe. Dla starszej już pani, która w latach dwudziestych wpisywała do pensjonarskiego sztambucha koleżanki — i jej wpisywano — „wiosna i wino: dwa płuca oddechem młodym wezbrane...”, albo „jeno radości, radości, radości...”, albo „w słonecznym blasku pozostał stopy twojej ślad...”, tamte przeżycia, tamte wspomnienia są najważniejsze. Do tego stopnia, że Wierzyński dojrzały, pochylający się nad sensem istnienia, nad tragiczną maską historii, cóż dopiero wieloletnim wysiłkiem zmieniający, odnawiający swój warsztat twórczy, stawał się mniej ważny, nieautentyczny, ba zdradzający własną młodość.

Zdarzały się i zdarzają nieporozumienia dość kompromitujące. Ktoś z wysokości swej awangardowej zarozumiałości napisał — już po „Korcu maku” i „Siedmiu podkowach”!, że Wierzyński nic się nie zmienił od czasów „Wiosny i wina”, że powtarza się nieustannie i kalkuje samego siebie. Inni, przeciwnie — mieli poecie za złe, że zmienia się zanadto, że rozluźnia swój wiersz, odchodzi od tradycyjnej strofy, słowem, że jego poetyckie oblicze staje się inne, nieraz nie do poznania, a oni już tak się przyzwyczaili do dawnego! Trzeba się było zdobywać na wysiłek, by tamtego dawnego Wierzyńskiego rozpoznać w tym nowym, a wielu takiego wysiłku nie lubi.

Miedzy „Wiosną i winem” a „Czarnym polonezem” — dystans olbrzymi. Wierzyński jest przykładem poety ciągle rozwijającego się, ciągle idącego naprzód. Owszem, jego droga twórcza niekiedy załamywała się pod ostrym kątem, nieraz schodziła w dół, zatrzymywała się na skraju urwiska, aby zaraz grzbietem niespodziewanego mostu przerzucić się na drugi brzeg, i znowu pięła się w górę. Przy wszystkich zahamowaniach i postojach, jej kierunek prowadził wzwyż. Oto dlaczego na pytanie, zadane na wstępie, należy odpowiedzieć potakująco: tak, to był zgon przedwczesny!

Bywają poeci, którzy przeżywają własną twórczość, umierają na długotrwałym, bezpłodnym biwaku; tu odwrotnie — idący wciąż naprzód pisarz miałby jeszcze wiele do przewędrowania i wiele do odkrycia. A idąc, umiał pozbywać się niepotrzebnego

balastu, utrudniającego mu krok na innych, mniej szczęśliwych etapach.

Ile przełomów i odnowień przeżył Wierzyński, ile miłowych słupów pozostawił po sobie. Już „Wielka Niedźwiedzica”, wydana w cztery lata po debiucie, zaskoczyła wiernych wielbicieli wiośny i wina. Ukazało się po raz pierwszy inne oblicze złotowłosego młodzieńca: skupione, ze zmarszczoną brwią, czujnie wsłuchane w podziemne tętenty wydarzeń i niejasnych wróżb. I także po raz pierwszy poeta wejdzie na ścieżkę historiozofii, mającą wkrótce zamienić się w szeroki, bity trakt.

Ale po „Wielkiej Niedźwiedzicy” przyszedł „Pamiętnik miłości” (1925) i „Laur Olimpijski” (1927). Czytelnikom mogło wydawać się, że nastąpił nawrót do uniesień i ekstaz pierwszego okresu. Było to złudzenie. W 1929 Wierzyński wydaje jednocześnie dwa szczupłe objętością, ale ważne zbiory: „Rozmowę z puszczą” i „Pieśni fanatyczne”. Nieco później debiut prozatorski, zbiór opowiadań wojennych pt. „Granice świata”, i wreszcie „Gorzki urodzaj” (1933).

Już same tytuły tych książek świadczą dobitnie o dokonywujących się przemianach. Gdy po raz pierwszy postawiono kandydaturę Wierzyńskiego do Nagrody Państwowej, której wtedy nie otrzymał, Jan Parandowski, będący członkiem jury, zgłosił *votum separatum* przeciw przyznaniu nagrody Jerzemu Szaniawskiemu. Nie mam odpowiedniego tekstu pod ręką, ale pamiętam dokładnie jego treść.

Parandowski zwracał uwagę na ciągle postępujące pogłębienie twórczości Wierzyńskiego, mówił o tym, jakie przejmujące wrażenie wywołuje śledzenie tych przemian: od młodzieńczych upojień i zachłystywania się urodą życia i świata do podjęcia problematyki, w której troska społeczna i zaduma historiozoficzna prowadzone są do wspólnego mianownika — tragicznych losów człowieka. Parandowski swoje *votum separatum* zakończył oświadczeniem, że w zestawieniu z tym coraz bardziej potężniejącym piarstwem twórczość Szaniawskiego przesuwą się „wdzięcznym floresem ku marginesom literatury”, i najpewniej miał rację.

Śmierć Piłsudskiego wstrząsnęła poetą. W rok później ukazał się poemat „Wolność tragiczna”, poświęcony w całości życiu i czynom Marszałka. A na rok przed wojną „Kurhany”, zbiór mrocznych zaklęć i wróżb, wywoływanie wielkich cieni: księcia Józefa, Mickiewicza, Szopena, Conrada... W obydwu książkach, podobnie jak w „Barbakanie Warszawskim”, zaczęłym w roku 1938 a ukończonym w jesieni 1939, już po klęsce wrześniowej, na bruku emigracyjnego Paryża, historiozofia narodowa święci swój najpełniejszy tryumf.

Nie piszę tu pośmiertnego panegiryku, pragnę dać miarę poetycką Wierzyńskiego bez żadnych ustępstw na rzecz sentymentu osobistego i bez liczenia się ze świeżą jeszcze po nim żałobą. Sądzę, że „Wolność tragiczna” i „Kurahany” były poetyckim zatrzymaniem się na drodze rozwojowej; jest w nich — obok świetnych fragmentów — zbyt wiele retoryki, patosu, a nawet pseudoklasycznych reminiscencji. Nie ustrzegła się tych obciążeń i wojenna liryka poety, kulminująca w tomie „Krzyże i miecze”.

„Muzo, nie lękaj się hałasu broni...” — to było zbyt retoryczne aby było prawdziwe. Tak, ale w tym samym czasie Wierzyński napisał „Via Appia” i „Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny...”, „Nocną modlitwę” i „Do moich zmarłych”, i kilkanaście innych wierszy, które stały się najwyższym poetyckim wyrazem polskich zbiorowych przeżyć, nadziei i rozczarowań. I miał pełne prawo, zwracając się do swej najważniejszej książki o wojnie, na ostatniej stronie wypisać te lapidarne, a zarazem dumne słowa: „Zostań dla żołnierzy!”

Po tragicznym dla nas zakończeniu wojny Wierzyński milczał przez jakiś czas, z rzadka tylko drukując luźne wiersze w emigracyjnych czasopismach. Aż w roku 1951 — „Korzec maku”. Sądzę, że ten najobszerniejszy, blisko sto utworów lirycznych zawierający tom jest najwyższym osiągnięciem poety. Napisał w latach późniejszych niejeden świetny wiersz, ale jako całość „Korzec maku” świadczy jego poetyckiej wielkości najpełniej i najdoskonalej.

Odnowienie warsztatu poetyckiego u schyłku lat pięćdziesiątych zapowiadało nowe osiągnięcia. Na ostateczne spełnienie tych zapowiedzi zabrakło życia. „Czarny polonez” był dla wielu czytelników niespodzianką. Zapomniano, a może nie zauważono, że w poprzedniej twórczości Wierzyńskiego niejednokrotnie zjawiała się gwałtowna inwektywa, ostry persyflaż, gniewny pamflet.



Ponieważ ludzie lubią katalogować, do Wierzyńskiego przylgnęła etykieta z napisem „skamandryta”. Etykieta ta straciła swoją wymowę jeszcze przed wojną, a już w ostatnich latach naprawdę nie miała żadnego sensu. Odpowiadając na próby katalogowania czy przyszywania do jednego tylko pokolenia poetyckiego, Wierzyński najlepiej scharakteryzował sam siebie:

*O pokoleniach nie.
Gdzie, do jakiego ja należę?*

*Ja jestem z lotu ptaka.
Doświadczony i hardy.
W skrzydłach mam przeszłość i przyszłość,
na czele własnej mej awangardy
odnawiam własną mą niezawistość.*

Każdy pisarz, choćby udawał najbardziej skromnego, zawsze jest pewny swej wartości i przeważnie przesadza w jej ocenie. W zacytowanych słowach Wierzyńskiego nie ma żadnej przesady. Naprawdę wyszedł ponad swoje pokolenie, naprawdę sam dla siebie stał się niepowtarzalną awangardą. Nie wiem czy znał piękne powiedzenie Leonardo da Vinci o łasce twórczej, którą Bóg zsyła za cenę stałego wysiłku. Znał, nie znał — tak właśnie postępował.

Był Wierzyński, co należy specjalnie podkreślić, poetą głęboko zaangażowanym. Boleśnie przeżywał kryzys współczesnej epoki, rozdieranej konfliktami, zagrożenie zachodniej cywilizacji, wreszcie tragedię własnego narodu, pokonanego przez sprzysiężone siły zła, wykrwawionego w bohaterskiej walce, oszukanego i zdradzonego. Ale nie było w tym nic z przysłowiowego „słoń a sprawa polska”. Ta sprawa była dla niego po prostu najbardziej newralgicznym punktem ogólnoludzkiego dramatu, splotem słonecznym najboleśniej napiętych nerwów. „Jeśli padnie Warszawa — pisał we wrześniu 1944 roku — to nie miasto padnie... lecz wolność w s z y s t k i c h ludzi...”. Sprawa narodowa była dla niego zawsze przedłużeniem troski o zachodnią cywilizację, o której losach myślał i pisał z najwyższym niepokojem.

Nic więc dziwnego, że wiadomość o jego zgonie wywołała natchmianową, i właśnie taką a nie inną, reakcję na łamach naczelnego literackiego organu komunistycznego reżymu, w warszawskiej, o ukradzionym tytule, *Kulturze*. W imieniu czerwonych uzurpatorów towarzysz Wilhelmi wyszczał nad świeżym grobem epitafium godne cmentarnej hieny. Ukryty pod maską fałszywego współczucia, pewny bezkarności — bo któż zaprotestuje? — przekreślił całą emigracyjną twórczość Wierzyńskiego, umieścił ją w pustce, skazał na zapomnienie. Zemsta za „Czarny polonez”? Może. Ale przede wszystkim źle hamowana wściekłość, że taka poezja powstała i bujnie rozrosła się poza krajem, na politycznej emigracji, poza zasięgiem ich władzy, poza i p r z e c i w i c h „polityce kulturalnej”. Literackim żandarmom trudno przeboleć, że nie byli w stanie zagłuszyć poetyckiego głosu wolności.

Wilhelmi zatroszczyli się obłudnie o przyszłe losy twórczości Wierzyńskiego. Nie dzielimy tej troski. Wróci do kraju pę-

dzej czy później, rozbije wszystkie szlabany, rozwali roгатki graniczne, by włączyć się zwycięsko w duchowy krwiobieg wyzwolonego narodu.

Józef ŁOBODOWSKI

OSTATNI LIST

W czwartek padał deszcz. Drobne jego krople leniwie przysiadły na framudze okna, jakby nie wiedząc co z sobą zrobić. Powietrze, ogłuszone wilgocią, milczało. Wieczorem, ostry mróz pozamieniał krople w okrągłe kryształki, przykrywając ich przezroczystość bielejącym szronem. Na drugi dzień rano, było znów wkoło biało i wesoło.

W piątek miałem napisać list i nie wiedziałem jak się do niego zabrać. Czekał on we mnie od dawna i towarzyszył w codziennych wędrówkach do biura, gdzie przeglądając raporty wypadków samochodowych, kojarzył się z angielskimi słowami, moją dwudziestoletnią sytą roślinnością, najeżoną sprzecznościami i niekonsekwencją, a wszystko to jakby zawieszone w politycznej próżni, kipiało od podskórnych nastrojów, nie mających w perspektywie żadnego planu na następny dzień, miesiąc i rok.

O tym właśnie miałem pisać w piątek. O tym i o innych sprawach, które od dwudziestu lat jątrzyły moje myśli i kłuły serce. Narastały one gniewem, uporem, szyderstwem albo skargą, a gdy dotknął je poetycki lek, spadały na papier jak owe krople na framugę okna, powiązane nie tylko gramatyczną spójnią, ale wyczuloną we mnie siecią świadomości. Ona to, jak ów radar, nauczyła mnie patrzeć, mając oczy zamknięte, czuć, nie dotykając, czytać z próżnych, międzyliterowych przestrzeni i rozpoznawać bez znaków orientacyjnych.

Każdy mój list do Wierzyńskiego wyostrzał marginesy tych spraw, ich patriotyczno-polityczno-krajowo-emigracyjną tkankę, a Wierzyński ucieszony odpowiadał: „Odezwał się Pan jak nikt na naszym podwórku, niech Pan to napisze, cały ten wspaniały wywód, w jakim esej dla *Kultury* albo *Wiadomości*”.

Napisać? Ja? Odbierać chleb zawodowym politykom, publicystom, redaktorom? Oni są przecież od politycznego myślenia, urabiania opinii, od krzepienia nas, regulowania nastrojów, patriotycznych wróżb!

Za oknem padały krople. Wiedziałem że jutro będzie znów mróz i śnieg, a ja muszę w końcu napisać ten list, bo wtedy uwolnię się od niego; koperta uniesie jego słowa w ogromny konfesjonał powietrza, a ja spokojnie będę dalej wypisywał raporty wypadków samochodowych, sumując na pokratkowanym formularzu ludzkie nieszczęścia: obrażenia cielesne, połamane ręce, nogi, zgniecione klatki piersiowe, podkreślając od czasu do czasu, grubą czerwoną litnią, wypadki krańcowe: *Fatality, Death!*

Krople, podcięte mrozem, nieruchomieją. Zatrzymane, stoją i błyszczą. Przychodzą mi na myśl słowa, które nie kojarzą się zupełnie z otoczeniem. Krajobraz mój wywołuje inny krajobraz. Myślę: baza nadwiślańska, myślę: Stalin, Bierut, Gomułka. Wyłania się przede mną jałowa nadwiślańska przestrzeń, pełna zakłamanych politycznych rekwizytów, paraliżujących nas zakamufLOWANYCH pocisków, teatr który zamiast nas łączyć — dzieli, zamiast nas zbliżać — oddala. Wszystko tam jest tak pomyślane, by nas najpierw zneutralizować, a potem unicestwić, poddać presji szantażystów ideologicznych, narodowych bałwanów, talmudycznych politykierów, kołtunów intelektualnych, superpatriotów.

Jak smutny jest dziś nadwiślański Kraj. Ile pozostało w nim z tysiącletniej historii? Co mamy myśleć, gdy gmach Związku Literatów, gdzie obraduje mózg Narodu, obstawia się samochodami policyjnymi, jak za najgorszych czasów? Co to wszystko ma wspólnego z naszą kulturą, z naszą historią? Dziś, po Narwiku, po Tobruku, po Falaise, po grobach na Monte Cassino!

Za oknem, poprzez nagie w ogrodzie gałęzie, przebija surowa sylwetka ściany. Wydaje mi się czasem, że wyczekuje tam jakaś staruszka. O drobnej nieruchomej postaci. Obraz ten gdzieś już widziałem. Może to Achmatowa — myślę — Achmatowa-matka, której odebrano syna? Ściana nigdy nie ma łagodniejszych kolorów, jest jak wszystkie tamte ściany, któreśmy widzieli w więzieniach, znane z opisów, z prześladowających nas w snach mar.

Mógłbym o ścianie tej napisać wiersz i przesłać go Wierzyńskiemu. Zamiast listu. Ale byłby to tylko fortel, oszukiwanie samego siebie. Mógłbym zacytować jej rozpaczliwe Requiem!

Achmatowa!

Wierzyński!

Warszawa!

Wprawdzie szeroko odbudowana, ale obca dla mnie, pełna ludzi, a pusta, serdecznych przyjaciół, a mimo to obca.

Ileż gorących słów spadło na Jego laurową głowę, podczas naszych spacerów z Muzeum Narodowego do Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu. Jak się o Niego dopytywali tam! Pisarze aktorzy, czytelnicy! A tu był tylko spychany w cień.

Podkreślano jego wydoskonalony warsztat poetycki, niezależną i nieulegającą krajowym podszeptom postawę wewnętrzną, czystość przekonań politycznych. Ale tylko w rozmowach. Oficjalnie zaś, literatura polska nie ma dziś Wierzyńskiego. I nie tylko jego. Znikają nazwiska, tytuły dzieł, rozdziały historii i literatury polskiej.

A my? Staramy się czasem przedrzeć przez kopczą nadwiślańską zasłonę wznoszoną rękami odwiedzających nas przyjaciół, rodzin, literatów, uczonych, turystów, przez cały ten pozapolityczny humbug, nasyłany, by nas politycznie ubezwładnić, uczuciowo zneutralizować.

Oni wsiąkają w nas, a my słabniemy. Potem odjeżdżają, a może przenoszą się tylko do innego kraju, na drugi kontynent, za ocean. Bo wszędzie są rodacy spragnieni wiadomości o Kraju przez duże K.

Jak jest z tymi którzy czarują nas sloganami:

- Ja nie zajmuję się polityką —!
- Ja nie należę do Partii —!
- Ja siedziałem w więzieniu —!

Znamy domy polonijne i organizacje kombatanckie, które łyły tego rodzaju jaskółki, hołubiły u siebie, podpierając tu i tam finansowo. Ułatwiano im podróże, mieszkania, organizowano imprezy, wydawnictwa nawet. Wszyscyśmy w takich wypadkach ulegali pewnemu otumanieniu. Niepolityczny — mówiliśmy — więc nasz, przeciwnik reżymu, a gdy jeszcze siedział w więzieniu, obnoszono te fakty, jak monstrancję na Boże Ciało.

Potem jednak przyszło słuszne pytanie: jak to niepolityczny? Dlaczego? Teraz, kiedy Polska jest jednym zaangażowanym politycznie obozem, kiedy cały świat filuje od politycznych wiatrów i pęcznieje od komunistycznej wybuchowej substancji, czy w takich warunkach ktoś może być niepolityczny? A jeżeli tak, to kto? Karierowicz, tchórz, lizus, utajony agent, człowiek bez sumienia, bez dumy narodowej? Chyba tylko tacy?

Ci, którzy nie mają czasu na politykę, którzy pracują naukowo, piszą, uczą, malują, ci na dłuższą metę umacniają Gomułkę i jego klikę. Pozwala on im przeto jeździć po Europie, bywać na zjazdach i konferencjach, wystawiać w zagranicznych galeriach. To zjednuje mu ich sympatię, po której idzie ciche przymierze: oni jeżdżą, zajmując się własnymi sprawami, a on umacnia się politycznie w Kraju.

Jak potrzebni oni byli wtedy, by podpisać apel 34, wypowiedzieć się na zebraniu literatów za Kisielewskim, a nie Putramentem, by — jak Andrzejewski — wysłać protestujący list, lub na wzór Czechosłowacji, urabiać jednolitą postawę Narodu.

Owszem, byli potrzebni, lecz woleli jeździć, korzystać z usług emigracji, kapitalistycznych zasiłków, a gdy do tego posiadali talent, wszystko im się wybacz. Pedagog wygłosi błyskotliwe przemówienie, malarz załatwi sobie wystawę, poeta wyda tom. Tylko jakim wewnętrznym kosztem?

W piątek padał śnieg, a ja czytałem „Czarny Polonez”. Ściana za oknem jakby nabrała życia. Wpatrywałem się w jej ludzki uśmiech, myśląc o 56 roku, witany z taką radością w Polsce. Tyle tylko że ja w tamte przemiany nie wierzyłem, natomiast „Polonez” wyrażał to, co sam czułem i myślałem.

W dzisiejszym zakłamaniu, gdzie byle tępak rości sobie pretensje do Skargi, byle szarlatan przybiera patriotyczne pozy i byle dziwka, po wieczorowym kursie UB, poucza nas o obowiązkach Polaka, dobrze jest posłuchać co mówi Wierzyński, poeta który zna wartość słowa na dzisiejszym sprzedajnym rynku.

W ten sposób zamierzałem w piątek napisać ten list, ale tego dnia przyszedł nagle telegram z Londynu z tragiczną wiadomością.

Wierzyński nie żyje! Nie, to nieprawda! Poeta wprowadzie umiera jak każdy człowiek, ale po śmierci zostaje przecież na ziemi. Nie potrzebuje jak Łazarz schodzić do grobu, by potem zmartwychwstać. Jego wiersze kwitną bezustannie i kto chce może nasycić się ich zapachami, a potem przy spotkaniu w sklepie lub na ulicy, powiedzieć od niechcenia znajomym: właśnie spotkałem się z Wierzyńskim, mieliśmy bardzo ciekawą rozmowę.

Wacław IWANIUK

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, bd Saint-Germain, Paris-VI^e — Tél. 326-04-42

URZĄDZA W KWIETNIU
WYPRZEDAŻ POINWENTARZOWĄ
KSIĄŻEK POLSKICH I FRANCUSKICH
Z RABATEM 20 %.

OGŁASZAMY PRZEDPŁATĘ
na książkę
FRANCISZKA KALINOWSKIEGO
pt.

LOTNICTWO POLSKIE W WIELKIEJ BRYTANII

Jest to obszerny zarys historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940-1945, opracowany na materiałach źródłowych polskich i angielskich. Obok kroniki działań bojowych wszystkich dywizjonów, opisów walk powietrznych, wypraw bombowych i poszukiwań okrętów podwodnych, autor naświetla szereg zagadnień ogólnych i wewnętrznych Lotnictwa Polskiego, rozpatruje krytycznie umowy lotnicze, stosunki polsko-angielskie, uzupełnienia dla lotnictwa, udział Lotnictwa Polskiego w transporcie powietrznym, w lotach szczególnego przeznaczenia i w wywiadzie, pomoc lotniczą dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne podają wysiłek bojowy każdego rodzaju lotnictwa, typy samolotów, zwycięstwa powietrzne dywizjonów i zwycięstwa indywidualne naszych myśliwców, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa.

Skorowidz nazwisk zawiera ponad tysiąc nazwisk lotników wszystkich stopni i specjalności którzy czymkolwiek się wyróżnili lub zastąpili.

Objętość książki — 400 stron.

Cena w przedpłacie do 1 września 1969: 25 F lub równowartość. Cena w sprzedaży będzie znacznie wyższa.

Wydanie książki jest przewidziane na koniec bieżącego roku.

Wpłaty prosimy przesyłać na adres:

INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy,
78-Maisons-Laffitte (France).

Nie tylko każdy lotnik i każda rodzina lotnicza, ale każdy Polak, który chce poznać całą prawdę o bohaterskiej pracy bojowej Lotnictwa Polskiego i o szarej codziennej pracy wszystkich lotników, o jej blaskach i cieniach, powinien nabyć tę książkę.

Czytelnictwo na emigracji 1967 (dok.)

D/1. Uwagi wstępne

Były dwa czynniki, utrudniające ścisłe opracowanie zarówno wskaźnika poczytności poszczególnych autorów jak i klasyfikacji zainteresowań respondentów.

Pierwsza trudność polegała na tym, że przy 141 tytułach książek respondenci nie podali nazwisk autorów. Dzięki pomocy jednej z urzędniczek Biblioteki Polskiej w Londynie udało się ustalić autorstwo w 112 wypadkach. Pozostałe 29 pozycji książkowych przypadły dla ankiety w ogóle. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że niektóre nazwiska albo tytuły książek, mimo sprawdzenia, uzupełnienia i korekt, mogą być błędne przy książkach, których tytuły są identyczne choć różni autorzy.

Druga trudność polegała na tym, że nawet w wypadkach, gdy zarówno tytuł książki jak i nazwisko autora figurowały w odpowiedziach, to jednak — przy dużej liczbie książek, przeczytanych przez poszczególnych respondentów — trudno było odczytać odnośne dane, nagęszczone na małej kartce kwestionariusza. Niektórzy respondenci zrozumieli, że należy dołączyć osobny arkusz z wykazem książek, ale takich „pomysłowych” było zaledwie 75 procent. Wobec tego w pozostałych wypadkach, przy mozolnym rozszyfrowywaniu „zagęszczonych” odpowiedzi, zapewne wkradły się omyłki, których nawet przy największej staranności nie udało się wykryć.

Co się tyczy tematycznej klasyfikacji książek, to i tu powstała trudność, która mogła wpłynąć ujemnie na ścisłość opracowania. Nie było w kwestionariuszu ogólnego pytania: „Jakie tematy w szczególności Pana interesują?” Bez tego samookreślenia ze strony czytelnika musiałem się kierować tylko własną oceną poszczególnych odpowiedzi. W wielu wypadkach było to łatwe, ale w innych wręcz niemożliwe albo niepewne. Jeżeli się danej książki samemu nie czytało, to w pewnych wypadkach nawet nazwisko autora i tytuł książki nie charakteryzują typu lektury, jest więc

pole do błędów. Takich wypadków nie było zbyt wiele, można więc mieć nadzieję, że ilość omyłek jest też nieznaczna, ale jednak zapewne są.

D/2. Konsumpcja książki krajowej, emigracyjnej i obcojęzycznej

Ilość „przeczytań” przedstawia się następująco:

książek polskich wydanych na emigracji	2252
książek polskich wydanych w kraju	1855
książek obcojęzycznych	3145
razem „przeczytań”	7252

Powyższe cyfry należy rozumieć jako ilość „przeczytań”. Tę samą książkę czytała bowiem najczęściej więcej niż jedna osoba, choć nierzadko tylko jedna.

Ponieważ ilość przeczytań książek polskich (krajowych i emigracyjnych) stanowi 4107, a ilość odnośnych książek jest 656, wynika stąd, że książka tej kategorii była czytana średnio przez 6 osób.

Jeżeli zaś wziąć pod uwagę książki zarówno polskie jak obcojęzyczne, to przy 7252 przeczytaniach i 185 respondentach, średnia, przypadająca na osobę, wynosi 39. Średnia ta niewiele co prawda mówi, jak to zwykle bywa przy silnym rozpięciu liczb przesłankowych. W danym wypadku rozpięcie to było bardzo znaczne, gdyż najstarszy czytelnik przeczytał w roku 1967 jedną książkę, podczas gdy największy — sześćset książek. W tych warunkach natężenie czytelnictwa należy scharakteryzować raczej liczbami, obrazującymi poszczególne kategorie respondentów. Ten obraz daje poniższe zestawienie, dotyczące wszystkich przeczytanych w roku 1967 książek (emigracyjne plus krajowe plus obcojęzyczne). Pierwsza rubryka wskazuje ilość przeczytanych w danej kategorii książek, druga — ilość osób, które je czytały:

<i>Ilość książek</i>	<i>Ilość czytelników</i>
1 — 10	84
11 — 20	29
21 — 50	22
51 — 100	4
powyżej 100	4

Ilość czytelników w tym zestawieniu wynosi 143. Reszta respondentów tj. 42 składa się z osób, które żadnej książki nie przeczytały względnie nie podały ilości przeczytanych książek.

Z pierwszego zestawienia, dotyczącego podziału na książki emigracyjne, krajowe i obcojęzyczne, wypływają dwa interesujące i ważne wnioski. Przede wszystkim widzimy, że konsumpcja książki krajowej nie o wiele jest niższa od konsumpcji książki

emigracyjnej. Krajowych książek przeczytano na uchodźstwie oczywiście mniej niż emigracyjnych, ale różnica wynosi mniej więcej tylko 20 procent. Wskazuje to, o ile jest dostatecznie reprezentatywne, na żywe zainteresowanie uchodźców ruchem wydawniczym w kraju.

Z drugiej strony widzimy, że najwyższą pozycję zajmuje konsumpcja książek w językach obcych. Jest ona znacznie wyższa od konsumpcji książek polskich, wydanych na emigracji a jeszcze bardziej wysoka w stosunku do ilości przeczytanych książek krajowych.

Byłoby rzeczą interesującą przestudiowanie w jakiej grupie wieku respondentów ta przewaga książki obcojęzycznej istnieje. Dane, dotyczące wieku respondentów, są jednak (vide B/3) tak niekompletne, że w ich ramach jakiegokolwiek twierdzenia nie wydają się wskazane. Można jednak zaryzykować przypuszczenie, że zainteresowanie lekturą obcą najsilniej zaznacza się w grupie ludzi stosunkowo młodych, którzy otrzymali wykształcenie, zwłaszcza wyższe, na obczyźnie — i którzy czytają literaturę fachową, związaną ze swym zawodem. W tym samym kierunku przemawia też bodaj fakt, że czytelnicy starsi wiekiem tak chętnie czytają książki, dotyczące Polski przedwojennej i zawierające wspomnienia o dawnych czasach; tego rodzaju książki są z pewnością pisane w języku polskim, co zmniejsza udział ludzi starszych w lekturze obcej.

I jeszcze jedna rzecz: gdy mowa o „młodych na emigracji”, nie należy zbyt pochopnie identyfikować młodych którzy mają w tej chwili, powiedzmy, 30 lat — z młodymi, którzy stosunkowo niedawno opuścili kraj i przyjechali np. do Anglii czy Ameryki na przejściowy albo stały pobyt. Ci nowi przyjezdni reprezentują inny materiał psychiczno-intelektualny, byłoby więc rzeczą bardzo interesującą wiedzieć konkretnie, na jaką lekturę polityczną są oni nastawieni. Odczynnikami mogłoby tu być np. czy zasilają szeregi czytelników paryskiej *Kultury* czy też londyńskich *Wiadomości*. Ale, jak powiedziałem, niekompletność danych w tej sprawie nie umożliwia należytego zbadania jej. Im więcej lat przechodzi na uchodźstwie, tym trudniej będzie mówić o jakimś jednolitym typie czytelnika polskiego. Jest to zjawisko zrozumiałe ponieważ klimat intelektualno-polityczny np. „polskiego Londynu” i Warszawy tak różni się od siebie, jakby to było nie w dwóch krajach ale na różnych planetach.

D/3. Zainteresowania respondentów

Z tego punktu widzenia podzieliłem wszystkie książki na 9 klas tematycznych. Wydaje mi się, że ogólnie w świecie przyjęty „Dewdecimal System” nie byłby w tym wypadku wskazany ze względu na specyficzne potrzeby naszej ankiety. Na poszczególne klasy przypadają następujące ilości przeczytanych książek polskich, zarówno emigracyjnych jak krajowych. Oto są te klasy:

1. Polityka, sprawy wojskowe, ekonomiczne i społeczne — książki dotyczące Polski przedwojennej, Polski podczas wojny oraz PRL	120
2. Polityka, sprawy wojskowe, ekonomiczne i społeczne — książki dotyczące państw obcych	37
3. Polska literatura pamiętnikarska, dotycząca okresu przedwojennego, wojennego i powojennego	63
4. Powieści, eseje i poezja — wszystkie kraje włącznie z Polską przedwojenną, PRL oraz krajami osiedlenia emigracji	291
5. Sztuka — wszystkie kraje łącznie z Polską	33
6. Historia — wszystkie kraje łącznie z Polską	87
7. Religia i kościół — wszystkie kraje łącznie z Polską	13
8. Nauki ścisłe — wszystkie kraje łącznie z Polską	1
9. Filozofia — wszystkie kraje łącznie z Polską	11
	razem 656

Jak wynika z tego zestawienia intensywność zainteresowań respondentów przedstawia się w sposób następujący (w kolejności od największej do najmniejszej): 1. powieści, eseje, poezja, 2. sprawy polskie, 3. historia, 4. literatura pamiętnikarska, 5. kraje obce, 6. sztuka, 7. religia i kościół, 8. filozofia, 9. nauki ścisłe. Znikomość ostatniej pozycji tłumaczy się tym, że książki z zakresu nauk ścisłych czytane są przeważnie w językach obcych.

Z otrzymanych odpowiedzi wynika, że zainteresowania respondentów nie zawsze są skonkretyzowane i że gdy idą oni do biblioteki, to często właściwie sami nie wiedzą, co chcą przeczytać. Dziesięciu respondentów pisze, że czyta wszystko, co im wpadnie do ręki. 35-ciu mówi natomiast w tym duchu: wiem co mnie obchodzi i tego szukam tak długo aż znajdę. Z bardzo wielu odpowiedzi wynika, że mieszane zainteresowania mają stosunkowo rzadko miejsce. Jak mówi jedna relacja: „Interesuję się historią dawnej Polski i nie myślę tracić czasu na czytanie o wyczynach ludzi w kosmosie”. Był też jeden respondent równie zdecydowany, choć na nieco niższym poziomie: „Chciałbym przeczytać coś o kurwach, ale polskich książek o tym nie ma, a po angielsku ja nie umiem czytać”. Trudno, będzie musiał się nauczyć tego języka.

D/4. Wskaźnik poczytności autorów

Poczytność danego autora ustaliłem w sposób następujący. Pomnożyłem ilość przeczytanych jego książek przez ilość respondentów, którzy je czytali. Powstała w ten sposób liczbę czytelniko/książek wziąłem za podstawę określenia miejsca autora w hierarchii poczytności. Podaję poniżej tylko tych autorów, których wskaźnik poczytności wynosi 10 albo więcej. W pierwszym zestawieniu figurują ci, którzy mają powyżej 10-ciu punktów, w drugim — ci, którzy mają 10 punktów.

Powyżej 10-ciu punktów mają: Hłasko 216, Mackiewicz Józef 210, Flemming 138, Gombrowicz 137, Jasienica 133, Miłosz 112, Hemar 90, Wierzyński 90, Łobodowski 84, Wańkowicz 54, Morawski Kajetan 44, Kossak-Szczucka 40, Tyrmand 33, Anders 30, Romanowiczowa 27, Giertych 25, Mackiewicz Stanisław 24, Reymont 24, Mieroszewski 22, Staliński 21, Hertz Aleksander 20, Pawlikowski 20, Grzymała-Siedlecki 18, Sieroszewski 16, Guzy 15, Pragier 15, Sienkiewicz 15, Sosabowski 15, Piasecki Sergiusz 14, Putrament 14, Lewickij Borys 12, Pobóg-Malinowski 12.

Dziesięć punktów mają: Allilujewa, Bartoszewski i Lewinówna, Bielatowicz, Bór-Komorowski, Boy-Żeleński, Brandys Kazimierz, Bregman Aleksander, Breza, Chłędowski, Choromański, Czapski, Dąbrowska Maria, Garliński, Grabowski Zbigniew, Gwiazdomorski, Herling-Grudziński, Janta, Jastrun, Klimkowski, Korboński, Kozicki, Krywickij, Kukiel, Kurek Jalu, Kuroń i Modzelewski, Lutosławska, Naglerowa, Nagórski Zygmunt sr., Parnicki, Pasternak, Piłsudski, Raczyński, Rostworowski, Sieriebriakowa, Sosnkowski Kazimierz, Terc, Terlecki, Weissberg-Cybulski, Witos, Zawadzka-Wetzel.

Gdy rzucić okiem na pełną listę tytułów książek, które respondenci przeczytali, to uderza brak pewnych znanych książek, a z drugiej strony są książki, o których typowy czytelnik nigdy chyba nie słyszał. Podobne zdziwienie wywołuje fakt, że pewni wybitni autorzy nie otrzymali nawet 10-ciu punktów. Np. Jerzy Andrzejewski, autor „Popiołu i diamentu”, ani Dostojewski, który jest w polskim tłumaczeniu, nie zostali wzmiankowani; nawet... Mickiewicz nie wyszedł — w sensie statystycznym — zbyt dobrze w tej ankiecie, choć jeden z czytelników wyraził się, że „Pan Tadeusz” to „całkiem dobra książka”. Inny znów czytelnik entuzjazmuje się książką pod tytułem „400 lat poczty polskiej”. Trudno jest wytłumaczyć różne „dziwności”, które przyniosła ta ankieta (jak prawie każda). Zresztą chodzi mi w tym sprawozdaniu bardziej o stwierdzanie faktów niż o ich komentowanie albo tłumaczenie.

D/5. Oceny książek wydanych na emigracji

Znaczna ilość odpowiedzi zawiera oceny książek, jednakże duży procent wyrażonych opinii ma charakter tak szablonowy i banalny, że w gruncie rzeczy nic one nie mówią. Z drugiej jednak strony znalazła się pewna ilość opinii żywych i czuje się, że stoi po za nimi żywy człowiek. Cytuję poniżej szereg takich wypowiedzi o książkach w alfabetycznej kolejności nazwisk ich autorów. Wszystkie cytaty są dosłowne, choć podane bez cudzysłowu.

Anders — Czytałem książkę „Bez ostatniego rozdziału” ze smutkiem, bo i moje życie jest bez ostatniego rozdziału. Jest to książka wartościowa. Przyszły historyk wyczyta z niej, że Roosevelt mówił prawdę, gdy nazwał Polskę natchnieniem świata, a służył kłamstwu, gdy wraz ze Stalinem ustalał sfery wpływów. Książka o Katyniu, z przedmową Generała, jest również histo-

rycznym dokumentem, bo pokazuje, do czego może dojść podłość reżymu totalitarnego. Byłem żołnierzem w armii, dowodzonej przez gen. Andersa i przyznaję, że to może trochę wpływać na mój stosunek do jego książek. Bo książki czyta się nie tylko oczyma, ale i sercem.

Bartoszewski i Lewinówna — Książka „Ten jest z ojczyzny mojej” ma wielkie znaczenie. Zawiera dane dokumentarne, których nikt nie zdoła obalić. Naród polski, jako całość, zachował się wobec prześladowanych Żydów tak, jak moralność i poczucie ludzkości nakazuje. Drugi głos: Ludzie nikczemni, którzy współdziałali w eksterminacji Żydów byli wyjątkami w społeczeństwie polskim. Tacy nikczemnicy byli też wśród samych Żydów. Trzeci głos: Większość społeczeństwa polskiego była obojętna wobec losu Żydów, a tylko wyjątki były bohaterskie. Czwarty głos: Trzeba przetłumaczyć tę książkę na liczne języki świata, ale wątpię czy coś takiego dojdzie do skutku, bo Polacy nie doceniają znaczenia propagandy, którą nasi wrogowie robią z fachową znajomością rzeczy i niestety skutecznie.

Bregman Aleksander — „Jak świat światem” jest słuszną próbą znormalizowania stosunków z naszym sąsiadem zachodnim. Jeżeli Francuzi mogli się ułożyć z Niemcami, to i my musimy przynajmniej próbować — a nuż się uda. Ale jest to strasznie trudne i chyba tak samo mało prawdopodobne jak zrobienie z Rosjan przyjaciół Polski.

Ciołkosz Adam — Czytałem rozprawę Ciołkosza o prof. Schafie. Podziwiam jak można w tak niewielu słowach i tak jasno przedstawić problem tak skomplikowany. Ciołkosz to prymus intelektualno-polityczny na emigracji.

Ciołkoszowie Lidia i Adam — Czytałem „Zarys dziejów socjalizmu polskiego”. Sam jestem socjalistą, ale nie dlatego cenię tę książkę. Jest ona bardzo wartościowym dziełem historycznym, opartym na prawdzie.

Czapski Józef — „Na niehumanitarnej ziemi”. I ja byłem na tej niehumanitarnej ziemi. Uważam tę książkę za artystyczny, ale nie przesadzony obraz rzeczywistości.

Flemming George — Wspaniały pisarz, ale z tendencją do przesady i zbyt łatwych uogólnień.

Giertych Jędrzej — Źle świadczy o człowieku, który Giertycha poważnie traktuje.

Gombrowicz Witold — Pisarz, którego nie znoszę. Drugi głos: Wielki pisarz na skalę światową. Trzeci: Czytam wszystko, co Gombrowicz pisze. Czwarty: Nic nie rozumiem, gdy czytam *Dzienniki* Gombrowicza, jedna rzecz jest tylko jasna, a mianowicie, że Gombrowicz jest pępkiem świata. Piąty: Drukowanie Gombrowicza powinno być policyjnie zakazane.

Hemar Marian — „Awantury w rodzinie” to książka brylant. Drugi głos: Uważam „Awantury w Rodzinie” za bardzo złą książkę. Trzeci: „Hemar jest zasłużonym działaczem politycznym, gdyż jego wiersze mają moc przekonywującą większą, niż niejeden artykuł wstępny w prasie. Czwarty: Hemar jest dobrym poetą,

ale oczywiście o wiele niższej klasy niż Kazimierz Wierzyński i Józef Wittlin.

Herling-Grudziński Gustaw — Wspaniały pisarz.

Hertz Aleksander — Dużej miary socjolog i poważny myśliciel.

Hłasko Marek: — Ma talent, oby wreszcie coś naprawdę dobrze napisał. Drugi głos: W „Pięknych dwudziestoletnich” mniej się zgrywa niż w amerykańskim swym Dzienniku w *Kulturze*. Trzeci: „Wszyscy byli odwrócenii” to brednie. Pięciu respondentów entuzjastycznie chwali Hłaskę, ale jeden z nich mówi: po co ta dupa w każdym drugim zdaniu, a kurwa i gównu w co trzecim zdaniu? Jeden z respondentów pisze: Cokolwiek się myśli o książkach Hłaski, musi go się czytać, bo jest interesujący.

Kędzierski J. Z. — Książka o historii Anglii jest doskonała. Przyjemnie, że Polak napisał takie duże i gruntowne studium.

Konarski Szymon — Przeczytawszy to, co Konarski pisze o heraldyce i heraldycznym snobizmie, pomyślałem sobie o tej książce — ciekawa, sarkastyczna, złośliwa

Korboński Stefan — Książka pt. „W imieniu Rzeczypospolitej” jest dziełem o dużym znaczeniu.

Kozicki Stanisław — Uważam, że „Historia Ligi Narodowej” jest poważnym przyczynkiem do dziejów wielkiego stronnictwa politycznego w Polsce. Zaznaczam, że nie jestem endekiem.

Lewickij Borys — Z „Polityki Narodowościowej w ZSSR” można się dużo nauczyć.

Łobodowski Józef — „Komysze” to książka wzruszająca.

Mackiewicz Józef — „Lewa wolna” jest wprost doskonała. Drugi głos: Zakłamana, literacko dobra, ale treść podła. Trzeci: Książka „Lewa wolna” to brylant.

Mieroszewski Juliusz — „Ewolucjonizm” jest kontrowersyjny, ale dobrze to przeczytać. Drugi głos: „Ewolucjonizm” zawiera pewne ziarna prawdy. Trzeci: Mieroszewski pobudza do myślenia — w kierunku przeciwnym intencjom politycznym autora. Czwarty: Mieroszewski to najlepszy felietonista polityczny na emigracji. Piąty: Mieroszewski ma rację na 100 procent: jeżeli nie liczyć na ewolucję świata komunistycznego, to należy natychmiast się powiesić. Szósty: Fikołajki myślowe Mieroszewskiego, choć znakomicie pisane, są nie do przełknięcia. Siódmy: Nerwowo nie mogę wytrzymać lektury Mieroszewskiego. Ósmy: Mieroszewski — cóż to za wspaniały pisarz.

Miłosz Czesław — Czytałem dużo jego książek — jest to najlepszy pisarz polski.

Morawski Kajetan — Wspomnienia o przeszłości polskiej, tj. o Polsce przedwojennej, pisane są bez żółci — coś wyjątkowego jak na Polaka.

Orłowski Leon — Książka o polityce, napisana przez Orłowskiego, jest dobrym podręcznikiem, który wyszedł spod pióra znawcy przedmiotu. Każdy Polak, interesujący się polityką, powinien tę książkę przeczytać. Drugi głos: Gdy czytałem książkę Orłowskiego, pomyślałem, że daremny jest jego trud. Polacy nigdy nie nauczą się prowadzenia polityki, bo z natury są tylko żołnierze.

rzami i marzycielami i zawracają sobie głowę rzeczami nieistotnymi. Np. tu na emigracji idą wielkie spory o małe rzeczy. Trzeci: Orłowski mówi o wszystkich niemal aspektach polityki, ale pomija jeden z najważniejszych, mianowicie aspekt finansowy. A to jest właśnie rzecz, o której Polacy mają bardzo słabe pojęcie, np. wydają tysiące funtów rocznie na utrzymanie tzw. „placówki polskiej” w Waszyngtonie. Jest to wydatek bezsensowny, gdyż zapewne prawie żadne jest znaczenie rozmów takiego przedstawiciela z jakimś względnie niskim urzędnikiem ze State Department, a przecież do Ruska taki pseudo-ambasador nie zdoła dotrzeć. Te tysiące funtów można by zużyć na cele o wiele produktywniejsze.

Piasecki Sergiusz — Czytałem dosłownie wszystkie jego książki, to pisarz wspaniały.

Pragier Adam — „Czas przeszły dokonany” jest znakomity. Drugi głos: Pragier to mędrzec. Trzeci: Książka Pragiera dała mi dużą satysfakcję, bo ten człowiek ma coś ważnego do powiedzenia. Czwarty: Imponuje mi to, że b. więzień brzeski tak obiektywnie i spokojnie pisze o rządach Marszałka Piłsudskiego. Piąty: Wydaje mi się, że Pragier trochę przecenia swoją rolę w Polsce przedwojennej, ale podobna cecha jest dość zwykłą rzeczą w autobiografiach.

Raczyński Edward — Przeczytałem książkę o „Sojuszniczym Londynie” i myślę, że jest to rzecz bardzo wartościowa, z której historyk naszych czasów czerpać będzie pełną garścią.

Romanowiczowa Zofia — Wielki talent.

Sakowski Juliusz — „Asy i Damy” to pierwszorzędna książka. Nie wiem, czy Sakowski napisał coś jeszcze poza nią. Jeżeli nie, to szkoda, bo to świetny pisarz.

Sienkiewicz Henryk — Uwielbiam Sienkiewicza, cudowny pisarz. Drugi głos: Sienkiewicz do mnie nie przemawia — czas już skończyć z Sienkiewiczziadą.

Stawoj-Składkowski — „Strzępy meldunków” są przejawem bardzo smutnego zjawiska. Polega ono na tym, że się myśli cudzą głową. Drugi głos: Pięknie pisze ten wierny żołnierz Marszałka Piłsudskiego.

Sosnkowski Kazimierz — „Materiały historyczne” są według mnie książką słabą. Drugi głos o tej książce: Bogate źródło wiadomości dla polityka i historyka.

Strug Andrzej — „Żółty krzyż” jest książką interesującą, ale razi sympatią dla Niemców.

Stypułkowski J. — „Droga do wojska” — dobra książka, która musi zainteresować każdego Polaka, w szczególności tego, który sam szedł i doszedł do wojska podczas ostatniej wojny.

Terlecki Tymon — „Pani Helena” — znakomicie napisana, skandalicznie wydana.

Tyrmand Leopold — „Życie towarzyskie i uczuciowe” mówi czytelnikowi nie tylko o stosunkach w PRL, ale także charakteryzuje samego autora — umiejętność podpatrywania sytuacji, umiejętność syntezy, bezkompromisowość potępienia.

Wasiutyński Wojciech — „Nowy świat” jest książką bardzo interesującą, inteligentnie napisaną.

Wielhorski Władysław — „Wspomnienia z przeżyć w sowieckiej niewoli” świadczą o niezwykłej mocy duchowej autora. Dają przy tym psychologicznie tak wnikliwe rozważania człowieka głodzonego i torturowanego, że podobnych rzeczy nigdzie nie czytałam, choć znam całą literaturę pamiętnikarską byłych więźniów sowieckich.

Wierzyński Kazimierz — Wielki poeta, który nigdy przez przyszłe pokolenia nie będzie zapomniany.

Witos Wincenty — Niezwykle mądry polityk. Aż dziwne, że wydał go naród wprawdzie wielki, ale politycznie niezbyt mądry.

Zaremba Zygmunt — „Przemiany w świecie komunistycznym” są dowodem, że Zaremba jest to najgorszy polityk jakiego kiedykolwiek wydał demokratyczny socjalizm polski. Nie przekreśla tego sądu fakt, że Zaremba był bohaterem w okresie walk podziemia z okupantem hitlerowskim.

Zbyszewski Karol — Czytałem kilka książek Zbyszewskiego i lubię go czytać. Jest inteligentny, pisze potocznie, a przy tym wnosi element humoru do ponurej na ogół pisaniny na emigracji. Poza tym jest on zawodowym odbrazowiaczem, a to też mi się podoba.

Żeromski Stefan — Nie mogę czytać tego pisarza. W dzisiejszych czasach jest to lektura nieznośna, ten patos i frazeologia są nie do strawienia.

D/6. Źródła zaopatrzenia w książkę polską

Na pytanie skąd respondenci otrzymują książki polskie, odpowiedź jest następująca: 56 kupuje w księgarni, 45 pożycza z bibliotek publicznych zaś 42 zamawia bezpośrednio u wydawcy.

Powyższych cyfr nie należy rozumieć w ten sposób, że poszczególne źródła zaopatrzenia są wyłącznymi źródłami dla danej osoby. W rzeczywistości połowa respondentów ma książki ze źródeł mieszanych, przy czym przeważają wypadki, że kupuje się książki zarówno w księgarniach jak i pożycza z bibliotek. Są jednak, niezbyt liczne wypadki, w których pochodzą książki ze wszystkich trzech źródeł. Gdy chodzi o bezpośrednie zamawianie książek u wydawcy, to w wielu wypadkach cytowane są Instytut Literacki w Paryżu i Polska Fundacja Kulturalna w Londynie.

Sprawa rozpowszechniania książek polskich w krajach osiedlenia sprowadza się przede wszystkim do pytania, czy w bibliotekach publicznych są polskie książki. Otóż przeważająca ilość respondentów pisze, że biblioteki, istniejące w ich zasięgu terytorialnym, mają polskie książki. Nieliczni narzekają jednak na to, że biblioteki publiczne nie odnawiają zapasu polskich książek, wobec czego wypożyczający, gdy już wszystko przeczytał w zakresie swych interesowań, znajduje się właściwie w sytuacji takiej, jakby wypożyczalni w ogóle nie było.

Należy tu stwierdzić istnienie pewnej bierności po stronie czytelników-Polaków. Na pytanie, czy usiłują spowodować, aby biblioteka publiczna zakupowała polskie książki, tylko 28 spośród 185 respondentów, a więc zaledwie około 7 procent, odpowiedziało pozytywnie. Powody tej bierności są różne: „nie wierzę w skuteczność mojej interwencji”, albo „nie chce mi się zabiegać o specjalne dla mnie zakupy”, albo — rzecz dziwna — „to do mnie nie należy”.

Niektórzy respondenci stwierdzają, że kierownicy bibliotek chętnie spełniają ich życzenia. Inni, stanowiący raczej wyjątek, mówią z goryczą, że prośby ich spotykają się z lekceważeniem i niechęcią. W jednym wypadku czytamy jednak: „Nie zachodziła nigdy potrzeba wojowania o nabycie polskiej książki przez bibliotekę publiczną: wszystkie książki, którymi się interesowałem, otrzymałem po dwóch-trzech tygodniach z polskiej biblioteki ruchomej, od której biblioteka publiczna dla mnie specjalnie tę książkę wypożyczała”.

Niektórzy czytelnicy skarżą się, że choć książki polskie są w najbliższej bibliotece publicznej, to jednak jest ona stosunkowo tak daleko od miejsca ich zamieszkania, że nie mogą do niej jeździć i to raczej ze względu na koszty podróży niż na brak czasu.

Ogólny wniosek, jaki się wyłania z omawianego materiału, jest ten, że gdyby Polacy rozsiani w różnych krajach bardziej energicznie domagali się zaopatrywania ich w polską książkę i silniej naciskali na kierowników bibliotek w kierunku stałego odnawiania zapasu książek polskich, to w znacznym stopniu można by usunąć istniejące braki. Optymizm ten jest zwłaszcza uzasadniony na terenie Anglii, gdyż jak wynika z licznych odpowiedzi, angielskie biblioteki publiczne są wrażliwe na „klienta polskiego” tak jak w ogóle liczą się z każdym klientem.

Dodać należy, że niektórzy respondenci mają własne dość bogate księgozbiory. Np. jeden wspomina o posiadaniu 2.500 tomów, inny ma 1.000 książek, a trzeci 650 książek. Dwudziestu respondentów ma małe księgozbiory, liczące od 10-ciu do 100 tytułów. Te zbiory książek, będących w prywatnym posiadaniu, określane są przez kilku respondentów jako podstawa ich życia intelektualnego. Wreszcie źródłem zaopatrzenia w książkę polską jest pożyczanie jej od znajomych (w 50-ciu wypadkach) i kupowanie książek używanych (*second hand*), o czym mówi 12-tu respondentów.

D/7. Cyrkulacja książek między emigracją i krajem

Wysyłka książek do kraju była w roku 1967 nader mała. Na 185 respondentów tylko 46 wysyłało książki do swych rodzin i przyjaciół w kraju. Liczni natomiast mówią, że kiedyś wysyłali dużo i to systematycznie, ale następnie zaniechali tego, gdyż książki „nie dochodzą”, więc po co marnować pieniądze na kupowanie ich. Uderzająco duży procent niewysyłających motywuje to jed-

nak nie prostym „niedochodzeniem”, ale względami na bezpieczeństwo odbiorcy. „Nie chcę im szkodzić” — oto typowa wypowiedź osoby, która w zasadzie chciałaby przysyłać dobre książki do kraju. To dotyczy przesyłek pocztą. Ma się wrażenie z bardzo licznych odpowiedzi, że wysyłka pocztą w ogóle ustała, natomiast ci, którzy dalej wysyłają, robią to przez powracających do Polski albo przez tych, którzy jadą do kraju jako goście. Ale ilość chętnych do zabierania książek stale maleje, jak to wielu respondentów zaznacza.

Można to wszystko zrozumieć w stosunku do książek o charakterze politycznym. Ale przecież sporo jest książek, które z polityką się nie wiążą, napisanych bądź to przez autorów emigracyjnych bądź też obcych. Być może tego typu książki miałyby pewną szansę dotarcia do adresata krajowego. Czy takie książki są wysyłane? Ankieta nie rzuciła dostatecznego światła na tę sprawę, ponieważ respondenci ryczałtowo mówią o wysyłce książek emigracyjnych do kraju bez względu na ich tematykę.

Sprawa cyrkulacji książki pomiędzy emigracją a krajem jest oczywiście ważna dla obu stron. W tej chwili jest szczególnie dotkliwa dla emigracji, gdyż po wypadkach marcowych w Warszawie i po Czechosłowacji dość liczne dary książkowe, które respondenci otrzymywali od prywatnych osób z kraju, ustały. W roku 1967 było takich darów 1.019. Skoro ustały one i można by otrzymywać bieżące wydawnictwa tylko w drodze zakupu, powstaje trudny problem. Niemożność pokonania go odbiła się bardzo ujemnie na czytelniku emigracyjnym, który chciałby czytać niektóre wydawnictwa krajowe.

D/8. Przekłady na języki obce

Duży jest procent respondentów, którzy kupują przekłady książek polskich na języki obce. Na 185 aż 75 kupuje te przekłady. Czyżby Polak miał specjalną chęć na czytanie „Pana Tadeusza” po angielsku? (Bo więcej było takich, którzy kupili przekład niż czytali oryginał).

Zagadka jednak wnet się wyjaśnia gdy się weźmie pod uwagę inny fakt: 62 respondentów ofiarowało te przekłady swoim znajomym nie-Polakom. Widocznie, i słusznie, robią w ten sposób propagandę na rzecz kultury polskiej. Ale niektórzy z ofiarodawców są w związku z tym rozgoryczeni. Jeden z nich pisze: „Od chwili gdy dwie ofiarowane Anglikowi książki znalazłem po kilku tygodniach na straganie ze starzyzną, przestałem im dawać przekłady”. Inny respondent pisze, że również przestał dawać takie prezenty nie-Polakom, bo przekonał się, że „nawet ozdobne wydawnictwa ofiarowane spotyka zły los: obdarowani rzucają je do rupieci albo w najlepszym razie usuwa ją je sprzed oczu otoczenia”.

E. KSIĘGARNIE POLSKIE NA EMIGRACJI

E/1. Spis księgarń

Uzupełnieniem powyższej ankiety czytelniczej jest ankieta, przeprowadzona wśród księgarń polskich na emigracji. Poniżej daję streszczenie informacji, nadesłanych przez następujące księgarnie; wyliczam je w porządku alfabetycznym.

1. Kiermasz Książki Polskiej SPK (Solura, Szwajcaria),
2. Krystyna Ostrowska (Montreal, Kanada),
3. Oficyna Poetów i Malarzy (Londyn),
4. Ognisko Polskie (Londyn),
5. Orbis (Londyn),
6. Księgarnia Polska w Paryżu,
7. Składnica Książki Polskiej (Buenos Aires, Argentyna),
8. Księgarnia SPK (Londyn),
9. Szwede Gallery and Bookstore (Palo Alto, Kalifornia, USA),
10. F. Tyczyński (Londyn),
11. Vistula (Sydney, Australia).

Zwracam uwagę czytelnika na dwa fakty. Te 11 księgarń, które nadesłały o sobie informacje, nie reprezentują całego księgarstwa polskiego poza krajem choć prawdopodobnie stanowią najważniejsze placówki tego typu. Po drugie: w kilku sprawach, poniżej omówionych, odnosi się wrażenie, że wnioski, płynące z ankiety księgarskiej, nie zupełnie harmonizują z wnioskami, które można wyciągnąć z ankiety czytelniczej. Mimo to charakterystyka księgarń jest sama w sobie rzeczą interesującą, gdyż oczywiście wiąże się z problemem czytelnictwa, będącego przedmiotem ankiety głównej.

E/2. Historia księgarń

Powstanie ich przypada na okres 1944-1959 z dwoma wyjątkami. Najstarsza Księgarnia Polska w Paryżu, Księgarnia-weteran, powstała w roku 1833 i w zmiennych formach prawnych przetrwała okres 135 lat. Druga, najmłodsza, ale nacechowana największym bodaj rozmachem działalności handlowej, to londyńska Księgarnia SPK, założona w roku 1964.

E/3. Przedmiot handlu

Tylko 5 spośród wyliczonych 11-stu księgarń prowadzi handel wyłącznie książkami. Pozostałe sprzedają także inne rzeczy w oczywistym celu powiększenia swych obrotów, które bez tego nie byłyby wystarczające dla utrzymania się odnośnych firm.

Uzupełniającymi przedmiotami sprzedaży są przede wszystkim dzienniki i czasopisma, które w sposób naturalny poniekąd wiążą się z zapotrzebowaniem na książki, czyniąc te księgarnie sklepami słowa drukowanego w szerszym tego słowa znaczeniu.

Na drugim miejscu występuje uzupełniający handel polskimi płytami gramofonowymi, obrazami, medalami, kilimami itp. W pewnych wypadkach księgarnie, obok działu „towarowego”, sprzedają też usługi np. dostarczają bilety teatralne itp.

W zakresie handlu czystoksięgarskiego występuje nieraz ograniczenie go przez wyłączenie sprzedaży np. książek krajowych lub obcojęzycznych, ale na ogół księgarnie sprzedają zarówno książki emigracyjne jak i krajowe oraz pewne kategorie książek w obcych językach. Ta ostatnia kategoria nie jest jednak zbyt szeroka: z reguły dotyczy tylko tych książek obcojęzycznych, które wiążą się z tematyką polską. Wskazuje to w pewnej mierze na wąskość tematyczną klienteli chociaż wydaje mi się, że nie znajduje to daleko idącego potwierdzenia w danych ankiety czytelnicej.

Prawie wszystkie księgarnie sprzedają książki najrozmaitszych wydawców, z wyjątkiem jednej, która sprzedaje wyłącznie własne wydawnictwa. Oprócz działu wydawniczego w dwóch wypadkach prowadzi się też antykwariat.

O ile chodzi o sprzedaż pism, to według danych ankiety księgarskiej przeważają wypadki sprzedawania pism emigracyjnych z pewnym odchyleniem w kierunku tych pism krajowych, które pozbawione są charakteru politycznego.

Pewnym novum, niewątpliwie zapoczątkowanym przez Instytut Literacki w Paryżu, jest sprzedaż książek na tematy rosyjskie, wydawanych w języku polskim.

E/4. Obroty handlowe

Trudno je bliżej scharakteryzować, gdyż informacje księgarń nie wykazują wspólnego miernika obrotów, którym mogłaby być ilość sprzedanych jednostek towaru albo ich wartość pieniężna. W każdym razie zarysowuje się obraz znacznego rozpięcia w ilości sprzedanych książek czy innych artykułów przez poszczególne księgarnie.

O ile chodzi o podstawowy przedmiot handlu (książki), zbyt ich waha się w różnych firmach od 120 do 3.000 rocznie, przy czym rozmiar obrotów zależy od liczebności „aktywu” polonii polskiej w danym kraju osiedlenia i od jego ogólnej zamożności.

Zarysowują się tu dwie tendencje. Z jednej strony dynamika sprzedaży książek w kilku krajach wykazuje na ogół tendencję słabnącą. Z drugiej strony niewątpliwie jest stałe bodaj wzrastanie procentu książek krajowych w ogólnej ilości sprzedawanych książek. Warto byłoby przestudiować to ostatnie zjawisko w ramach okresu 1956-1968, bo oczywiście porównywanie tych lat z latami wcześniejszymi byłoby jałowe.

Skoro mowa o książkach krajowych, chciałbym zwrócić uwagę na wychodzący od 17-tu lat w Warszawie biuletyn pod tytułem „Zapowiedzi wydawnicze”. Zawiera on obszerny materiał na podstawie informacji, nadsyłanych przez instytucje wydawnicze. Przeważają oczywiście książki i broszury w języku polskim, ale sporo jest też cytowanych pozycji obcojęzycznych o tematyce krajowej. Biuletyn ten jest dobrym informatorem o ruchu wydawniczym w Polsce.

E/5. Rynek zbytu książek

Objemuje on dosłownie niemal cały świat. Polacy są prawie we wszystkich krajach — wszędzie tam polska książka jest czytana. Wchodzi tu w rachubę przede wszystkim kraje europejskie, a następnie Stany Zjednoczone, Kanada, Australia, nawet Japonia oraz kraje Południowo-Amerykańskie itd. Każda niemal księgarnia stara się dotrzeć wszędzie gdzie tylko może, jest jedna tylko, która sprzedaje wyłącznie na terenie Anglii.

Studiując odpowiedzi czytelników z najdalszych nawet krajów, p. Czesław Dobek pięknie napisał, że te głosy świadczą o tym, „jakby w każdym zakątku ziemi znajdował się Latarnik, z przejęciem czytający polską książkę”. Księgarze, którzy dzięki swej inicjatywie i rzutkości dostarczają tę książkę na wszystkie kontynenty świata, zasługują na nazwę ambasadorów literatury polskiej.

E/6. Metody sprzedaży

Jak zwykle w całym świecie tak i polskie księgarnie na uchodźstwie sprzedają przede wszystkim bezpośrednio klientom, zarówno osobiście zgłaszającym się do sklepu, jak i przez pocztę. Ale jest jedna księgarnia emigracyjna, która sprzedaje tylko przez pocztę, i jedna, której właściciele sami dostarczają książki do domu klienta.

Pośrednia sprzedaż też czasem ma miejsce tzn. księgarnie polskie sprzedają innym księgarniom, a te ze swej strony rozprawdają towar wśród swej klienteli. Stali przedstawiciele (agencje) są raczej wyjątkiem.

E/7. Typ nabywcy

Typ nabywcy jest bardzo różny w różnych krajach, przy czym poszczególne klasy społeczne są niejednakowo reprezentowane wśród klienteli poszczególnych księgarń. Są księgarnie, które obsługują przeważnie inteligencję, inne raczej warstwy ludowo-robotnicze, jeszcze inne wszystkie klasy. Zależy to zarówno od polityki danej firmy, jak i nieraz od jej historycznego rozwoju, któ-

ry niejako samorzutnie urobił jej charakter. Jedna z firm nastawiła się specjalnie na odbiorców niewykształconych i niezamożnych a jednak łaknących drukowanego polskiego słowa. Można też zauważyć pewne wypadki, gdy jedna firma ma gros swych klientów wśród nowszej emigracji, a inna wśród starej.

E/8. Sprawa reklamy

Gra ona różną rolę w police sprzedażnej poszczególnych księgarń, gdyż rozmaić wypada ich ocena skuteczności reklamy. W szczególności brak jest jednolitego poglądu na reklamę w formie ogłoszeń w pismach. To ostatnie jest kosztowne i dlatego ta metoda nie jest szerzej stosowana nawet w wypadkach, gdy dana firma uznaje potrzebę reklamy. Firmy anty-ogłoszeniowe rozsyłają katalogi albo demonstrują książkę przy okazjach nadzwyczajnych, np. na kiermaszach, albo polegają na reklamowej wartości dobrych recenzji, zwłaszcza w *Dzienniku Polskim*. Ma się wrażenie, że na ogół księgarze polscy nie są entuzjastami reklamy, co może świadczyć o niewspółczesności ich poglądów w dzisiejszym świecie, w którym intensywna reklama jest siłą napędową handlu.

Gdyby właściciele pism byli w stanie obniżyć cenę ogłoszeń, dotyczących książek, byłoby to nie tylko z korzyścią dla kultury polskiej, ale i dla nich samych — w dłuższym okresie czasu.

Wydać reklamę nietypowej np. poprzez kiermasze albo w tak zwanych specjalnych kampaniach spotyka się z mieszaną oceną księgarzy.

E/9. Co decyduje o powodzeniu książki?

Pytanie to jest niezwykle interesujące, a zarazem bardzo trudne. Opinie księgarzy w tej sprawie są silnie zróżnicowane. Wyśuwane są następujące czynniki: 1. nazwisko autora, o ile jest znany, 2. tematyka, 3. recenzja, ogłoszona w piśmie o dużym nakładzie, 4. nagroda literacka. Ciekawa to rzecz, że według niektórych księgarzy nagroda literacka, choć przyznawana zwykle z wielką pompą, nie powiększa popytu na książkę. W jednym wypadku księgarz, w kraju biednym, zaznacza, że cena jest czynnikiem ważnym. Na ogół, jak się zdaje, przeważa pogląd, że nie ma jednego jakiegoś czynnika, który by windował daną książkę do poziomu *bestseller'a* i że raczej wchodzi w rachubę kombinacja kilku czynników, z przewagą jednego nad innymi.

E/10. Niepołączalność sprzedaży książek polskich i obcych

W sprawie tej znakomita większość księgarzy wykazuje wspólny pogląd, że połączenie sprzedaży tych dwóch kategorii książ-

żek jest praktycznie niemożliwe. Wyjątek stanowi książka obcojęzyczna o tematyce polskiej, która merytorycznie jest jakby „polską” książką.

E/11. Jakie pisma idą najlepiej?

Dane są tu niekompletne, gdyż mniej niż połowa księgarzy wymieniła tytuły pism, które najłatwiej się sprzedaje. Na podstawie danych, które wpłynęły, można ustalić następującą „hierarchię powodzenia” poszczególnych pism:

1. Pisma emigracyjne — *Kultura* — *Wiadomości* — *Tydzień Polski* (porównaj C/1).

2. Pisma krajowe — tu prowadzą: *Przekrój* — *Stolica* — *Tygodnik Powszechny* — *Przegląd Sportowy*, choć trudno ustalić czy właśnie w tym porządku (porównaj z C/2).

E/12. Rola instytucji pomocniczych w sprzedaży książek

Chodzi o to, czy i jakie instytucje pomagają księgarzom w kierunku powiększania zbytu książek. Z całości ankiety księgarskiej odnosi się stanowcze wrażenie, że rola tych instytucji jest znikoma. Jest to zupełnie zrozumiałe, gdyż książka, jako towar, podlega zwykłym prawom rynku. Księgarz polski na emigracji, jak i w całym świecie wolnorynkowym, może liczyć tylko na siebie, na swoją rzutkość i energię, a nie na jakiegokolwiek instytucje „wspierające”. Te instytucje, np. kluby, stowarzyszenia itp. mogą wprowadzić drogą organizacyjną trochę i czasem ułatwić zadanie spopularyzowania książki, ale główny i decydujący wysiłek musi zrobić sam księgarz.

O ile chodzi o teren emigracyjny, potwierdzeniem słuszności tej tezy jest powodzenie książek, wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu i Polską Fundację Kulturalną w Londynie. Znakomita ich działalność wydawnicza wyrosła z talentu, pomysowości, energii i wytrwałości jednostek, które tymi wydawnictwami kierują. Nie dziw więc, że rynek chłonie te książki bo są dobre. Ale w tej teorii wolnorynkowej w stosunku do książki — nie należy posuwać się zbyt daleko.

Chciałbym tu wspomnieć o szczególnych trudnościach, które mają księgarnie polskie na uchodźstwie: brak ludzi o przygotowaniu handlowym i w ogóle brak pracowników ze względu na niskie uposażenia. Nie łatwo tę trudność usunąć, gdyż wiąże się ona z ogólną sytuacją finansową wszelkiej przedsiębiorczości polskiej na emigracji. Ale jest też inna wielka trudność, a tej jak się zdaje można by stosunkowo łatwo przeciwdziałać. Zwraća na nią uwagę jeden z wybitnych księgarzy. Chodzi o to, że sprzedaż książek nie jest uregulowana żadną umową między księgarzami i że brak porozumienia z organizacjami pisarzy. W tych warunkach często się zdarza, że sami autorzy przyczy-

nią się do obniżania cen poniżej poziomu opłacalności z punktu widzenia kalkulacji księgarskiej. Ów księgarz nie proponuje żadnej „zmowy”, która windowałaby cenę książki ponad możliwość konsumenta, lecz o znalezienie rozwiązania, nacechowanego rzeczywistą praktycznością i stanowiącego optymalne wyjście z trudnej sytuacji. To znów nas prowadzi do sprawy potanienia ogłoszeń, do powiększenia zbytu książki przez reklamę, do potanienia jej produkcji i do polepszenia sytuacji księgarza i autora. Sprawa to niezmierniej wagi, zwłaszcza z punktu widzenia zainteresowania młodych książką polską na emigracji. Fakt, zacytowany przez jednego z księgarzy, że np. na 100 czytelników *Kultury* — jego klientów — przypada jeden młody, jest ostrzeżeniem. Oczywiście nie należy tego zbyt pochopnie uogólniać.

E/13. Dodatkowe uwagi o księgarstwie

Uderzającym aspektem czytelnictwa i księgarstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych jest brak udziału w ankiecie innych, słynnych księgarń jak np. Roy. Czyżby rynek na polską książkę w tak wielkim środowisku polskim, jakim są Stany, skurczył się tak dalece? Do rozmiaru Palo Alto? (miasteczka kalifornijskiego, w którym znajduje się księgarnia p. Szwede).

Ale obraz czytelnictwa polskiego nie jest może zbyt ponury, gdy się weźmie pod uwagę, jak sprawa czytelnictwa przedstawia się u innych narodów. *Sunday Times*, wielkie londyńskie pismo niedzielne, przeprowadziło badania nad angielskim rynkiem księgarskim i stwierdziło, że tylko 15 procent ludności dorosłej kupuje książki w twardej oprawie i że tylko 9 procent ludzi w wieku ponad 65 lat w ogóle nabywa książki, podczas gdy młodzież kupuje przeważnie *paperbacks*. Na czele nabywanych książek idą romanse, sentymentalne opowieści, awantury szpiegowskie i kryminalne afery. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, co wynika z danych naszej ankiety czytelniczej, że Polacy czytają nie tylko dużo książek polskich (i to poważnych), ale także dużo obcojęzycznych, to okaże się, że czytelnictwo polskie, mimo trudnych warunków bytowania Polaków na uchodźstwie, nie stoi zbyt daleko w tyle za angielskim. Ostatecznie utrzymujemy wiele bibliotek, kilkanaście księgarni, kilka domów wydawniczych i wiele (czy nie za wiele?) pism. Mimo to dążyć należy oczywiście do dalszego wzmożenia czytelnictwa. W związku z tym p. Czesław Dobek wysuwa pytanie: „Kiedy czytałeś ostatnio polską książkę, przyjacielu?” Wydaje się, że stosunkowo niewielka ilość odpowiedzi na ankietę tłumaczy się nie tylko znanym „ankietowstrętem”, ale również niechęcią do przyznania się do tego, że tę ostatnią książkę — czytało się już dawno.



Interesującą jest rzeczą, że przy ankietach zawsze coś wypty-

nie, czego się człowiek zupełnie nie spodziewa, a co jest godne zastanowienia. Dla mnie taką rzeczą był np. pogląd, wypowiedziany przez jednego czy dwóch księgarzy, którzy wzięli udział w ankiecie. Według nich nagrody literackie nie są czynnikiem popularności i „chodliwości” książki. Któż by się tego spodziewał? A oto inny księgarz (ze Szwajcarii) mówi, że na sprzedaż książki wpływają czynniki, zdawałoby się zupełnie niezwiązane z istotą rzeczy: „Sposób podania jest ważny. Jeżeli sprzedawczyni jest ładna, ubrana w piękny strój ludowy — powodzenie jest mrowane, książki płyną jak rzeka”.



Najobszerniej napisał o losach księgarstwa polskiego na obczyźnie p. Szwede, właściciel księgarni wymienionej w E/1. Smutna to historia. Wspólnie z młodym studentem uniwersytetu w Los Angeles p. Szwede otworzył w roku 1959 galerię obrazów i księgarnię. Początkowo galeria szła nieźle, ale potem okazało się, że trzeba z obrazami skończyć i wziąć się wyłącznie do książek, i to specjalnych. Nasz księgarz postanowił zaopatrywać w polskie książki działy slawistyki na uniwersytetach amerykańskich i osiągnął w tej dziedzinie dobre rezultaty. „Fundusze bibliotek uniwersyteckich i specjalnych wydają się niewyczerpane”, mówi on. Te fundusze są głównymi nabywcami książek (70 %). Poza tym klientami są profesorowie i studenci. Ale na ogół zbyt książek jest mało, mniejszy niż by mógł być. Dlaczego? „Główną przeszkodą w rozpowszechnianiu i poczytności książek polskich w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie jest niewątpliwie kurczowe trzymanie się języka polskiego przez tutejszych polskich *leaderów* i organizacji”. Potrzebne jest wprowadzenie do Stanów periodyku, pisanego po angielsku a zajmującego się sprawami polskimi. Powodzenie takiego pisma jest, według p. Szwede, murowane a skutki łatwe do przewidzenia: powiększenie koła osób interesujących się polską książką i polskimi sprawami. Trudno ocenić praktyczną wartość tej sugestii, zwłaszcza siedząc w Londynie. Nasuwa się jednak proste pytanie: czy zajmujący się sprawami polskimi, a nie znający języka polskiego, Amerykanin kupi polską książkę — nawet przy zachęcie owego periodyku angielskiego? Rozważania p. Szwede, które tu streszczamy, wykraczają poza ramy ankiety. Warto jednak zastanowić się i nad takim projektem, który na pierwsze spojrzenie nie wydaje się zupełnie jasny.

F. REFLEKSJE I UWAGI REDAKTORA ANKIETY

F/1. Nieco psychologii

Często się zdarza w ankietach, że ludzie nie tylko odpowiadają (albo... nie odpowiadają) na zadane im pytania, ale także mówią to, co mają na sercu, choć może nie ma to bezpośredniego związku z przedmiotem ankiety. Tak też było w tym wypadku. Swoobodne, nieskrępowane przez kwestionariusz wypowiedzi przyniosły tu *food for thought*, nad którym nie należy przechodzić do porządku dziennego.

W materiale, który przestudiowałem, znalazły się pewne wypowiedzi nacechowane bezpośredniością, które rzucają światło na życie Polaków rozproszonych po całym świecie. Ich warunki życiowe, ich samotność i tęsknoty, sukcesy i zawody, wspomnienia i nadzieje — muszą mieć wpływ na sprawę czytelnictwa. Uwzględnienie go w charakterystyce czytelnictwa jest rzeczą ważną gdyż czysto statystyczny element w materiale ankietowym nie wystarcza.

Oto pracownik opieki społecznej, lat 52, mieszkający w Winnipeg (Kanada) pisze: „Pana Tadeusza czytałem już 10 razy z nostalgią, a jeszcze raz przeczytałem go, w angielskim przekładzie, mojej żonie, która nie jest Polką. To najlepsza lektura, to po prostu biblia. A może to wszystko dlatego, że się starzejemy”. A znów ksiądz w wieku lat 55, czynny w wielkim mieście amerykańskim, uskarża się na to, że „środowisko, w którym żyjemy po tej stronie, jest zupełnie obojętne na sprawy kultury polskiej, obawiam się nawet, czy wie ono co to jest ankietka, bo poza dolarem, golfem, giełdą i dobrym jedzeniem nie interesuje się niczym. A my z Europy czujemy się tu jak na wyspie. Kto ma jako takie poczucie trwania w kulturze polskiej, ratuje się jak może, ale 90 procent ulega tutejszym wpływom. Dlatego pustka i jeszcze raz pustka dookoła”. Co najmniej 15-tu respondentów w podobny sposób przedstawia swoje losy, użalając się, że zmuszeni są żyć poza kręgiem życia polskiego i jego spraw. Bardzo liczni podkreślają, jak wielkie ma dla nich znaczenie otrzymywanie pism polskich takich jak *Kultura* i *Wiadomości*.

Nostalgia zatacza szerokie kręgi wśród ludzi starszego pokolenia. Tęsknoty ludzkie za przeszłością ujawniają się nie tylko w fakcie powtarzania się nazwisk autorów takich, jak Sosnkowski, Sokolnicki, Pragier, Zajac, Sosabowski i Kopański — ale i w ciepłych słowach, w których respondenci piszą o książkach tych autorów. Przebijają z tych głosów niewygasłe zainteresowania „kombatanckie”. W innych głosach zauważyć można, że tęsknota idzie w parze z jakimś głębszym wyczuwaniem historii narodu. Respondent zamieszkały we Francji mówi: „Gdy czytam Sienkiewicza, to mam nadzieję na przyszłość, bo takie to wszystko było wspaniałe w dawnych, dawnych czasach”. To coś jakby echo słów Krasińskiego, że tylko ten naród, który ma wielkie wspomnienia, może mieć wielkie nadzieje. I może tu tkwi klucz do wyjaśnienia, dlaczego czytelnicy Mickiewicza, Sienkiewicza, Kraszewskiego albo innych wielkich — z wielkiej przeszłości — piszą o nich w słowach tak gorących, jakich nie spotyka się w stosunku do literatury współczesnej, nawet bardzo wartościowej. Niektórzy respondenci ubolewają nad tym, że ludzie za mało czytają. Bo kto właściwie wchodzi w rachubę jako czytelnik, pyta jeden z respondentów: „starzy mają słabe oczy, wolą telewizję a młodzi czytają często tylko brukową produkcję albo tańczą noc w noc albo piją albo się kochają”.

Najbardziej może interesujące, a z pewnością najbardziej wzruszające są głosy ludzi prostych. Oto staruszek, który już niemal

zapomniał języka polskiego, ma przed sobą kwestionariusz *Kultury* i z widocznym trudem pisze: „Tyi tabeli wypełnić jestto dlamnie zacieszko, moj wiek skonczyłem 90 latek a 20-Lutego zacząłem 91 roczek ale chcum pomuc”. Respondentka, w wieku lat 80, pisze: „jestem chora więc czytam dōżo książek, ale se ich sama kupuje bo tu w Nancy niema Biblioteki, a ja czytam głuwnie religijne literatury”. Ta sama respondentka przedstawia obszernie, co myśli o piśmie *Narodowiec*: jest on jej przewodnikiem i światłem.

To wszystko świat ludzi starszych, starych i bardzo starych, ludzi zmęczonych życiem, nieraz w takim stopniu że, jak pisze jeden z nich, „choć mam lat dopiero 60, najczęściej po pracy całodzienniej nie mam już siły nawet na przeczytanie codziennej gazety”.

Ale poza tym światem ludzi starych jest oczywiście i świat młodych. Jak wynika z tablicy B/3 niewielu młodych skorzystało z zaproszenia do uczestnictwa w ankiecie. Ale ci, którzy napisali odpowiedzi, uderzają w ton trzeźwy, mówią konkretnie, a nuta patriotyczna nie przybiera u nich charakteru sentymentalnego. Jeden z tych młodych pisze: „Tylko jeden rodzaj pism polskich czytam i cenię: te, które mówią nie o tym, co było, ale o tym, co jest i będzie. Zgrzybiejemy i zjełczejemy jeżeli wciąż będziemy wspominać przeszłość, wielbić przeszłość, grzebać się w przeszłości. Trzeba myśleć o przyszłości, bo tylko to jest ważne i tylko to się liczy”.

Z grupy tych ludzi młodszych wychodzą też pewne konkretne sugestie pod adresem redakcji *Kultury*. Jedna z nich brzmi następująco: „Stwórzcie stałą rubrykę w tym świetnym miesięczniku, zawierającą rady, co czytać. Jestem tak zajęty pracą zawodową, że nie mogę znaleźć czasu na szukanie po omacku dobrych książek polskich i o Polsce. Redakcja ma z pewnością lepszą niż ja orientację w tej sprawie, bo wie, co w szerokim świecie ludzie myślą i piszą”. Inny respondent pisze: „Tyle miejsca zajmują w *Kulturze* tablice chronologiczne, a są one mało pożyteczne; ani ja sam ani nikt z moich znajomych nigdy z nich nie korzysta choć od dawna się je drukuje. Czy nie lepiej zrobić porządną przegląd prasy krajowej, żebyśmy wiedzieli, co w kraju się pisze i również wiedzieli, co mamy o tym sądzić. Radzę skasować chronologię i wprowadzić na to miejsce przegląd prasy krajowej”. Respondentka z Ameryki proponuje administracji *Kultury* żeby usprawniła wysyłkę egzemplarzy do tego kraju: „Moja *Kultura* przyplłynęła do mnie o 2 tygodnie później niż do redakcji *Gwiazdy Polarnej* — dlaczego? Czy wysyłka nie powinna się odbywać dla wszystkich odbiorców w jednym czasie”*.

* Ekspedycja każdego numeru *Kultury* ma miejsce jednego i tego samego dnia — do wszystkich Czytelników i do wszystkich krajów (Red. *Kultury*).

F/2. Reprezentatywność ankiety

Redaktorowi każdej ankiety nasuwa się pytanie: czy jest ona reprezentatywna? Bo jeżeli nie, to co z niej za pożytek? Czy ankieta, w której bierze udział 185 osób, przypadkowo spotykających się na łamach tego miesięcznika, może dać miarodajną odpowiedź na pytania, o które chodzi?

Zapewne, wszelkie ankiety na emigracji są za mało reprezentatywne po prostu dlatego, że nie dysponujemy potrzebnym aparatem naukowym i aparatem łączności, koniecznymi przy próbach głębokiego studiowania opinii publicznej. Ale nie znaczy to bynajmniej, że ankiety, nawet oparte na skromnych, jak niniejsza, podstawach, są bezwartościowe. Bądź co bądź jest faktem, że mamy przed sobą około 200 osób, zarówno mężczyzn jak kobiet, będących w różnym wieku, uprawiających różne zawody, mających różne wykształcenie, mieszkających w najrozmaitszych środowiskach społecznych, w wielu krajach i na różnych kontynentach. Należy przy tym wziąć też pod uwagę, że w okresie 25 lat pobytu na uchodźstwie nikt dotąd nie zainteresował się bliżej problemem czytelnictwa emigrantów, żyjących poza Anglią. Inicjatywa *Kultury* jest pierwszym krokiem w procesie wstępnego badania tej sprawy, która z pewnością jest warta naukowego opracowania przez socjologów polskich w bliskiej przyszłości. W zrobieniu tego pierwszego kroku leży dodatnia wartość tej ankiety. Mimo wszelkich, nieuniknionych jej braków, rzuca ona jednak snop światła na ten problem.

F/3. Momenty polityczne

W zamiarach organizatorów tej ankiety nie było żadnych intencji politycznych: codziło o obiektywne zbadanie, co ludzie czytają, jakie gazety i książki cenią, co ta lektura im daje. Mimo to momenty polityczne ujawniły się w licznych odpowiedziach.

Dwie osoby uważają literaturę krajową, jako całość, za „truciznę dla narodu”. To zdanie nie jest podzielane przez pozostałych 183 respondentów skoro pozycja krajowa jest procentowo tak silnie reprezentowana w lekturze (vide D/2 i C/2). Odnosne cyfry świadczą o daleko idących zainteresowaniach literaturą krajową, co wyłącza tezę, że jako całość jest ona trucizną. Tego rodzaju pogląd nie uwzględnia faktu, że nie cała przecież literatura krajowa należy do kategorii propagandy. Dużo jest książek wręcz wspaniałych, które można i należy czytać ponieważ są warte czytania. Ostatnio przeczytałem np. Z. Kosidowskiego „Rumaki Lizypa” — piękna książka. Czytałem też Mariana Drozdowskiego „Politykę gospodarczą rządu polskiego 1936-1939”, która zawiera dobry materiał informacyjny i bezstronne na ogół komentarze, nawiązujące do tego okresu. Dlaczego nie czytać dobrych książ-

żek? Nie ma żadnego uzasadnienia dla ryczałtowego potępiania literatury krajowej. To też 90 procent respondentów tego nie czyni. Wielu jest czytelników emigracyjnych, którzy uważają pewne książki krajowe za szczególnie wartościowe.

Jest rzeczą zrozumiałą, że stosunek do prasy krajowej kształtuje się inaczej niż do wielu książek, wychodzących w PRL. Z danych, ilustrujących jakie gazety krajowe są czytane na emigracji wynika (vide C/2), że „idą” właśnie niepolityczne pisma krajowe, a to ma oczywiście wymowę polityczną.

Także wymowę polityczną ma charakter książek, które respondenci sami czytają albo ofiarowują swym przyjaciołom nie-Polakom, w przekładzie na obce języki. Dane cyfrowe, dotyczące tych dwu kategorii książek, znajdzie czytelnik w części „D” sprawozdania. O ile chodzi o prezenty, to wyraźnie zarysowuje się przewaga książek politycznych nad wszelką inną tematyką. „Pan Tadeusz po angielsku stanowił prezent tylko w 3 wypadkach, natomiast np. książkę o Katyniu ofiarowano w 12 wypadkach, a więc mniej więcej co piąty ofiarodawca wybierał tę książkę (por. D/8). Z tego wyłania się ogólne wrażenie że — wciąż mówię tylko o kole respondentów — dwie tendencje są jasne. Z jednej strony emigranci, jak powiedziano, czytają prasę krajową przeważnie niepolityczną; z drugiej strony, gdy dają obcym prezenty książkowe, są to przeważnie książki polityczne. Gdyby ta ankieta przyniosła nie 185 odpowiedzi lecz, powiedzmy, choćby 1.850, to wnioski z niej płynące, a dotyczące upolitycznienia emigracji, byłyby bardziej miarodajne. Ale i te małe cyfry coś nie coś jednak mówią. Zwłaszcza jeżeli się weźmie także pod uwagę poglądy wypowiedziane przy okazji oceniania książek, wydawanych na emigracji (vide D/5).

Wreszcie coś na wesoło. Jeden z respondentów pisze: „Czytam wyłącznie *Kulturę*, która liże żydowską dupę”. Wypowiedź ta niewątpliwie pochodzi od zdecydowanego filosemity, skoro czyta on wyłącznie pismo, które wykazuje tak niezdrowe skłonności.

F/4. „Kultura” i „Wiadomości” (szkic porównawczy)

Ankieta wykazała, że na uchodźstwie dwa pisma są najważniejsze: paryska *Kultura* i londyńskie *Wiadomości*. Rzecz charakterystyczna, że pisma te reprezentują tak odmienny typ: inna tematyka, inny stosunek do życia, inny sposób pisania i zupełnie różne sylwetki intelektualno-psychologiczne redaktorów.

Kultura wykazuje daleko idące wyczulenie na to, co czytelnika naprawdę interesuje, tętni żywą aktualną tematyką, mówi o doniosłych sprawach współczesnego świata, jest pismem problemów. *Wiadomości* są dalsze od bieżącego życia, patrzą częściej wstecz niż naprzód, a przy tym są pismem raczej literackim niż politycznym, choć polityka jest reprezentowana przez prof. Adama Pragiera w jego artykułach. Ale artykuły te, choć znakomicie

pisane, znajdują oddźwięk tylko w świecie uchodźstwa polskiego: nie słysząc o nich ani w kraju ani u obcych. *Kultura* jest zaś jedynym pismem emigracyjnym, które wyrwało się z polskiego getta i zdobyło rozgłos światowy. W prasie krajowej pełno jest artykułów o *Kulturze*. Więc bardzo różny jest zasięg tych dwóch pism.

Redaktor *Kultury* nie jest ani publicystą ani w ogóle pisarzem: o ile wiadomo nie napisał ani jednego artykułu w swym życiu. Redaktor Grydzewski jest pisarzem. Ale nawet jako redaktorzy Giedroyc i Grydzewski to przeciwne bieguny. Pierwszy wierzy we „władzę redaktora”, mocną ręką ustala zasadniczą treść i charakter swego miesięcznika, podczas gdy drugi wykazuje postawę zupełnie odmienną w prowadzeniu pisma: nie chce wpływać na autorów, nie sugeruje tematów, nie chce żeby jego tygodnik „robił politykę” i drukuje niemal wszystko byle by to było dobrze napisane. Dbą przy tym w wysokim stopniu o nienaganą polszczyznę, która Giedroycowi jest dość obojętna. Ten ostatni jest sitem dla napływającego do redakcji materiału, podczas gdy Grydzewski podobno kiedyś żartobliwie o sobie powiedział, że nie chce być redaktorem, lecz skrzynką do listów dla rękopisów.

W *Wiadomościach* znajdziemy od czasu do czasu całe szpalty wypełnione artykułem, który interesuje może kilka osób w całym świecie. W *Kulturze* taka rzecz jest nie do pomyślenia: tu wszystko jest nastawione na powszechność zainteresowań, albo co najmniej na przeważającą zainteresowania.

Kultura jest pismem kontrowersyjnym i nigdy nie wiadomo, co z niej wyskoczy. *Wiadomości* płyną równym, patriotycznym rytmem, nie ma w nich niespodzianek, ich zasady zostały ustalone kilkadziesiąt lat temu i żadnych istotnych zmian się nie wprowadza.

Wiadomości są pismem „statecznym”, jak mieszczaństwo. *Kultura* to pismo w gruncie rzeczy rewolucyjne, w którym — jakby dla ironii — drukuje się wywody „ewolucjonistyczne”. Redakcja *Wiadomości* nigdy nie narusza reguł *savoir vivre*'u w stosunku do braci dziennikarskiej — z redakcji *Kultury* wyszło niedawno oświadczenie implikujące, że tylko ona jest niezależnym ośrodkiem polskiego myślenia politycznego.

Oba te pisma grają poważną rolę w życiu duchowym polskim. Czterdzieści lat pracy Grydzewskiego i 20 lat pracy Giedroycia zbudowały dwie wielkie pozycje w polskiej literaturze ogólnej i politycznej. Każde z tych pism to więcej niż pismo — to instytucja.

Antologia *Wiadomości* ukazała się już w druku jako wydawnictwo Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie. Antologia (jednak w języku angielskim) *Kultury* ma się ukazać w tym roku. Wydaje mi się jednak, że to nie wystarczy. Każde z tych pism warte jest pogłębionego studium, które powinno się ukazać w kompletnym opracowaniu. W szczególności interesujące byłoby studium, dotyczące *Kultury* jako ośrodka politycznego. Oddziały-

wanie tego ośrodka na pewne umysły w Polsce jest bowiem widać poważne, skoro w prasie krajowej poświęca się tak dużo miejsca na zwalczanie tego miesięcznika.

F/5. Zakończenie

Kończąc to sprawozdanie, chciałbym jeszcze raz podkreślić, że ankieta niniejsza to bardzo skromny krok w badaniu problemu czytelnictwa na emigracji. W ubiegłych latach na łamach *Kultury* ogłoszono wysoce kompetentne w tej sprawie artykuły Danilewiczowej, Mochlińskiej i Wilczyńskiej. Ale wszystko to nie wystarcza. W przyszłości należałoby zrobić jeszcze jedną ankietę, zakrojoną na nierównie większą skalę i posługującą się naukowymi metodami badania opinii publicznej. To właśnie proponuję Redaktorowi *Kultury*, sugerując jednocześnie, żeby w organizowaniu tej przyszłej ankiety istotną rolę odegrali znawcy bibliotekarstwa i socjologowie.

Uważam wreszcie za konieczne dodać jeszcze jedną uwagę. Liczne dodatnie cechy *Kultury*, które w tym szkicu podkreśliłem, nie oznaczają, że aprobeuję jej linię polityczną.

Stanisław ZARZEWSKI

WYJAŚNIENIE. — Z kilku stron zwrócono moją uwagę, że do pierwszej części mego sprawozdania z ankiety czytelniczej (marcowa *Kultura*) wkładły się pewne nieprawidłowości. Dotyczą one sprawy poczytności przede wszystkim *Tygodnia Polskiego* i *Na Antenie*. Moi informatorzy twierdzą, że jeżeli ktoś czyta londyńskie *Wiadomości*, to z pewnością również czyta *Na Antenie*, choćby tego miesięcznika osobno nie wymieniał. Podobnie jeżeli kto czyta *Dziennik Polski*, to również czyta *Tydzień Polski*. Moi informatorzy twierdzą więc, że ilość „czytań” jest większa od tej, którą podałem. Bardzo możliwe, że tak jest istotnie. Ale redaktor ankiety nie może opierać swej statystyki na możliwościach ani nawet na prawdopodobieństwie: musi opierać się na takim materiale, jaki otrzymał w formie pozytywnych wypowiedzi od uczestników ankiety. O ile chodzi o *Robotnika*, to tu istotnie zaszła omyłka ze strony mojego pomocnika, który liczył głosy respondentów. Pomieszał on *Robotnika*, który wychodził w Ameryce z *Robotnikiem*, który wychodzi w Londynie, i pominął głosy dotyczące drugiego, przyjmując że to on właśnie przestał wychodzić, podczas gdy w rzeczywistości *Robotnik* w Ameryce zawiesił publikację. W ten sposób londyński *Robotnik* niesłusznie został pominięty. *De facto* zdobył on 12 punktów poczytności. Należy tę cyfrę wstawić do tabelki, w marcowej *Kulturze* na stronie 29.

S. Z.

Zapísane wczesnym rankiem

Do mowy

Moja wierna mowo,
służyłem tobie.

Co noc stawiałem przed tobą miseczki z kolorami
żebyś miała i brzozę i konika polnego i gila
zachowanych w mojej pamięci.

Trwało to dużo lat.

Byłaś moją ojczyzną bo zabrakło innej.
Myślałem, że będziesz także pośredniczką
pomiędzy mną i dobrymi ludźmi,
choćby ich było dwudziestu, dziesięciu,
albo nie urodzili się jeszcze.

Teraz przyznaję się do zwątpienia.

Są chwile kiedy zdaje mi się, że zmarnowałem życie.
Bo ty jesteś mową upodlonych,
mową nierozumnych i nienawidzących
siebie bardziej może niż innych narodów,
mową donosicieli,
mową konfidentów,
chorych na własną niewinność.

Ale bez ciebie kim jestem.

Tylko szkolarzem gdzieś w odległym kraju,
a success, bez lęku i poniżeń.

No tak, kim jestem bez ciebie.

Filozofem takim jak każdy.

Rozumiem, to ma być moje wychowanie:
gloria indywidualności odjęta,
Grzesznikowi z moralitetu
czerwony dywan podściela Wielki Chwał,
a w tym samym czasie latarnia magiczna
rzuca na płótno obrazy ludzkiej i boskiej udręki.

Moja wierna mowo,
może jednak to ja muszę ciebie ratować.
Więc będę dalej stawiać przed tobą miseczki z kolorami
jasnymi i czystymi jeżeli to możliwe,
bo w nieszczęściu potrzebny jakiś ład czy piękno.

Czesław MIŁOŚZ

Pochodzenie społeczne czyli Łapa

— Ty wiesz, że przyszła tutaj za tobą opinia z poprzedniej szkoły... — powiedział mój nowy dyrektor.

— Tak, wiem... — odpowiedziałem.

— No to mam nadzieję, że będziesz się starał wykazać się lepszą postawą?... To jest najlepsze męskie gimnazjum w Łodzi i nie każdego tu przyjmujemy. Przyjąłem cię, bo szkoda mi było twojej matki, która przede mną płakała, a poza tym byłeś bądź co bądź zetempowskim aktywistą...

Postanowiłem sobie, że zacznę życie od nowa. Będę się uczył, grał w piłkę. Będę uprzejmy dla wszystkich bez wyjątku. A zwłaszcza dla nauczycieli. Nie będę więcej mieszał się w żadne nie swoje sprawy. A co najważniejsze, nigdy więcej nie będę aktywistą w ZMP.

Nic jednak nie wyszło z mojego najważniejszego postanowienia. Już na pierwszej przerwie podszedł do mnie przewodniczący i odciągnął mnie na stronę.

— Chyba wiesz, że przyszła tutaj za tobą opinia z dzielnicy?... Myślę, że teraz tym bardziej będzie ci zależało, żeby wykazać się dobrą pracą w organizacji?...

Odpowiedziałem mu, że nie chciałbym więcej brać na siebie żadnej odpowiedzialnej funkcji.

— Jakto? — popatrzył na mnie przeciągle. — Uchylacie się od pracy społecznej, kolego?...

Na najbliższym zebraniu zgłoszono moją kandydaturę do zarządu i wszedłem jednogłośnie. Po zebraniu zarząd pozostał, żeby się na nowo ukonstytuować i stało się to, czego się obawiałem — wyznaczono mi funkcję agitacyjno-propagandowego. Broniełem

* Fragment przygotowywanej książki pt. *Życie ideologiczne*.

się. Tłumaczyłem, że jestem w szkole nowy, że nie znam terenu. Sugerowałem dla siebie funkcję sekretarza, albo skarbnika. Nie pomogło. Powiedzieli mi, że nie będę przecież pracował sam, tylko razem z nimi, a oni wystarczająco znają tutejszy teren. Zresztą nie widzieli lepszego kandydata na agitacyjno-propagandowego niż ja. Dziwiło mnie to, bo przecież mnie nie znali. Nawet jeśli w opinii było napisane o wszystkich moich zdolnościach, to czytał ją tylko przewodniczący ZMP, dyrektor szkoły i najwyżej jeszcze sekretarz POP. Dziwiło mnie, że byli tacy jednomyślni. Gdzie to zostało powiedziane, że ja muszę być zawsze agitacyjno-propagandowym, w każdej szkole, w jakiej się znajdę? Oczy mi się otworzyły, gdy zwołałem zebranie agitacyjno-propagandowych wszystkich kół klasowych. Wszyscy agitacyjno-propagandowi byli żydowskiego pochodzenia w tej szkole.

Byliśmy dobrymi agitacyjno-propagandowymi, to prawda. Umieliśmy wyjaśniać przyczyny wszystkich trudności gospodarczych i wszelkie posunięcia partii i rządu. Umieliśmy uzasadniać konieczność każdej podwyżki cen i takie zjawiska jak brak żywności w kraju rozwijającym się gospodarczo. Nie było rzeczy, której nie bylibyśmy w stanie wyjaśnić. I nie mogło być. Kiedy nie wystarczały wiadomości z zakresu leninowsko-stalinowskiej teorii budowy podstaw socjalizmu ani sama inteligencja i dialektyczne myślenie, sięgaliśmy do Notatnika Agitatora, w którym znajdowały się wytyczne i instrukcje na temat każdego aktualnego zagadnienia. Notatnik dostarczano nam zawsze, gdy tylko pojawiała się jakaś nowa trudność gospodarcza lub skomplikowane wydarzenie polityczne. Często Notatnik zjawiał się jeszcze zanim dowiadывaliśmy się o nowym wydarzeniu lub trudności. Chodziło wtedy o to, żeby ludzi na daną ewentualność przygotować. Żeby zawczasu uodpornić na wpływy wrogiej propagandy i żeby nie było zaskoczenia. W nadzwyczajnych wypadkach, gdy zachodziła obawa, że sam Notatnik nie wystarczy, wzywano nas na dzielnicę, albo do samego Zarządu Łódzkiego i odbywano z nami szkolenie. My potem mieliśmy obowiązek nabyte wiadomości przekazać całemu aktywowi szkolnemu, który z kolei organizował zebrania dyskusyjne w klasach. Jeśli sprawa była doniosłej wagi, woźny zamykał na klucz wszystkie drzwi, żeby nikt się nie wymknął po lekcjach i organizowaliśmy ogólnoszkolną masówkę. Referowaliśmy sprawę. Wyznaczeni i przygotowani mówcy zabierali głos w dyskusji i zgłaszali wnioski do rezolucji, co wyglądało dość głupio, bo rezolucja z tymi wnioskami leżała cały czas na prezydialnym stole, gotowa, i nikt nawet nie fatygował się, żeby udawać, że jest ona redagowana i podejmowana w czasie zebrania.

Chłopcy słuchali wszystkiego z twarzami pozbawionymi wszel-

kiego wyrazu. Gdy zarządzaliśmy głosowanie, głosowali jak trzeba, wszyscy, jednogłośnie, bez sprzeciwu i bez żadnych wstrzymujących się. Ale w żaden sposób nie można ich było skłonić do samorzutnego, spontanicznego zabrania głosu. Dlatego jeśli chcieliśmy mieć dyskusję, dyskutanci musieli być przygotowani. Aktywiści mówili to, co trzeba i starali się, żeby to, co mówili było „szczerze” powiedziane. Ale chociaż pracowaliśmy ciężko nad dyskutantami spoza aktywu, bo takich też przecież musieliśmy mieć, było to zawsze żałosne i litość budzące bekanie. Czasem musieliśmy uciekać się do pytań kontrolnych. — No jakto, kiedzy? Nic nie mówicie, milczycie? Tylko aktywiści mówią? A was to nic nie obchodzi? My wiemy co nasi aktywiści myślą. My byśmy chcieli wiedzieć, co myślicie wy? No, co na przykład wy myślicie, kolego? — Milczenie. — Co, nie macie nic do powiedzenia? — Znowu milczenie. — No powiedzcie coś! Zgadzacie się z tym, co zostało tu powiedziane, czy się nie zgadzacie? Mówcie, śmiało! Miejcie cywilną odwagę! — Kto, ja?... Ja się zgadzam...? — padała odpowiedź. To było wszystko. Nie można było ich skłonić do zabrania naprawdę głosu. Nie mogłem już znieść tych zebrzań. Irytowało mnie słuchanie „dyskusji”, którą sam przygotowywałem. Jeszcze bardziej irytowało mnie jej przygotowywanie. Już to jedno wystarczało, żeby nienawidzić funkcji agitacyjno-propagandowego.

Rozumiałem apatię na masówkach, ale nie mogłem pojąć otępienia na ideologicznym szkoleniu w poszczególnych zetempowskich kołach. Mówiło się przecież o istocie i sensie wydarzeń historycznych i tych, z którymi spotykaliśmy się sami, jak również o strategii i taktyce partii przed rewolucją, w czasie i po rewolucji. Siedzieli oswiali, a na kolokwiah, na które przybywali przedstawiciele dzielnic, okazywało się, że nic z tego nie pojmowali.

Co tam szkolenie ideologiczne! I co można było komu zrobić, jeśli nie umiał, nie rozumiał tego, co się do niego mówiło? Postawić dwóję? Najwyżej nie robił w organizacji kariery. Ale to samo zdarzało się na lekcjach. Na lekcjach historii, polskiego, nauki o świecie współczesnym. Chodziło tylko o zrozumienie bardzo prostego mechanizmu materialistycznego i dialektycznego pojmowania dziejów. Był to łatwy klucz do wszystkiego. Siedzieli oswiali. Czasem wydawało mi się, że nawet nie słuchali. Bo gdyby słuchali, musieliby świetnie rozumieć. Byli to przecież chłopcy, którzy z zapalem i w lot uczyli się matematyki, fizyki i chemii. Niektórzy wygrywali miejskie i krajowe olimpiady matematyczne. Było to naprawdę najlepsze gimnazjum w Łodzi. Więc tym bardziej coś tu nie było w porządku. Wszystko wyjaśnił mi Łapa.

Łapa był jedynym w naszej klasie i jednym z nielicznych w

szkole chłopców prawdziwego robotniczego pochodzenia. Do trójki chodzili bowiem przede wszystkim chłopcy, których ojcowie zajmowali jakieś stanowiska w Łodzi, albo byli z tamtymi na stanowiskach spokrewnieni lub utrzymywali z nimi innego rodzaju bliski kontakt. Prócz tego chodzili tu synowie wszystkich łódzkich adwokatów i lekarzy. W ankietach personalnych pisaliśmy pochodzenie społeczne robotnicze lub robotniczo-chłopskie również chłopcom, których ojcowie, obecnie na stanowiskach, byli kiedyś robotnikami, albo robotniczymi działaczami, albo pochodzili ze wsi. Pisaliśmy komu tylko się dało, ale i tak nie mogliśmy zaimponować nikomu procentem uczniów pochodzenia robotniczo-chłopskiego w naszych sprawozdaniach. Była to, mówiono na dzielnicy, nasza największa słabość.

Toteż z każdym takim jak Łapa obchodzono się jak z surowym jajkiem. Interesowano się sytuacją materialną. Przyznawano ulgowe drugie śniadania. Sprawdzano czy ma warunki do odrabiania lekcji w domu. Stosowano koleżeńską pomoc w nauce, jeśli zaszała potrzeba.

Pewnego razu Łapa zachorował na gripę. Nasza wychowawczyni, Melania, oświadczyła, że ktoś z nas powinien odwiedzić Łapę. Zgłosiłem się na ochotnika.

Łapa mieszkał aż w Rudzie Pabianickiej. Jechało się tam godzinę czasu tramwajem. W mieszkaniu składającym się z pokoju z kuchnią suszyła się porozwieszana na sznurach bielizna. Poszwy i prześcieradła jak kurtyny zwisały do samej podłogi i przesłaniały światło dzienne. Troje maluchów zwinnie manewrowało pomiędzy nimi. Bawili się w chowanego. Było to młodsze rodzeństwo Łapy.

Ojciec Łapy pracował w dawnej fabryce Scheiblera, tego samego, którego Niemcy rozstrzelali wraz z jego synem, zaraz jak tylko weszli w trzydziestym dziewiątym roku, chociaż obaj byli Niemcami. Była to największa fabryka w Łodzi i przed wojną ojciec Łapy nawet nieźle zarabiał. Wtedy kto miał pracę, miał z czego żyć. Mieszkali wówczas w jednej z tych drewnianych, parterowych chałupek z wysokimi, wiejskimi dachami i też zajmowali jeden pokój z kuchnią, ale wtedy było ich tylko troje. Nawet za Niemców nie było im tak źle. Niemcy robotników potrzebowali. Trudno było wyżyć z tego, co się dostawało na kartki, więc matka Łapy jeździła na wieś i szmuglowała. Ryzykowała wiele, ale głodu nie zaznali. Po wojnie dostali pokój z kuchnią w murowanym budynku. To mieszkanie było po Niemcach, znacznie lepsze od poprzedniego, ale przyszły na świat młodsze dzieci, a nie było już więcej wolnych mieszkań w Łodzi.

Jako wykwalifikowany robotnik ojciec Łapy po wojnie zara-

biał na stare pieniądze trzydzieści tysięcy na miesiąc. Para butów kosztowała wtedy sześć, siedem tysięcy, a garnitur piętnaście, więc ojciec Łapy mógł wtedy kupić za swoją pensję cztery pary butów, albo dwa garnitury. Za tysiąc złotych dniówki można było kupić ze cztery kilo mięsa, albo osiem kilo cukru. Bułka kosztowała pięćdziesiąt groszy, pięćdziesiąt groszy tramwaj, dziesięć złotych bilet do kina.

Po wymianie pieniędzy trzydzieści tysięcy miało równać się dziewięćset złotych, bo w tym samym stosunku zostały zmienione ceny. Ale ceny się nie utrzymały. Gazety zaczęły udowadniać, że niektóre artykuły, zwłaszcza żywnościowe, są za tanie, podczas gdy inne, przemysłowe, za drogie. Za tanie okazało się przede wszystkim mięso, masło, cukier, chleb oraz węgiel i przejazdy tramwajem. I podniesiono na nie ceny. Natomiast obniżce uległy ceny na maszyny górnicze i hutnicze, lokomotywy i szyny tramwajowe. Potem gazety zaczęły pisać, że dla rozwiązania gospodarczych trudności sama regulacja cen nie wystarczy. Ogłoszono jednoczesną podwyżkę cen i płac. Ludzie pracy nic na tym nie tracą, pisały gazety, bo płace podnosi się równocześnie z cenami. Jest to tylko cios wymierzony w handlarzy, spekulantów i tym podobnych pasożytów społecznych. Podwyżki cen i płac rzeczywiście odbyły się r ó w n o c z e ś n i e. Ale zanim kto się obejrzał okazało się, że za swoją podwyższoną pensję już nigdy nie będzie mógł kupić tyle co przedtem. Po czterech latach, gdy pensja Łapy ojca wynosiła już nie dziewięćset, ale tysiąc osiemset złotych, mógł on za swoją dniówkę kupić już tylko dwa kilo mięsa lub cztery kilo cukru. Za całą miesięczną pensję mógł nadal kupić cztery pary butów, ale tylko jeden garnitur. Bułka zaś, choć były to już przecież nowe pieniądze, kosztowała jak przedtem pięćdziesiąt groszy, tyleż samo zresztą i przejazd tramwajem i tak jak przedtem, dziesięć złotych, bilet do kina. Robotnicy pili. A co mieli robić? Strajkować? Nawet narzekać nie wolno im było zbyt głośno. Pili więcej niż kiedykolwiek przedtem — teraz przynajmniej mieli zawsze powód. I ojciec Łapy pił tak jak wszyscy. Matka, żeby wyżywić dzieci przyjmowała do prania bieliznę, którą prała i suszyła w mieszkaniu. Codziennie wisiła tam bielizna na sznurach poprzeciąganych we wszystkie strony i codziennie było parno, duszno i ciemno.

Łapa rzeczywiście nie miał warunków do nauki w domu. Wiedział o tym ZMP, Komitet Rodzicielski, Melania. Melania przychodziła na zebrania klasowego koła ZMP i mówiła:

— Chłopcy, waszym zetempowskim obowiązkiem jest doprowadzić Łapę do matury. Wiecie jakie on ma trudne warunki. Niestety, nie wszyscy jeszcze żyją u nas tak jak trzeba. Staramy się, żeby było lepiej i wierzymy, że będzie, kiedy pokonamy

przejściowe trudności... Zresztą, ja wam nie muszę tego tłumaczyć, macie swoje ideologiczne szkolenia i znacie to wszystko sami. Chodzi tylko o to, że powinno się stać waszą ambicją, aby Łapa zdał maturę! Jest to ambicją nas wszystkich! Powinniście podjąć stanowcze, zetempowskie zobowiązanie!...

Podjęliśmy. Każdy kto przodował z jakiegoś przedmiotu zobowiązał się pomagać z tego przedmiotu Łapie. Ja zobowiązałem się mu pomagać z polskiego.

Pomoc polegała na tym, żeby zabierać Łapę po szkole do siebie do domu i razem z nim odrabiać lekcje. To znaczy dopilnować, żeby Łapa odrobił, bo Łapa był naprawdę zdolny i jeśli tylko regularnie odrabiał lekcje, to żadnej pomocy od nikogo nie potrzebował. Ale tu była też cała trudność, bo Łapa nie zawsze chciał odrabiać lekcje. W ogóle nie chciał się uczyć i wyglądało na to, że nie zależy mu na zrobieniu matury. Bywały dni, że odmawiał pójścia do kogokolwiek do domu, a na drugi dzień przychodził z nieodrobionymi lekcjami.

Nikt nie lubi odrabiać lekcji, Ale jeśli ktoś z nas nie odrobił, to starał się przynajmniej przepisać przed lekcjami, albo na przerwach, z zeszytu kolegi. Łapa zaś nawet tego nie robił. Na przerwie zamykał się z papierosem w ubikacji. Szliśmy za nim do ubikacji i prosiliśmy: — Łapa, masz przepisz ode mnie!

— A odpierdólcie się ode mnie, towarzyszu! — odpowiadał Łapa. — Czego wyście się wszyscy tacy dobrzy dla mnie zrobili? Czy to wasz zasrany interes, czy ja dostanę lufę czy nie?...

Jeśli Łapa nie był przygotowany z polskiego albo historii wszczynaliśmy na lekcji dyskusję, żeby nauczyciel nie miał czasu go pytać. Dyskutowaliśmy o konflikcie klasowym omawianego okresu historycznego, albo o postawie ideologicznej takiego czy innego autora. Jeśli nie mieliśmy naprawdę nic do powiedzenia, to wspominaliśmy o nędzy wyzyskiwanego przez feudałów lub kapitalistów ludu, albo o tym, że w omawianym okresie już daje się zaobserwować powstawanie proletariatu i pewnych form ruchu robotniczego — zależało o jakim okresie historycznym była mowa. Było nas w klasie dwóch, trzech specjalistów od prowadzenia tego rodzaju dyskusji, a nauczyciel nie śmiał odmówić nam prawa zabierania na ten temat głosu. Wolał raczej zmarnować lekcję. W ten sposób Łapa wiele razy przesiedział bezpiecznie do dzwonka.

Również na lekcjach biologii mogliśmy przy wielu okazjach wyśmiewać burżuazyjne, idealistyczne teorie powstania życia na ziemi, a podkreślać doniosłe znaczenie odkryć Łysienki i innych uczonych radzieckich. Nawet na chemii udawało nam się od czasu do czasu sterroryzować nauczyciela osiągnięciami radzieckiego

przemysłu chemicznego, lub znaczeniem chemii w Planie Sześcioletnim.

Nie mogliśmy tylko wszczynać dyskusji na lekcjach matematyki i fizyki. Jakie znaczenie polityczne mogły mieć prawa Archimedes, Newtona, Pascala lub wzór Pitagorasa? A do tego nasz fizyk, Hanicz, był reakcjonistą, który wcale nas się nie bał. Wysoki, wyprostowany, miał siwe lecz gęste włosy, krótko ostrzyżone, na jeża, co bardzo uwydatniało naprawdę ładny kształt jego czaszki. Prawdopodobnie z tego powodu nawet w trzaskający mróz nie używał żadnego nakrycia głowy. Lekcje podawał krótko i rzeczowo, w ten sam sposób nas pytał. Z nikim się nie wdawał w dyskusje. Tylko raz nie wytrzymał i naszemu przewodniczącemu, który od wszystkich nauczycieli dostawał dobre stopnie, chociaż był ostatnią nogą w klasie, powiedział: — Wiesz co, ja ci postawię tę trójkę z fizyki na maturze, ale pod warunkiem, że nigdy nikomu nie powiesz, kto cię uczył fizyki w szkole... — Był z pewnością reakcjonistą. Ale był też najlepszym nauczycielem fizyki w Łodzi.

Zresztą Łapa nie miał kłopotów z fizyką. Tego nie potrzeba było uczyć się w domu, jeśli się uważało na lekcjach. Łapa był też najzręczniejszy z nas przy przeprowadzaniu doświadczeń. Fizyk lubił go za to. Jeśli tylko potrzebował, żeby ktoś mu przy doświadczeniu asystował, zawsze wołał Łapę. Łapa pomagał mu przygotowywać doświadczenia przed lekcją, a czasem i po lekcjach w laboratorium zostawał. Istniała jakaś cicha sympatia pomiędzy eleganckim, wyniosłym profesorem Haniczem, a zaniedbanym i dosyć niedbałym w zachowaniu Łapą.

Trudno jednak było poradzić sobie z matematyką, jeśli nie ćwiczyło się regularnie w domu.

— No, Łapa, chodź do tablicy! — mówił z zachęającym uśmiechem Flakus. Przez długi czas nie wiedziałem dlaczego nazywano go Flakus. Tak samo jak nie wiedziałem, dlaczego na wychowawczynię mówiło się Melania, chociaż miała na imię Helena. Potem dowiedziałem się, że i Flakus i Melania należeli do partii i stwierdziłem, że wszyscy partyjni nauczyciele zostali obdarzeni przez chłopców tego rodzaju partyjnymi pseudonimami.

— No, Łapa, nie słyszałeś co powiedziałem? — powtórzył Flakus. — Chodź!

Każdy z nas, nawet nie przygotowany, szedł do tablicy licząc na to, że może jakoś się uda, tylko Łapa kręcił przecząco głową.

— Co, nie chcesz iść do tablicy, Łapa?...

— Nie chcę, panie profesorze.

— Jakto nie? Widzicie go, chłopcy? — próbował żartować Flakus. — No, dlaczego nie idziesz?

— Bo nie jestem przygotowany.

— Nie zwracaj głowy, Łapa! Chodź, bo nie ma czasu! Już ja sam zobaczę, czy jesteś przygotowany czy nie...

— Kiedy to naprawdę nie ma sensu, panie profesorze.

— Łapa, przestań się mądrzyć! Nie ty jesteś od tego, żeby mnie uczyć, co nie ma sensu, a co ma sens...

Flakus wciąż jeszcze próbował obrócić wszystko w żart. Prawdopodobnie i partia podjęła zobowiązanie, żeby Łapę doprowadzić do matury, bo od jakiegoś czasu Flakus robił co mógł, żeby tylko nie wstawić mu dwóli. Flakus był sekretarzem partii i może dlatego zależało mu na Łapie bardziej niż samej Melanii. Sęk tylko w tym, że Flak był strasznie nerwowo.

— No, przecież powiedziałem, chodź! — powtórzył Flakus.

— A ja przecież powiedziałem, że nie pójdę — odpowiedział Łapa.

— Łapa!... — powiedział Flakus spokojnie jeszcze, ale już głos mu zaczynał drżeć. — Chcesz, żebym ci wstawił dwóję?...

— To już pana sprawa, panie profesorze — odpowiedział Łapa.

— Dwója! — Flak trzasnął piórem o dziennik. — Masz dwóję, słyszysz?!

— Słyszę, słyszę. Ale dlaczego pan profesor tak się denerwuje? — zdziwił się Łapa. Nerwus Flakus, któremu niewiele już było potrzeba, aż się zagotował widząc bezczelną pogodę i spokój Łapy.

— Wyjdź z klasy! Natychmiast! Kpiny sobie będziesz urządzać? Wyjdź i nie wracaj na moje lekcje dopóki nie przyjdzie ojciec i matka!

— Tatuś nie może, zajęty jest pracą zawodową...

— Ja jestem w szkole codziennie do późna w nocy, może przyjdź do mnie po pracy!

— Kiedy po pracy mój tatuś rzadko bywa trzeźwy...

Flakusa na chwilę zatkało. Już otwierał usta, żeby wrzasnąć, ale opanował się i tylko przełknął ślinę.

— Dobrze, niech przyjdzie matka...

— Mamusia nie przyjdzie...

— Jakto nie przyjdzie? A to dlaczego?...

— Bo ma większe kłopoty na głowie...

— Wynos się! Wynos mi się natychmiast! Nie wpuszczę więcej do klasy! Przysięgam, że nie wpuszczę!...

— Wpuści pan profesor, wpuści... — powiedział Łapa pakując spokojnie książki. — Boże, tacy wszyscy nerwowi w tej szkole...

Oczywiście, że Flakus Łapę wpuścił. Bez przyścia ojca i matki. Ale ile my i Melania musieliśmy się napracować, żeby Łapa zechciał wrócić do szkoły?

Właściwie najtrudniej było pomagać Łapie z polskiego. Łapa nie lubił pisać żadnych wypracowań. Po prostu nie znosił tego. Nie lubił też czytać zadanych do lektury książek. Różne książki czytał, ale nie te, które były zadane. Musiałem mu te książki opowiadać. Mówiłem mu również, co należy pisać w takich a takich wypracowaniach, a czego nie należy.

Przed każdą zapowiedzianą klasówką musieliśmy dłużej u mnie posiedzieć. Mama nie chciała, żebym siedział bez jedzenia, pewnego razu weszła i postawiła przed nami obiad. Łapa był trochę zaskoczony, ale zjadł z apetytem. Zjadł również za drugim razem. Ale za trzecim razem popatrzył na mnie przeciągle zanim przysunął się do talerza, a kiedy go odprowadzałem powiedział: — Jeśli twoja matka jeszcze raz mnie poczęstuje obiadem, to więcej do ciebie nie przyjdę... — Powiedziałem mamie, żeby więcej tego nie robiła.

Nam powodziło się lepiej niż niektórym rodzinom, których ojcowie byli na stanowiskach. Mój ojczym, Uszer, miał pensję niewiele większą niż ojciec Łapy, ale mama zarabiała drugie tyle nie chodząc do żadnej pracy, woziła z Pabianic surówkę, która pochodziła z nielegalnych krosien pracujących w piwnicach i na strychach. Dostarczała ją do doktora Kobielskiego. Doktor Kobielski wraz z żoną i dwiema córkami uczenicami liceum plastycznego, surówkę farbowali i malowali ją w kwiaty. Jeśli pojawiała się w jakimś sklepie surówka państwowa, która była miększa, gładsza i bielsza, bo prywaciarze nie mieli takich środków chemicznych, to znajome sprzedawczynie ze sklepu zawiadmiały mamę i inne kobiety, które natychmiast wszystko wykupywały, a doktor Kobielski z rodziną malował. Z ufarbowaną i wymalowaną w kwiaty żorzetą mama jeździła do Warszawy, do pani Grzybowskiej, która z kolei rozprowadzała towar do pracowni krawieckich i na Bazar Różyckiego. Zarabiało się na tym nieźle. Doktor Kobielski, świetny pediatra, rzucił pracę w klinice, a nawet własną praktykę, bo samo malowanie bardziej się opłacało.

Poza tym dostawaliśmy paczki z Ameryki. Co miesiąc przychodziła pocztą lotniczą para pończoch, albo jedwabna apaszka. Cło za jedną apaszkę lub parę pończoch było niewielkie, a sprzedać było można za dwieście pięćdziesiąt złotych. Co kilka miesięcy przychodziła paczka z używaną odzieżą. Cło za używane rzeczy wynosiło pięć złotych od kilograma, więc mieliśmy zupełnie darmowe ubranie. Między innymi przez ubieranie się w amerykańskie rzeczy miałem nieprzyjemności w poprzedniej szkole. Z paczek odzieżowych również mogliśmy sporo przeznaczyć na sprzedaż.

Prócz tego Uszer jako zaopatrzeniowiec brał przy każdej okazji delegację służbową w teren. Jeździł drugą klasą, bo nigdy nie dbał o wygodę, i pociągiem osobowym, bo nie miał powodu się

spieszyć, a pieniądze brał za pierwszą klasę pociągiem pospiesznym. Dostawał do tego dwadzieścia złotych diety, czego również nie wydawał, bo zabierał z domu kanapki i duży termos herbaty. Posada zaopatrzeniowca dawała mu jeszcze inne możliwości. Jeśli nie było zamków do teczek i torebek damskich w legalnych punktach spółdzielczych i państwowych, kupował je w prywatnych warsztatach. Właściciel warsztatu dzielił się z Uszerem częścią swojego zarobku. Kierownik spółdzielni, która nie była w stanie dostarczyć zamków, stawiał pieczętkę na kwicie, za co dostawał od Uszera w prezencie nowiutką damską torebkę lub teczkę ze świńskiej skóry. Uszera spółdzielnia mogła w ten sposób wykonać plan i wypłacić pracownikom premie i wszyscy byli zadowoleni. Jeśli zaś kiedy indziej było za dużo zamków, Uszer odstępował je prywatnym wytwórcom torebek, którzy również to potrafili docenić. W ten sposób wiązało się koniec z końcem. Ale co mogli robić tacy ludzie jak ojciec Łapy? To co udawało im się wynieść z fabryki wystarczało, po przekupieniu rewidenta, na butelkę wódki, nie więcej.

Nie miałem za złe Łapie, że pogardził obiadami mamy. Nie miałem mu za złe, że wszystkimi pogardzał. Sam pogardzałem. Łapa był szczery, dlatego wołałem go od innych moich kolegów. Nawet jeśli czasem powiedział mi coś przykrego. Wołałem go od zetempowców, którzy przed klasówką nie zapominali pokryjomu wstąpić do kościoła i pomodlić się o pomyślny wynik. Wołałem go nawet od tych uczciwych, którzy wierząc w Boga woleli otwarcie chodzić do kościoła niż wstąpić do ZMP, chociaż wiedzieli, że w ten sposób sami umieszczali siebie na samym końcu listy kandydatów na politechnikę, uniwersytet lub akademię medyczną. Nie wiem na ile Łapa mógł wierzyć w Boga, ale i on pogardzał takimi, którzy nie umieją się obejść bez boskiej pomocy nawet przed głupią klasówką.

Wiedziałem, że Łapa nie wstąpiłby nigdy do ZMP. Nawet gdyby był stuprocentowym ateistą. Ja wstąpiłem, kiedy miałem niecałe trzynaście lat. Teraz bym chętnie wystąpił, gdybym mógł sobie na to pozwolić. Ale wystąpić znaczyło być wyrzuconym. Mógł czasem sobie dostać się na studia ktoś, kto nie należał do ZMP, ale nie ktoś, kto został wyrzucony. A mnie bardzo zależało na studiach. Tak bardzo, że pewnego razu zwróciłem się do Łapy z pytaniem:

— Dlaczego ty nie chcesz się uczyć, Łapa? Dlaczego nie zależy ci na tym, żeby wstąpić na politechnikę, być kimś? Przecież tobie powinno na tym zależeć bardziej niż wielu innym? Dlaczego jesteś przeciwko wszystkim?

— Jeśli ty jesteś taki mądry, to dlaczego jesteś taki głupi?...

— odpowiedział Łapa. — Aż mnie czasem zastanawia skąd taka głupota się bierze?...

— Nie rozumiem.

— Ty jesteś dobry chłopak, nie powiem, ale głupi, że włos się jeży... Ty wierzysz we wszystko czego cię uczą w szkole? No powiedz, może nie wierzysz?

— Owszem, wierzę...

— A potem powtarzasz to, czego cię nauczyl i myślisz, że jesteś okropnie mądry... A tymczasem jesteś głupi, ciemny jak tabaka! Jesteś głupszy od wszystkich chłopaków. Aż mi cię nieraz żal. Czy ty myślisz, że tylko ty rozumiesz, co się do ciebie mówi? Myślisz, że inni tego nie rozumieją? Tu wszyscy wszystko rozumieją. Nie gorzej od ciebie. Lepiej! O wiele lepiej od ciebie! Ale udają głupich. A co mają robić? Słuchają tego, co do nich mówią i tego, co ty do nich mówisz, frajerze! Słuchają, bo muszą. Ale powtarzać tego nie muszą... Dlatego nic nie odpowiadają, milczą. Albo cholera ich bierze, albo się w duchu śmieją. Ale o to chodzi, że oni nie wierzą. Nie są takimi frajerami jak ty! Rozumiesz? W ani jedno słowo nie wierzą...

— To dlaczego nie mówią? Dlaczego nie zabierają głosu?...

— Czy ty kpisz? Widzisz, ja ciebie lubię, inaczej nigdy bym ci tego wszystkiego nie powiedział. Ale tak jak cię lubię, tak czasem aż ręka mnie świerzbi, z taką przyjemnością bym cię rąbnął w ten zakuty łeb! Naprawdę dziwisz się, że nie zabierają głosu?...

— No dobrze, powiedzmy, że już się nie dziwię... Ale Łapa, przyznaj, komu przed wojną zależałoby na tym, żebyś ty zdał maturę? Albo żebyś poszedł na studia? Kogo by to w ogóle obchodziło? Czy daliby ci bezpłatną szkołę?

— Bezpłatną szkołę? Moja matka drogo za nią płaci.

— Nieprawda, nic nie płaci.

— A to że i ona i małe nie mają co zjeść, bo ja zamiast iść do roboty jak inni, chodzę sobie do szkoły z takimi bubkami jak wy?...

— Ale to się przecież opłaci, Łapa! I tobie się opłaci i im. Zrobisz polibudę, będziesz inżynierem, i sam będziesz kimś i im będziesz mógł pomóc.

— O, co to to już nie! — powiedział Łapa. — Maturę mogę zdać, jeśli wam wszystkim tak okropnie zależy. Przecież widzę, że już spać przeze mnie nie możecie po nocach! Ale jeszcze pięć lat tego?... Zresztą, rodzina by mnie wykleła. Chłopaki z mojej ulicy już mnie nienawidzą. Ich też zrobicie inżynierami? A komu to, do cholery, pomoże, że ja będę inżynierem? Że będę poganiał innych, a w wolnych chwilach pisał donosy?... I dupę lizał każdemu głupiemu bucowi z Warszawy? Ja tu widzę już

dosyć przyszłych inżynierów... Przyszłych profesorów, redaktorów, prokuratorów i tym podobnych speców... Dosyć was będzie beze mnie!

— A kim ty chcesz zostać?

— Kim? Drwalem!...

— Drwalem?...

— A tak. Pojadę w lasy augustowskie. Będę tam drzewo ciąć. Praca na wolnym powietrzu, zdrowa... Już moja głowa w tym, że będę miał co zjeść i za co wypić. I co tak patrzysz na mnie? Nie wierzysz?... Spotkamy się jeszcze kiedyś to wtedy na siebie popatrzymy... Na przykład spotkamy się na zjeździe absolwentów za dziesięć lat. Wtedy porozmawiamy. Wtedy zobaczymy do czego wyście doszli i czegoście dokonali... Ale wtedy... — niepoważna zawsze, dziecinna twarz Łapy, na której wciąż jeszcze nie było nawet śladu zarostu, wyciągnęła się i pociemniała i wydał mi się w tej chwili o dziesięć lat starszy. — Wtedy uwaga!... Jeśli okaże się, że wyście naprawdę wyszli na ludzi, a ja stałem się szmatą, to w porządku! Odbiję flaszkę spirytusu i zapiję się na śmierć. Ale nie daj Boże, jeśli będzie na odwrót! Jeśli okaże się, że to wy staliście się szmatami... Fagasami, skurwysynkami, dyplomowanymi szmatami... Z dyplomami za te robotniczo-chłopskie pieniądze, o których tak ciągle się mówi... To, jak Boga Kocham, przywożę ze sobą śrutówkę i wszystkim co do jednego jaja wam powystrzelam!... Ee! — machnął ręką — co tam dziesięć! Spotkamy się za dwadzieścia lat! Będziecie mieli więcej czasu...



Siedziałem na egzaminie pisemnym zaraz za Łapą. Widziałem jak Flakus co chwila zaglądał mu przez ramię i coś mu podpowiadał.

— Pan profesor wie, że nie wolno podpowiadać — mruknął w pewnej chwili Łapa.

— Ale człowieku, co ty wyrabiasz! — syknął Flakus.

— Tylko niech się pan nie denerwuje, panie profesorze, przecież to nie pan zdaje maturę tylko ja...

Mieliśmy zadanie stereometryczne z zastosowaniem trygonometrii. Ponieważ Łapa nie zdążył opanować wszystkich formuł i wzorów, rozwiązywał najprostszym sposobem jaki widział, po prostu na rozum. I rozwiązał je, całkiem logicznie, a co najważniejsze, otrzymał wynik w granicach tolerancji. Najwidoczniej ci, którzy układali dla nas zadania, nie zauważyli, że bez zastosowania stereotypowych wzorów rozwiązanie było o wiele prostsze.

Egzamin ustny mieliśmy dopiero w parę tygodni później i Łapa zdążył się dobrze obkuć. Po wylosowaniu zadań siadało się

w ławkach, gdzie wolno było przygotować sobie rozwiązania na kartce. Przed Łapą zdawał Landau, który miał zawsze piątkę z matematyki. Gdy wyszedł z kartką do tablicy, Flakus zawołał: — Co, ty Landau będziesz rozwiązywał z kartką?...

Landau schował kartkę do kieszeni. Rzeczywiście nie była mu ona potrzebna.

Kiedy przyszła jego kolej, Łapa ostentacyjnie wcisnął kartkę w kieszeń i też bez pomocy notatek wypisał wszystkie rozwiązania.

Henryk GRYNBERG

BIBLIOTEKA « KULTURY » — TOM 171

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

SEN MARA

Ostatnie wiersze

Str. 128.

Cena egz. F. 11 (dol. 2,50)



CZARNY POLONEZ

Poezje

WYDANIE DRUGIE

Str. 40.

Cena egz. F. 7 (dol. 1,75)

Refleksje współczesne (2)

Lord Mountbatten wyreżyserował kapitulację Japończyków z daleko większym poczuciem chwili dziejowej niż gen. MacArthur, który nie miał tradycji imperialnych. Generałowie i dowódcy japońscy w Singapore nie tylko podpisali akt kapitulacji lecz składali przed lordem Mountbattenem swoje szable samurajskie. Na Okinawa z japońskiej załogi liczącej 20.000 żołnierzy zostało przy życiu tylko 200 żołnierzy. Wydaje mi się, że japońskim dowódcom należało zostawić ich samurajskie miecze by chronić ich twarz.

Mój ojciec jako młody oficer austriackiej marynarki ożenił się z Japonką. Ówczesny poseł austriacki w Tokio, hr. Coudenhove-Kalergi, był również ożeniony z Japonką. Pierwsza żona mojego ojca po kilku latach zmarła na gruźlicę. Na wsi podhalańskiej wzrosłem w kulcie dalekiej Japonii i mój sąd o tym kraju zabarwiony jest osobistym sentymentem.

Zwycięstwo w Azji było totalne. Na wodach azjatyckich nie było sowieckich okrętów wojennych — Rosja nie była jeszcze mocarstwem atomowym i Anglosasi laurem zwycięstwa nie musieli się z nikim dzielić. Jednakże owo wspaniałe i drogo okupione zwycięstwo — jak słusznie zauważył Lord Mountbatten — było łabędzim śpiewem brytyjskiego imperium.

Upadek brytyjskiego imperium pociągnął za sobą w skali globalnej poważniejsze konsekwencje niż klęska Niemiec, Włoch i Japonii. W pozaeuropejskim świecie stopniały niemal całkowicie tzw. „wpływy Zachodu”. Europa przeżyła upadek imperium hiszpańskiego. Lecz równoczesny upadek imperiów brytyjskiego, francuskiego i holenderskiego — nie mówiąc o zamorskich posiadłościach belgijskich i portugalskich — zamknął wielowiekowy okres przywódczej roli Europy.

Gdyby upadek imperium brytyjskiego zwiastował upadek imperializmu na naszym globie — oznaczałoby to olbrzymi krok naprzód we właściwym kierunku. Tak się jednak nie stało. Impe-

rializm w wydaniu sowieckim prześcignął wszystkie wzory brytyjskie czy francuskie.

Żołnierze polscy przemierzali Środkowy Wschód od Teheranu po Tobruk. Po wycofaniu się Brytyjczyków z tych obszarów powstała próżnia, którą systematycznie wypełniają Sowiety. W ostatnich dwóch latach Rosjanie zainwestowali w Egipt w postaci sprzętu wojennego około miliarda dolarów. Pomoc Sowietów dla całego świata arabskiego na przestrzeni ubiegłych 18 miesięcy, w ocenie Amerykanów, wyniosła około 3 miliardów dolarów. Łatwiej nam przyjdzie ocenić wymiar owej kwoty jeżeli uprzytomnimy sobie, że pomoc ekonomiczna i wojskowa Stanów Zjednoczonych dla wszystkich narodów świata nie przekroczy w tym roku sumy dwu i pół miliarda dolarów. Wymiana handlowa Stanów Zjednoczonych z krajami Środkowego Wschodu od czasu sześciodniowej wojny spadła o 30 %. Siły lotnicze Egiptu są dziś nie tylko odbudowane lecz o 50 % liczniejsze niż przed wojną. Egipcjanie posiadają również czołgi T-54 i T-55 ze skomputeryzowaną kontrolą ognia, wszelkiego typu pociski, nowoczesną artylerię itd. itd. Oczywiście ów skomplikowany sprzęt obsługuje tłum sowieckich instruktorów. W każdym ważniejszym porcie arabskim istnieje odgradzona „strefa sowiecka”. W owych strefach wyładowuje się sprzęt wojenny, który jest strzeżony przez żołnierzy Armii Czerwonej. Strefy są *de facto* sowieckimi bazami, choć skrzętnie unika się tej nazwy.

Mimo zaprzeczeń prez. Nasera — Amerykanie stwierdzili, że pod Kairem stacjonuje sowiecka eskadra zwiadowcza, która śledzi ruchy 6-tej floty. Nie brak sowieckich instruktorów w Mers-El-Kebir a porty: Aleksandria, Port Said, Latakia, Tartus — są — by zacytować opinię amerykańską „równie dostępne dla sowieckiej floty wojennej jak Odessa”.

Ci z nas, którzy służyli w polskim wojsku w Afryce i na Środkowym Wschodzie zdają sobie lepiej sprawę niż inni, że owe egzotyczne nazwy przytoczone powyżej obejmują kluczowy obszar będący zwornikiem trzech kontynentów: Azji, Afryki i Europy.

Osobiście nie podzielam optymizmu tych amerykańskich znawców przedmiotu, którzy twierdzą, że sympatie świata arabskiego można jednego dnia zdobyć a drugiego dnia stracić. Instruktorów sowieckich można jednego dnia zaprosić lecz pozbyć się ich nie jest rzeczą łatwą. Gdyby Naser chciał wyrzucić Rosjan z Egiptu Moskwa z całą pewnością oświadczyłaby, że wraz z Rosjanami wyjedzie cały sowiecki sprzęt. Rząd Egipski oczywiście nie byłby w możności zapłacić w twardej walucie za dostawy sowieckie.

Rosjanie opuszczają Środkowy Wschód tylko w dwóch wypadkach. Jeżeli zostaną wyrzuceni siłą przez Amerykanów — na co się nie zanosi — albo jeżeli dojdzie do układu Wielkiej Czwórki (ściśle wielkiej Dwójki) — który stworzyłby nowy porządek rzeczy na tym obszarze.

Warto podkreślić, że w swojej polityce na Środkowym Wschodzie Sowiety nie opierają się na komunistach i rewolucjonistach — tylko pertraktują z rządami, które są przy władzy.

Konflikt na Środkowym Wschodzie podobnie jak konflikt na Dalekim Wschodzie czy konflikt berliński — ma dwa oblicza. Izrael broni swego niepodległego bytu — zachodni Berlińczycy bronią swojej wolności — południowi Wietnamczycy bronią się przed dominacją komunistów.

Owe konflikty oglądane z Waszyngtonu czy z Moskwy nabierają zupełnie odmiennego charakteru. Dla Rosjan na Środkowym Wschodzie przeciwnikiem nie jest Izrael, ani Arabowie nie są sojusznikami. Arabowie są pionkami w grze przeciwko Ameryce. Podobnie Izrael w oczach Moskwy jest pionkiem Ameryki w grze przeciwko Sowietom.

Ów schemat spełnia swoje zadanie tylko wówczas gdy rzeczywiste interesy narodu-pionka pokrywają się przynajmniej w 60 % z interesami hegemonicznego super-mocarstwa. Powyższy schemat nie zagrał ani w Czechosłowacji ani w Wietnamie. Natomiast Nasser — sądząc z jego ostatnich wypowiedzi — jest przekonany, że interesy egipskie i sowieckie na Środkowym Wschodzie są w znacznej mierze zbieżne. Egipcjanie wierzą niezachwianie, że za Izraelem stoi Ameryka i wierzą równie niezachwianie, że Izrael wygrał sześciopdniową wojnę dzięki bezpośredniej pomocy mocarstw zachodnich. Jeżeli za Izraelem stoi Ameryka — wydaje się pożądanym i celowym z punktu widzenia Nassera, by za Egiptem stało drugie super-mocarstwo to jest Sowiety.

Z Środkowego Wschodu przenieśmy się na Daleki Wschód. Jeżeli Amerykanie wyjdą z Wietnamu kto będzie ich spadkobiercą? Sprawa jest skomplikowana ponieważ mamy dwóch potencjalnych pretendentów do amerykańskiej „masy upadłościowej” — tj. Rosję i Chiny. Lecz może zbyt wcześnie Wietnam odpisujemy na straty?

Pewien poważny publicysta emigracyjny analizując sytuację w Wietnamie napisał niedawno, że Amerykanie zwalczają dziś nie północny lecz południowy Wietnam. Innymi słowy wykazują więcej „giętkości” i kompromisowości niż antykomunistyczny reżym w Saigonie.

Polacy popełniają często kardynalny błąd, który wypacza obiektywną analizę. Antykomunizm identyfikują z demokracją, liberalizmem i wolnością. Stany Zjednoczone są antykomunistyczne i demokratyczne. Lecz reżymy w Grecji i w Hiszpanii są antykomunistyczne i antydemokratyczne. Dlaczego tolerujemy w ramach tzw. „wolnego świata” reżymy antydemokratyczne, które operują cenzurą, tajną policją a często torturą? Tolerujemy takie reżymy nie tylko w Azji czy w Afryce lecz w kolebce cywilizacji, tj. w Europie.

Domagamy się wielkim głosem by Rosjanie, którzy nie są demokratami — uszanowali ruch demokratycznej reformy w Czechosłowacji. Codziennie w dziesiątkach audycji radiowych i w setkach artykułów prasowych zachęcamy Czechosłowaków do wytrwania w bezkrwawej walce o wolność i demokrację. Lecz co mamy do zaoferowania tym, którzy walczą o wolność i demokra-

cję w Grecji i w Hiszpanii? W tej sprawie zachowujemy dyskretne milczenie.

Rosjanie uznają i respektują reżym Nassera, który nie jest ani komunistyczny ani demokratyczny, tylko jest dyktaturą kliki wojskowej. Lecz Egipt jest pionkiem w sowieckiej grze przeciw Amerykanom. Amerykanie uznają i respektują reżym generała Franco, ponieważ Hiszpania jest antykomunistyczna i udziela gościnę flocie i lotnictwu Stanów Zjednoczonych.

Czytelnik zauważy w tym miejscu, że jako autor polityczny, który często podkreśla swój pragmatyzm nie powinienem mieć trudności w zrozumieniu i zaakceptowaniu powyżej naszkicowanej sytuacji. Ostatecznie jest to tylko przykład hierarchii celów. Z pragmatycznego punktu widzenia antykomunizm który umożliwia przeciwstawienie się Sowietom jest ważniejszy niż demokracja, która jest sprawą wewnętržno-społeczną danego państwa i narodu.

Podstawą pragmatyzmu jest nie teoria, lecz doświadczenie. Polityk nie dysponuje laboratoriami, jak fizycy czy chemicy, którzy często odrzucając sumę poprzednich doświadczeń dokonywują zdumiewających odkryć. W polityce nie ma odkryć, jest tylko doświadczenie i praktyka.

Doświadczenia ostatniego ćwierćwiecza wykazują, że nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy polityką zagraniczną a wewnętrzną. Podstawowym warunkiem sukcesu tak jednej jak i drugiej polityki jest poparcie większości społeczeństwa. Najbardziej logicznie pomyślany sojusz jest bez wartości jeżeli nie popiera go społeczeństwo danego kraju.

Mówiliśmy o Dalekim Wschodzie — poświęćmy więc chwilę uwagi sytuacji w Wietnamie. Chciałbym przytoczyć we fragmentach opinię amerykańskich ekspertów zebrane w książce: „Vietnam and Sino-Soviet Dispute” opracowanej przez Roberta A. Rupen i Roberta Farrell (F. A. Praeger, New York, for the Institute for the Study of the USSR).

„... Obrońcy przywilejów dominują w południowowietnamskim społeczeństwie i rządzie. Ci ludzie obracają w niwecz wszelkie wysiłki zmierzające do socjalnych reform, ponieważ pragną kontynuować wyzyskiwanie ludności”.

„... Dopóki w południowym Wietnamie nie nastąpi prawdziwa rewolucja wewnętrzna — akcja wojskowa może osiągnąć tylko ograniczone i przejściowe cele. Zagrożenie komunistyczne zniknie dopiero wówczas gdy uprzywilejowani stracą swoje przywileje. Przykład bardzo istotny posłużyć może za ilustrację. Urzędnikiem państwowym czy oficerem w południowowietnamskiej armii może zostać tylko ten, kto posiada tzw. „drugą maturę” (Second Baccalaureate). Tylko dla synów wysoko uprzywilejowanych Wietnamczyków druga matura jest dostępna. Do tej pory jedyna droga postępu i awansu społecznego dostępna dla synów wieśniaków — wiedzie przez kadry Wietkongu. W rezultacie Wiet-

kong przyciąga najwartościowszych i najzdolniejszych synów chłopskich”.

„...Jest wiele prawdy w oskarżeniu Barrington Moore'a — stwierdzają autorzy cytowanego dzieła — że amerykańska wojskowa gwarancja bezpieczeństwa dla wieśniaków oznacza tarczę poza którą dawni wyzyskiwacze mogą bezpiecznie wyciskać z chłopa wszystko co możliwe. W rezultacie żołnierze południowowietnamscy nie mają dyscypliny i oddania sprawie, która cechuje Wietkong. W roku 1965 z armii południowowietnamskiej liczącej 571.000 — zdezerterowało 113.000 żołnierzy”.

Podkreślam jeszcze raz, że nie cytuję pamfletu pacyfistycznego, czy broszury wydanej przez takich czy innych *fellow-travellers*. Cytuję wydawnictwo naukowe, Amerykańskiego Instytutu dla Badań Związku Sowieckiego.

Na obronę Amerykanów należy powiedzieć, że gdyby podjęli byli program radykalnych reform, natrafiliby na opór i niechęć ponieważ rewolucji w południowym Wietnamie dokonać mogą tylko Wietnamczycy a nie cudzoziemcy. Błąd polegał na tym, że w danej sytuacji, ponieważ walczone przeciw komunistom, oceniono, że każdy antykomunista jest dobry i proamerykański. Zagorzałymi antykomunistami są faszysci od Hitlera zaczawszy a na gen. Franco skończywszy — lecz z tego bynajmniej nie wynika, że faszystów należy popierać.

Dawniej sojusze zawierali monarchowie z monarchami. Dziś jednak sojusz musi mieć nie tylko polityczną lecz i społeczną motywację. Ani w Polsce ani w Czechosłowacji rozsądni ludzie nie kwestionują czysto politycznych motywów sojuszu z Rosją. Gdyby w sierpniu ubiegłego roku armia niemiecka wkroczyła do Czechosłowacji — czołgi sowieckie na ulicach Pragi byłyby witane kwiatami. W takiej sytuacji motyw polityczny sojuszu z Rosją pokrywałby się z wolą społeczeństwa bronięcia republiki przed agresją niemiecką. Jak wiemy Niemcy nie wkroczyli i nie zamierzali wkroczyć do Czechosłowacji. Uprawnienia sojusznicze zostały nadużyte przez Sowiety w celu przywrócenia reżymu, którego społeczeństwo czechosłowackie sobie nie życzyło.

Rosja gwarantuje granice na Odrze i Nysie lecz równocześnie popiera w Polsce reżym reakcyjny, który hamuje proces niezbędnych reform. Sojusz z Rosją w aspekcie społecznym spełnia rolę negatywną i dlatego produkuje nienawiść. Na dalszą metę motywacja społeczna sojuszu jest ważniejsza od motywacji politycznej. Trudno wymagać od Polaków w Kraju by trzy razy dziennie powtarzali: „Rosja gwarantuje nam granice na Odrze i Nysie”. Natomiast „gomułkizm” utrudnia każdemu życie nie trzy razy dziennie lecz trzydzieści razy dziennie.

Oba super-mocarstwa nie doceniają motywu społecznego w budowie systemu sojuszów. Teżą tego artykułu jest pogląd, że ani Rosja ani Stany Zjednoczone nie są zdolne do przewodzenia świa-

tu samoistnie. Przewagę osiągnie super-mocarstwo, które swoją sferę wpływów lepiej zorganizuje.

Z tych przyczyn skłaniam się do poglądu, że w ramach równowagi atomowej — o przewadze zadecyduje organizacja systemów sojuszniczych ponieważ tylko dobrze zorganizowane systemy międzynarodowe zdolne są do rozwoju technologicznego i gospodarczego.

Stany Zjednoczone muszą wypracować globalną przewagę nad Rosją nie na to by ją powalić, lecz na to by móc podjąć z Moskwą rzeczowe rozmowy. Negocjować można tylko z pozycji siły. Przez siłę należy rozumieć nie tylko potencjały militarne lecz również poparcie narodów sojuszniczych. Z tej przyczyny społeczna motywacja sojuszów odgrywa tak istotną rolę.

W razie wybuchu wojny gdyby Amerykanie nie pozwolili Bundeswehr przekroczyć granicy wschodniej NRD — Polacy, Węgrzy, Rumuni i Czechosłowacy nie walczyliby przeciwko Amerykanom, Brytyjczykom i Francuzom. Armie państw satelickich stawiałyby opór tylko tam gdzie Rosjanie mieliby możliwość wymuszenia posłuszeństwa siłą. Ponieważ jednak ludność krajów ujarzmionych nie traktowałaby Amerykanów jako wrogów — armie satelickie nie miałyby zaplecza.

Czytelnik powie, że to jest przykład fantastyczny. Niewątpliwie tak jest, lecz w razie wybuchu wojny, choćby mini-atomowej, działyby się rzeczy niepomiarne bardziej fantastyczne. Niemcy znajdują się na pierwszej linii frontu i mogłyby ponieść totalną klęskę w pierwszych dniach wojny. Nie oznaczałoby to klęski Stanów Zjednoczonych. Oznaczałoby to jednak, że nie Bundeswehr wyzwalałaby kraje satelickie.

Powyższy przykład ilustruje tezę, że sojusz bez motywacji społecznej nie wytrzymuje próby konfliktu. Paradoks polega na tym, że gdyby Rosjanie w pierwszym okresie wojny zrównali Niemcy z ziemią — pozbawiliby się tym aktem wschodnioeuropejskich sojuszników.

Polacy czy Czechosłowacy z chwilą gdy Niemcy zostałyby wyeliminowane z konfliktu — powitaliby Amerykanów z życzliwością i przyjaźnią.

Rosjanie nie mają sojuszników przeciwko Ameryce. Mają sojuszników tylko przeciwko Niemcom.

Spójrzmy obecnie na sytuację w Europie pod kątem widzenia organizacji zespołów państw sojuszniczych. Ryzykuję pogląd, że przeciętny Europejczyk jest za pewnymi formami federacji i byłby skłonny zrezygnować z części suwerenności swojego państwa na rzecz ponad-narodowych instytucji. Natomiast ludzie na szczycie, tzn. politycy, nie są gotowi do tego typu rozwiązania.

Innymi słowy istnieje silny motyw społeczny za federacją — natomiast brak jest ciągle motywu politycznego. Brak jest motywu politycznego ponieważ w gruncie rzeczy nikt nie wie jak w zjednoczonej Europie winna być podzielona władza i wpływy pomiędzy Francją, Niemcami i Wielką Brytanią. Żadne z tych trzech mocarstw nie dysponuje zdecydowaną przewagą wskutek

czego mielibyśmy serię niekończących się kombinacji: Francja z Niemcami przeciw Wielkiej Brytanii, Niemcy z Wielką Brytanią przeciw Francji itd. itd. Reakcja Francji na zbliżenie brytyjsko-niemieckie stanowi typowy przykład w tej sprawie. Unia Zachodnio-Europejska została czasowo sparaliżowana ponieważ rząd francuski stanął na stanowisku, że spotkanie londyńskie przedprzedstawicieli Unii było nielegalne. Rząd francuski w dniu 17 lutego br. oświadczył, że Francja do czasu dalszych decyzji nie będzie brała udziału w posiedzeniach rady W.E.U. Oczywiście chodzi w tym wypadku o „wspólny rynek” i o usiłowania Anglii zmobilizowania poparcia innych członków wspólnoty wbrew *veto* Francji. Pomijając sprawę produktów rolniczych, które w tym kontekście zagadnień odgrywają rolę wielkiej wagi — byłoby uproszczeniem problem członkostwa Anglii zredukować do „widzimisie” prezydenta de Gaulle’a.

Podobnie jak większość Polaków zamieszkałych na tych wyspach, cenię wysoko Anglików i życzę Wielkiej Brytanii jak najlepiej. Lecz gdybym był Anglikiem byłbym przeciwny przystąpieniu Wielkiej Brytanii do „wspólnego rynku”.

Niemcy popierają Anglię, ponieważ gdyby Wielka Brytania weszła do Europy — NRF nie byłaby sam na sam z Francją. Anglicy nie powinni jednak oddawać się złudzeniom. Jeżeli Niemcy będą musieli wybierać — wybiorą zawsze Francję a nie Anglię.

Atlantycka koncepcja zjednoczenia Europy jest różna od koncepcji kontynentalnej. Francuzi i Niemcy widzą zjednoczoną Europę jako „trzecią siłę” od nikogo nie zależną ani gospodarczo ani politycznie. Stany Zjednoczone mogłyby być sojusznikiem tego typu Europy lecz nie współudziałowcem. Natomiast koncepcja atlantycka — dziś odstawiona na półkę — zmierzała do związania Stanów Zjednoczonych z Europą.

W mojej opinii zjednoczycielami Europy będą nie politycy tylko technokraci i *businessmen*’i — głównie amerykańscy. Jak słusznie zauważył L. Fletcher w jednej ze swych prac — Paryż, Londyn i Bonn mogą się poróżnić — lecz „General Motors” w Niemczech i „General Motors” we Francji i w Anglii nie poróżnią się nigdy.

Europa zachodnia nawet w pewnej mierze zjednoczona nie stanowiłaby dostatecznej przeciwwagi w stosunku do Związku Sowieckiego. Z tych przyczyn każda koncepcja, która „poszerza” Atlantyk wydaje mi się niebezpieczna. W naszym interesie leży „zwężenie” Atlantyku i przybliżenie Ameryki do Europy w organicznej formie.

Stany Zjednoczone jeżeli mają prowadzić politykę globalną potrzebują czegoś więcej niż sojuszników. Potrzebują oparcia o polityczno-gospodarczy blok narodów, który swym rozmiarem i potencjałem zapewniłby stałą przewagę nad blokiem państw komunistycznych.

Ameryka nie ma w tej sprawie wyboru i musi prowadzić politykę globalną, bo Rosja prowadzi politykę globalną. Dziesięć lat temu wybitni sowietolodzy amerykańscy określali Rosję jako

„mocarstwo regionalne”, „statyczne” i „lądowe”. Diagnoza okazała się całkowicie fałszywa. Rosja nie jest statyczna (Czechosłowacja) ani regionalna (Środkowy Wschód, Afryka, Wietnam itd.) ani lądowa (sowiecka flota wojenna dościga Amerykę). Upadek europejskich systemów imperialnych stworzył dla Rosji dziejową koniunkturę, która jeżeli nie zostanie przyhamowana — zapewni Sowiecom bazy morskie i lotnicze we wszystkich strategicznych punktach globu. Jeżeli rozbudowa floty sowieckiej, którą podjęto zaledwie 20 lat temu — postępować będzie w obecnym tempie — pod koniec lat siedemdziesiątych bieżącego stulecia Sowiety będą nie drugą lecz pierwszą morską potęgą świata.

Obserwując wydarzenia na kontynencie dochodzi się do wniosku, że Europa nie może się zjednoczyć nawet bez Anglii a coś dopiero z Anglią. Propozycje prez. de Gaulle'a wysunięte w rozmowie z ambasadorem Wielkiej Brytanii w dniu 4 lutego br. w gruncie rzeczy nie są niczym nowym. Prezydent proponował by Anglia swój *special relationship* z Ameryką wymieniła na *special relationship* z Francją. Gen. de Gaulle w cytowanej rozmowie powrócił również do koncepcji dyktatoratu czterech mocarstw (Francja, W. Brytania, NRF i Włochy) — oraz uznał, że w takiej sytuacji NATO byłoby zbędne.

Nie chodzi w tym wypadku o szczegóły lecz o filozofię polityczną która stanowi podkład wysuniętych propozycji. Gen. de Gaulle podejrzewa, że W. Brytania byłaby amerykańskim koniem trojańskim w Europie. Otóż należy podkreślić, że nie tylko Francja lecz i Anglia nie chce być kolonią amerykańską. Anglicy są narodem o wielkich imperialnych tradycjach i przywykli raczej wydawać rozkazy niż je przyjmować.

Nikt nie chce być kolonią czy satelitą. Lecz niewątpliwie najgłępszą polityką byłoby będąc semi-kolonią zagradzać sobie drogę do statusu niezależnego dominium, które wpływa bezpośrednio na politykę hegemonu.

Istnieją dwie różne koncepcje polityki wobec hegemonu. Można zlikwidować NATO i wyprosić Amerykanów z Europy. Ponieważ jednak Europa łącznie z Anglią nie byłaby w stanie wykupić zakładów przemysłowych dominowanych przez kapitał amerykański — inwazja dolarowa postępowałaby dalej.

Niezależność streszcza się w zdaniu: „nic o nas bez nas”. W cytowanej sytuacji Waszyngton — łatwiej niż obecnie — mógłby pertraktować z Moskwą ponad naszymi głowami w sprawach ściśle europejskich. Mocarstwa zachodnioeuropejskie nie miałyby głosu w Waszyngtonie natomiast Stany Zjednoczone byłyby równie potężne jak są dzisiaj. W rezultacie, byłibyśmy w stosunku do Ameryki politycznie słabsi a nie mocniejsi.

Druga koncepcja polityki wobec super-mocarstwa wychodzi z realnego założenia, że ponieważ hegemonu nie można „wyparować” ani przyciąć do bardziej strawnych proporcji — należy stworzyć blok państw, który — z uwagi na ich łączny potencjał — miałby zapewniony głos współpartnera. Wydaje mi się, że tylko

na tej drodze i na tej drodze wyłącznie można urzeczywistnić zasadę „nic o nas bez nas”.

Pomiędzy Anglią a Europą istnieje zbyt wielka suma różnic by wbudowanie W. Brytanii w system kontynentalny rokować miało nadzieje sukcesu. Owa suma różnic w stosunku do kontynentalnej Europy jest minusem — lecz w stosunku do świata anglosaskiego jest wielkim plusem.

W pierwszej części tego artykułu omówiłem problem motywacji społecznej sojuszków. Dany sojusz jeżeli ma sprawnie funkcjonować musi korzystać z poparcia społeczeństwa. Społeczeństwo nie poprze nigdy sojuszu, który jest instrumentem dominacji hegemonu. Dlatego leży w interesie Stanów Zjednoczonych podzielenie się władzą decyzji ze swoimi sojusznikami. Lecz z kim w Europie Ameryka ma się dzielić władzą i decyzją? Powtarzam: Z kim?

Anglia i Francja otwarcie rywalizują pomiędzy sobą o przywództwo w Europie. Nie należy się temu dziwić, gdyż na kontynencie zawsze tak było. Francuzi nie mają powodu ustępować Anglikom a Anglicy nie mają powodu ustępować Francuzom. Trzeba wiele optymizmu by powyższe widowisko nazwać procesem zmierzającym do zjednoczenia Europy.

W centrum kontynentu stacjonuje potężna armia sowiecka. W takiej sytuacji jednym z naszych zasadniczych celów winno być instytucjonalne, organizacyjne związanie Stanów Zjednoczonych z Europą. Temu zadaniu nie sprostą Europa rozdzielana rywalizacją Anglii i Francji.

W mojej ocenie należałoby powrócić do koncepcji NAFTA (North Atlantic Free Trade Area). Tym razem jednak NAFTA powinna mieć konkretną nadbudowę polityczną. Związek obejmowałby Stany Zjednoczone, Kanadę i Wielką Brytanię.

NAFTA nie tylko nie miałaby charakteru antyeuropejskiego — lecz przeciwnie, wiązałaby Amerykę z Europą, ponieważ granice NAFTA — a tym samym poniekąd granice Stanów Zjednoczonych byłyby odległe zaledwie o 20 mil od kontynentu europejskiego. Atlantyk „wyparowałby” i Stany Zjednoczone jako członek NAFTA byłyby bezpośrednim sąsiadem Europy.

Przeciętny Anglik rozważając ten problem ująłby go prawdopodobnie następująco: „Jesteśmy dość silni by grać pierwsze skrzypce w Europie. W NAFTA byłibyśmy natomiast kolonią amerykańską”.

Wszystko zależy co się rozumie przez termin „kolonia”. Gdyby Czechosłowacja była całkowicie niezależną od Rosji pod względem technologicznym i gospodarczym — nic by jej to nie pomogło, ponieważ Praga nie ma żadnego wpływu na decyzje podejmowane na Kremlu. Anglia jako członek „wspólnego rynku” będzie, identycznie jak dziś, technologicznie i gospodarczo zależna od Ameryki natomiast jej wpływ w Waszyngtonie będzie mniejszy niż obecnie. Uniezależnienie się od Ameryki możliwe jest tylko poprzez związanie się ze Stanami Zjednoczonymi — poprzez wciągnięcie Ameryki do związku państw, które Waszyngton musiałby

traktować za swoich równorzędnych partnerów a nie tylko za sojuszników, których wyzwala się z pod takiej czy innej okupacji. Wielka Brytania członek NAFTA byłaby *de facto* w znacznie mniejszym stopniu „kolonią” amerykańską niż obecnie, ponieważ miałyby nie tylko wpływy w Waszyngtonie lecz jako mocarstwo związkowe miałyby konkretne uprawnienia w naczelnych władzach pobierających zasadnicze decyzje.

Można przytoczyć dziesiątki argumentów ekonomicznych, które przemawiają za przystąpieniem Anglii do NAFTA a nie do „wspólnego rynku”. Przede wszystkim sprawa produktów rolnych w NAFTA nie byłaby problemem. Potencjał technologiczny amerykańsko-brytyjsko-kanadyjski stanowiłby bazę największego przemysłowego zgrupowania świata.

Mielibyśmy wówczas „wspólny rynek” i jednoczącą się kontynentalną Europę zachodnią, oraz NAFTA, która bezpośrednio sąsiadowałaby z Europą. Poprzez Wielką Brytanię członka NAFTA — Stany Zjednoczone stałyby się w pewnym sensie mocarstwem europejskim — podobnie jak Rosja jest mocarstwem europejskim.

Europejczycy zachodni pragną być niezależni. Stare, historyczne narody jak Francuzi czy Anglicy, nie chcą być niczym satelitą. To jest zrozumiałe. Wydaje mi się jednak, że przeoczymy istotny punkt. Niezależność w zachodniej Europie oznacza niezależność od Ameryki.

W Berlinie kilka tysięcy żołnierzy alianckich stoi naprzeciwko półmilionowej armii sowieckiej. Mini-potencjały atomowe Anglii i Francji nawet połączone nie stanowiłyby 6 % atomowego potencjału sowieckiego. Przewaga nie zainkasowana nie przestaje być przewagą i zagrożeniem. W takiej sytuacji zależnością od Ameryki kupujemy niezależność od Sowietów.

Nie technologia amerykańska tylko Rosjanie uzależniają nas od Stanów Zjednoczonych. Na to by uniezależnić się od Ameryki trzeba by wpierw usunąć przyczynę owego uzależnienia tzn. zlikwidować zagrożenie sowieckie.

Zachodnia Europa będzie niezależna od Ameryki wówczas gdy wschodnia Europa stanie się niezależna od Rosji. To nie jest „pobożne życzenie” tylko mechanika skutku i przyczyny. Uniezależnienie się państw wschodnioeuropejskich od Rosji i normalizacja stosunków pomiędzy krajami satelickimi a Rosją — będzie oznaczała wygaśnięcie rosyjskiego zagrożenia. Wówczas — lecz dopiero wówczas — powstanie możliwość zorganizowania całej Europy niezależnej zarówno od Rosji jak i od Ameryki. Byłaby to prawdopodobnie Europa semi-neutralna o międzynarodowym statusie, gwarantowanym tak przez Moskwę jak i Waszyngton.

Juliusz MIEROSZEWSKI

LEKTURY:

1. „Vietnam and the Sino-Soviet Dispute” Edited by Robert A. Rupen

and Robert Farrell, F. A. Praeger, New York, for the Institute for the Study of the USSR.

2. „The USA Answers Questions” Edited by Kenneth E. Beer, US and World Publications Inc., New York.

3. „The United States and the Unity of Europe” Max Beloff, Faber and Faber, London.

4. „The Politics of the Atlantic Alliance” Alvin J. Cottrell and James E. Dougherty, F. A. Praeger, New York.

5. „Soviet Power in the Middle East” by Arnaud de Borchgrave, „Newsweek” (Editorial) 17. 2. 69.

6. „Britain's Atlantic Opinion” by Arthur Schlesinger jr. „Interplay”, January, 1969.

Kronika angielska

WIERZYŃSKI

Śmierć Wierzyńskiego — jakże bolesna dla mnie i innych Jego przyjaciół — nie miała w sobie nic tragicznego. To było naturalne zamknięcie harmonijnej całości. Kazio żył długo i Jego życie było uwieńczone wspólnym sukcesem. Tragicznie umierali Lechoń i Broniewski, lecz nie Kazimierz.

Kazio nie płacił za swój talent neurozami, dziwactwem, alkoholizmem, potarganym życiem — jak wielu innych poetów. Łączył talent z normalnością, fizycznym zdrowiem i urodą. Było coś w nim z greckiej doskonałości łączącej sprawność fizyczną z sztuką i pięknem.

Nie potrzebował jak Broniewski „taryfy ulgowej”. Nie trzeba było pielęgnować jego kompleksów, wyciągać pijanego z zadymionych knajp, nie trzeba było słuchać półprzytomnych tyrad i żalów człowieka, który nie umie poradzić sobie z swoim życiem.

Przyjaźniłem się przez lata z Broniewskim i wybaczyłem mu nawet wiersz o Stalinie — tak jak wybaczają się absurdalny wybryk utalentowanemu, niedowarzonemu chłopcu. Broniewski pozostał do śmierci niedowarzony. Telefonował do mnie po nocach z Warszawy i tłumaczył mi rzeczy w normalnej płaszczyźnie nie do wytłumaczenia. Był rewolucyjnym poetą lecz w sprawach politycznych i społecznych był naiwny i bezkrytyczny jak dziecko.

Wierzyński był znacznie trudniejszy do odcyfrowania, ponieważ był jak najdalszy od ekshibicjonizmu Broniewskiego czy od psychopatycznego świata Lechonia. Flaga biało-czerwona, która pokrywała jego trumnę — leżała na nim całe życie jak frak dobrze uszyty. *Establishment* uważało Go za standardowego poetę, który ciasnotę oficjalnych instytucji przysłonił swoim autentycznym laurem.

Wierzyński nie był reakcyjny. Ponieważ nie pisał typowo intelektualnych wierszy — jego intelekt był niedoceniony. Z tradycji i z sentymentu był pilsudczykiem lecz równocześnie był człowiekiem o poglądach postępowych.

Znaliśmy się od trzydziestu kilku lat lecz zaprzyjaźniliśmy się w ostatnich dziesięciu latach. Kazimierz interesował się *Kulturą* i żywo reagował na moje artykuły. Nie wiem czy kiedyś w przeszłości istniał taki stosunek pomiędzy poetą a publicystą. Wierzyński dyskutował ze mną moje artykuły — krytykował, chwalił i wysuwał propozycje. Był doskonale zorientowany w polityce — czytał dokładnie i regularnie prasę amerykańską, angielską i francuską. Wiele moich not w „Kronice Angielskiej” powstało jako bezpośrednie zamówienie Kazimierza. Ostatnie z owych zamówień ukazało się w „Kronice Angielskiej” w numerze marcowym pt. „Paszporty reżymowe”. W tych sprawach był uparty. Zawsze sprawdzał czy napisałem to co chciał.

W przeciwieństwie do wielu poetów emigracyjnych Wierzyński był pisarzem zaangażowanym. W głównym zarysie akceptował naszą linię polityczną i mówił mi przy wielu okazjach, że uważa *Kulturę* za najlepsze polskie pismo na świecie. Gdy ukazała się moja książka pt. „Polityczne Neurozy”, którą emigracyjny Londyn odsądził od czci i wiary — Wierzyński walczył o przyznanie mi nagrody Jurzykowskich. Nadaremnie starałem się go przekonać, że pisarze mojego typu nie dostają nigdy żadnych nagród. Kazimierz co roku ponawiał swoje starania i nie dawał za wygraną.

Ujawniam te — jakże charakterystyczne szczegóły, by sparaliżować w zarodku wszelkie próby identyfikowania Wierzyńskiego z reakcyjnym skrzydłem opinii emigracyjnej. Niejednokrotnie Kazio zdumiewał mnie niekonformizmem swoich poglądów. Mój artykuł pt. „Religia i Polityka”, który wywołał falę „świętych oburzeń” i potępień — Wierzyński uważał za jeden z najlepszych artykułów jakie napisałem.

Chciałbym podkreślić rzecz bardzo istotną. Kazimierz różnił się od swego pokolenia nie spojrzeniem na przeszłość ale stosunkiem do teraźniejszości. Był gorącym patriotą i piłsudczykiem lecz, w przeciwieństwie do wielu swych rówieśników, nie skostniał i zachował do końca fenomenalną dynamikę rozwojową. Był młody i owa młodość wyrażała się zrozumieniem przemian, bezbłędnym odczuciem współczesności, którą uważał za swój czas i swoją epokę. Jan Palach to był jego rówieśnik, któremu Kazio poświęcił swój ostatni wiersz.

Starzy ludzie są często konserwatywni i reakcyjni nie ze swojej winy. Ich mózg nie nadąża za wiecznie nową problematyką życia. Być człowiekiem współczesnym oznacza bowiem nie tylko rozumieć rozwój innych lecz być samemu zdolnym do rozwoju. Ową zdolność, która u ludzi starych jest niepomiaralnie rzadsza niż talent — Kazimierz zachował do ostatniego dnia. Wierzyński należał do biologicznej i genetycznej elity, która nie może być mierzona zwyczajną miarą.

Kazio był człowiekiem aktywnie dobrym. W Londynie mam kolegów z wojska, którzy przemierzali ze mną Środkowy Wschód i Afrykę — lecz gdy w maju ubiegłego roku Francja na skutek strajków i rozruchów została odcięta od reszty świata — żaden z nich nie podniósł słuchawki. Kazimierz podniósł słuchawkę i zapytał czy nie potrzebuję pieniędzy, ponieważ moja pensja z Paryża nie przyjdzie. Kilka miesięcy temu w okresie kryzysu franka wyczytał w prasie, że wprowadzono nowe ograniczenia w przekazywaniu pieniędzy z Francji. Powtórnie zaoferował mi pomoc finansową. Wiedział, że nie widzę na lewe oko i upierał się bym poszedł z nim do prywatnego specjalisty.

Przyjaciół z którymi można wypić kieliszek wódki i pogwarzyć o daw-

nych czasach jest na kopy. Lecz ludzi zdolnych do prawdziwej przyjaźni jest niezmiernie mało ponieważ w gruncie rzeczy przyjaźń jest czymś rzadszym niż miłość. Gdy takiego przyjaciela jak Kazimierz nagle zabraknie — coś istotnego w nas samych umiera razem z nim.

PIENIĄDZ I WYZYSK

Prasa amerykańska ujawniła, że w Stanach Zjednoczonych około 10 milionów ludzi wykazuje objawy niedożywienia jak pelagra, szkorbut itp. Chodzi w tym wypadku o dwa hrabstwa — Beaufort i Jasper w Stanie South Carolina.

Czy fakt, że ludzie w Jasper niedojadają oznacza, że Kuroń i Modzelewski są dostatecznie odżywiani w polskim więzieniu?

Zastanawiałem się zawsze nad celem książek jak np. „Zoolityka” Jana Gerharda, wydana przez MON w Warszawie. „Zoolityka” oznacza politykę zezwierzęcenia. Naród amerykański składa się z wyzyskiwaczy, głodujących Murzynów i gangsterów. Jednym słowem — dżungla.

Załóżmy absurdalną tezę, że istotnie tak jest jak opisuje p. Gerhard. Pójźmy o krok dalej i założmy, że Ameryka przywróciła niewolnictwo. Czy przywrócenie niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych przekształciłoby ustrój w PRL w prawdziwy socjalizm?

Marksizm zakłada, że kapitalizm jest złym ustrojem ponieważ oparty jest na prywatnej własności środków produkcji i na wyzysku. Lecz z faktu, że kapitalizm jest zły nie wynika logicznie, że komunizm jest dobry.

W teorię marksizmu wbudowany jest system przeciwstawień. Reakcja contra postęp, konserwatyzm contra rewolucja, uspołeczniona produkcja contra prywatna produkcja, wyzysk contra sprawiedliwy podział dochodu narodowego itd. itdp. W rezultacie kapitalizm jako ustrój jest antagonistycznie spreczny z ustrojem komunistycznym.

Nigdzie nie jest powiedziane, że dana teza jest z definicji lepsza od swojej antagonistycznej anty-tezy. Wolność stanowi anty-tezę niewoli. Czy to oznacza, że zawsze i w każdych warunkach lepiej jest być na wolności niż w więzieniu? Na pewno nie. Lepiej jest mieć kawałek więziennego chleba i barak z żelaznym piecykiem — niż być na wolności jeżeli owa wolność oznacza setki kilometrów zamrzniętej, zaśnieżonej tundry. Lepiej jest być wyzyskiwanym pracownikiem w super-kapitalistycznej fabryce i zarabiać £ 60 tygodniowo — niż być robotnikiem w super-uspołecznionym kołchozie i zarabiać £ 3 tygodniowo.

Przed kilku miesiącami rozmawiałem z pewną panią, która przyjechała z Kraju odwiedzić swoją zamożną córkę. Pani o której mowa nie posiada wyższego wykształcenia a jej spracowane ręce mówią o niej więcej niż paszport. Na pytanie jak żyje się w Polsce uśmiechnęła się i odpowiedziała: „W Polsce jest tak jak w Anglii i jak wszędzie. Jeżeli ktoś ma pieniądze to mu się dobrze powodzi — jeżeli ktoś nie ma pieniędzy to mu się źle powodzi”.

Nie ma na świecie ustroju, gdzie obowiązywałaby zasada: każdemu według jego potrzeb. Wszędzie obowiązuje zasada: każdemu według jego portfelu.

Ustrój socjalistyczny nigdy nie wykaże swojej wyższości ogłaszając rejes-

try błędów kapitalizmu. Trzeba by jeszcze wykazać, że owe błędy w ustroju socjalistycznym zostały przezwyciężone. Uniknięcie błędów kapitalizmu w socjalizmie utrudnia fakt, że socjalizm w niczym nie może przypominać kapitalizmu, ponieważ stanowi jego antagonistyczną anty-tezę. Uprywatnienie rzemiosła czy wprowadzenie motywu zysku — choć z punktu widzenia praktycznej ekonomii stanowi prawidłowe rozwiązanie — nie jest socjalistyczne ponieważ nie jest anty-kapitalistyczne.

Istotą socjalizmu nie jest anty-kapitalizm. Istotą socjalizmu jest zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka. Uspołecznienie środków produkcji jest tylko rozwiązaniem częściowym. Głównym instrumentem wyzysku na całym świecie bez względu na ustrój jest pieniądz. Duszą kapitalizmu jest pieniądz i żaden ustrój oparty na systemie wymiany pieniądza nie może głosić, że jest antykapitalistyczny. Kolektywny kapitalista nie przestaje być kapitalistą i w wielu wypadkach posiada większe możliwości wyzysku niż kapitalista prywatny.

Pieniądz stanowi własność doprowadzoną do ekonomicznego ideału. Jeżeli ktoś ma dolary schowane w sienniku w Szczecinie czy w Londynie może za nie kupić co mu się podoba. Żadna inna forma własności nie budzi w człowieka równie brudnych namiętności. Żadna inna forma własności nie jest tak pożądliwie zdobywana uczciwie czy nieuczciwie. Pieniądz to jest coś więcej, niż domy, samochody czy ziemia. Pieniądz to jest własność w skondensowanej formie — kapitał w chemicznie czystej postaci.

Marks napisał, że własność jest złodziejstwem. Mówiąc o środkach produkcji miał na myśli przede wszystkim kapitał — ponieważ kapitał jest wszędzie głównym środkiem produkcji.

Władze Polski Ludowej zachęcają ludzi do oszczędzania — do akumulowania kapitału na prywatnych rachunkach w PKO. W bloku państw komunistycznych wszystko jest do kupienia za pieniądze i niczego nie ma dla ludzi bez pieniędzy. Pieniądz jest narzędziem nacisku i wyzysku identycznie jak w ustroju kapitalistycznym. Można powiedzieć p. X, że dostanie podwyżkę pensji jeżeli zapisze się do partii — można mu zaproponować, że dostanie premię jeżeli podpisze sfałszowany bilans.

W „Pamiętce z Celulozy” Igora Neverle — jeden z bohaterów, który nie ma pieniędzy na paczkę papierosów — pociesza się, że kiedyś gdy komunizm zostanie w pełni urzeczywistniony będzie można wejść do sklepu i dostać wszystko czego człowiek potrzebuje — bez pieniędzy. Dziś po dziesiątkach lat doświadczeń nie sądzę, by w całym bloku wschodnim można by znaleźć jednego komunistę który oddaje się tego typu marzeniom. Komunizm skazany jest na kapitał, czyli pieniądze i na zło z tym związane.

W ustroju komunistycznym zło, immanentnie związane z pieniądzem, zostało przekształcone w instytucję. Sprzeczność istniejąca pomiędzy pracą (najemną) a kapitałem w systemie demokratycznym nie została wprawdzie rozwiązana lecz nie została również zlikwidowana na warunkach kapitalisty. Setki strajków dowodzą, że ową sprzeczność rozwiązuje się kompromisowo i ostatnie słowo w dyskusjach przemysłowych należy zawsze do robotników a nie do kapitalistów.

W ustroju komunistycznym *de facto* istnieje identyczna sprzeczność pomiędzy pracą a kapitałem z tą różnicą, że ową sprzeczność uznano za nielegalną. Można zalegalizować ustawodawczo, pogląd, że rak jako choroba nie istnieje. To nie oznacza jednak, że ludzie przestaną umierać na raka.

W państwie komunistycznym kapitał nie pertraktuje z robotnikami — tylko dyktuje robotnikom swoje warunki pocieszając najemników śmieszną bajeczką, że właścicielem fabryk jest naród a tym samym i robotnicy. Kapitał państwowy, kolektywny czy prywatny stara się zawsze kupić maksimum pracy za minimum płacy. Robotnik ma zawsze tyle i tylko tyle ile zdoła wywalczyć. W systemie, który walkę robotnika czyni nielegalną — wyzysk musi kwitnąć choćby ludzie byli aniołami.

Wyobraźmy sobie idealną, wręcz utopijną spółdzielnię robotniczą. Nawet w takiej spółdzielni — zwłaszcza gdyby liczyła 30-50 tysięcy członków — zarząd najdemokratyczniej wybrany reprezentowałby w pierwszej kolejności kapitał a dopiero w drugiej kolejności pracę. Zarząd mógłby się składać z najuczciwszych pod słońcem ludzi — lecz ci ludzie decydowaliby o inwestycjach, podziale zysków itp. Gdyby robotnikom w takim „raju na ziemi” nie przysługiwało prawo strajku — tylko normalna procedura demokratyczna tzn. wybory — robotnicy-społdzielcy bardzo szybko przekonaliby się, że ich własna robotnicza biurokracja ubezpieczona pozycją i przywilejami trzyma ich w garści. Komunistyczny slogan, który głosi, że robotnicy nie mogą strajkować „przeciwko sobie” — jest nonsensem, ponieważ robotnicy nigdy nie strajkują przeciwko sobie tylko zawsze w własnej obronie. Dyktatorskie zakusy cechują zarówno kapitalistyczną jak i robotniczą biurokrację. Z tej przyczyny „robotnicza demokracja”, która nie uznaje prawa strajków nie ma nic wspólnego ani z demokracją, ani z robotnikami.

Powtarzam jeszcze raz. Sprzeczności pomiędzy kapitałem a pracą nie rozwiązał ani ustrój demokratyczny ani komunistyczny. Jednak w systemie demokratycznym owa sprzeczność jest uznana i inkorporowana w układ stosunków — natomiast w systemie komunistycznym sprzeczność o której mówimy jest wyjęta spod prawa.

Wyzysk jako zjawisko społeczne w ramach naszej cywilizacji związany jest z mitologią pracy. Od zarania dziejów istniał inny kodeks moralny dla ubogich a inny dla bogaczy. „Módl się i pracuj”, „Jaka praca taka płaca”, i wreszcie brutalne sowieckie „Kto nie pracuje ten nie je” — wszystkie owe slogany ilustrują odwieczną teorię zdobywania kawałka chleba w pocie czoła.

W moim przekonaniu pra-źródłem wyzysku jest związek pomiędzy pracą (najemną) a chlebem. Człowiek, który nie ma chleba tzn. środków utrzymania — nie pertraktuje nigdy z pozycji siły i tym samym stanowi zaproszenie do wyzysku.

Wydaje mi się, że nie zbudujemy nigdy ekonomii bezpieczeńnej i wskutek tego wzniosła zasada „każdy według swoich możliwości — każdemu według jego potrzeb” pozostanie nieosiągalnym mitem. Niewątpliwie jednak olbrzymim krokiem naprzód w likwidacji wyzysku byłoby zerwanie wiekowego związku pomiędzy pracą a chlebem.

Jeżeli ziszczą się nadzieje pokładane w nowoczesnej technologii — jeżeli zdołamy całość produkcji przemysłowej przerzucić na skomputeryzowane zespoły fabryk — wówczas nie tylko będzie można lecz będzie trzeba płacić uposażenie setkom a może milionom ludzi niezatrudnionych. Pewni socjologowie amerykańscy rozważając ów kompleks zagadnień — wysunęli projekt stałej pensji dla wszystkich obywateli. Innymi słowy każdy Amerykanin otrzymywałby co miesiąc stałą pensję bez względu na to czy byłby zatrudniony czy nie.

Oczywiście w po-technologicznym społeczeństwie problemem będzie nie

praca tylko czas wolny od pracy. Niemniej zerwanie z zasadą, że kto nie pracuje ten nie je, zerwanie z filozofią, że człowiek ubogi w przeciwieństwie do bliźniego, który odziedziczył fortunę — musi pracować by jeść i się odziać — przyczyniłoby się do wyeliminowania wyzysku w stopniu do tej pory nieosiągalnym.

Pieniądz nie opuści nas nigdy i zawsze będą nierówności w stopie życiowej. Jednak w opisaney powyżej sytuacji pieniądz utraci swój ultymatywny charakter, ponieważ nikt nie będzie bez pieniędzy. Pieniądz przestanie być nagrodą za „trud w pocie czoła” — albowiem tylko mniejszość społeczeństwa związana będzie z procesem produkcji.

Oczywiście najwybitniejsi specjaliści nie mogą dziś dokładnie przewidzieć jak będzie wyglądał świat za sto lat. Wydaje mi się jednak, że zhumanizowanie społecznej funkcji pieniądza i wyeliminowanie wyzysku będą realną propozycją w po-technologicznych demokracjach Zachodu a nie w totalistycznym komunizmie.

C H I Ń S Z C Z Y Z N A

Berlin jest czymś tak absurdalnym, że godny podziwu jest fakt, że do tej pory nie wybuchła tam wojna. Wojna nie wybucha, ponieważ wybór nowego prezydenta NRF czy problem zachodnich berlińczyków, którzy mają krewnych w wschodnim Berlinie — to nie są interesy ani amerykańskie ani rosyjskie. W gruncie rzeczy tak Amerykanom jak i Rosjanom nie zależy gdzie i kiedy obierany jest prezydent NRF. Ani Rosjanie ani Amerykanie nie podejmą również wojny w tym celu, by p. Schulz w Berlinie zachodnim mógł regularnie i bez kłopotu odwiedzać swoją ciotkę zamieszkałą w NRD. Dopóki kryzysy berlińskie są dziełem Niemców wschodnich i zachodnich — wojna nam nie zagraża ponieważ Amerykanie i Rosjanie gotowi są poprzeć prestiżowe żądania swoich podopiecznych tylko do pewnych granic. Kryzys w Berlinie byłby groźny tylko wówczas gdyby został spowodowany nie przez Niemców lecz przez Rosjan. Sądzę, że w takiej sytuacji nie byłoby kryzysu według dotychczasowych wzorów — tylko niespodziewany potężny atak. Rosjanie z całą pewnością nie zrezygnowaliby z momentu strategicznego zaskoczenia.

Zupełnie inny charakter miał kryzys na drugim krańcu sowieckiego imperium nad rzeką Ussuri.

Rosjanie wkroczyli do Pragi ponieważ uznano, zgodnie z doktryną Breżniewa, że losy komunizmu w Czechosłowacji — nie są tylko sprawą Czechosłowaków lecz sprawą obozu państw komunistycznych. Jeżeli mała Czechosłowacja stanowi zagrożenie dla obozu komunistycznego — to tym większe niebezpieczeństwo stanowią Chiny.

Rosyjski „Drang Nach Osten” — słabnie. Rosjanie kolonizują Ukrainę a nie Syberię. Według „The Guardian” w miastach ukraińskich 30 procent ludności stanowią dziś Rosjanie a w niektórych miastach na Ukrainie liczba Rosjan sięga 50 procent.

Jeżeli się przeanalizuje informacje jakie napływają od anglosaskich korespondentów dalekowschodnich — musi się dojść do wniosku, że Rosja systematycznie okrąża Chiny. Sowiety umacniają nie tylko granicę lądową lecz ich flota zagraża Chinom od wschodu (Pacyfik) i od południowego za-

chodu (Ocean Indyjski). Nacjonalistyczny rząd na Formozie zaniechał ostatnio jakichkolwiek wystąpień antysowieckich, co z całą pewnością zostało odnotowane w Pekinie.

Rosja jest zdecydowana nie dopuścić Chin do sukcesji po Brytyjczykach i Amerykanach w południowo-wschodniej Azji. Moskwa zaproponowała Hanoi gigantyczną pożyczkę na powojenną odbudowę w chwili gdy pokój zostanie osiągnięty. Polityczni planiści sowieccy pragną zneutralizowania całego subkontynentu.

Sowiety zawarły umowę z Japończykami dotyczącą rozbudowy Syberii. Na razie kontrakty nie przekraczają dwudziestu milionów funtów szterlingów — przewidziana jest jednak cała seria dalszych umów.

Z korespondentów daleko-wschodnich największym zaufaniem darzę Denisa Bloodworth („The Observer”) — ponieważ jest nie tylko doskonałym znawcą Chin lecz jest również ożeniony z wybitną chińską intelektualistką, która pracowała na uniwersytecie w Pekinie. Można powiedzieć, że Bloodworth — choć mieszka w Singapore — ma Chiny u siebie w domu.

Otóż jego tezę — do której powraca niemal we wszystkich artykułach — można streścić następująco. Chiny — w przeciwieństwie do współczesnej Rosji — są zasadniczo mocarstwem statycznym i lądowym. Pekin mówi o rewolucji światowej lecz nie zamierza angażować się w poważniejszy konflikt zbrojny. Tak było do tej pory. Obecnie Chińczycy podejrzewają, że ich wrogowie pod wpływem Rosji — zaczynają obmurowywać Chiny ze wszystkich stron, by je w końcu zadławić.

„Rewolucja kulturalna” pomyślana była jako powrót do źródeł czystej rewolucji, znieprawionej przez biurokrację. W Związku Sowieckim biurokracja znieprawiła rewolucję lecz zbudowała przemysł. W Chinach natomiast buduje się rewolucyjną ideologię lecz nie rozbudowuje się przemysłu.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że Chiny w przeszłości reagowały gwałtownie na sytuację „klaustrofobiczną”. Im pierścień wrogów wokół Chin będzie bardziej się zaciskał — tym prawdopodobieństwo wybuchu zbrojnego konfliktu będzie realniejsze. Chińczycy mają niezmiernie wyczulony instynkt obrony.

Niebezpieczeństwo kryje się również w fakcie, że Rosja ze swoją antychińską kampanią musi się spieszyć. Moskwa zechce z całą pewnością wykorzystać obecny okres pełnej izolacji Chin — izolacji, która nie będzie trwała wiecznie. Z chwilą kiedy Pekin zrozumie, że zastępowanie dyplomacji ideologią nie zapewnia politycznych korzyści — otworzą się przed Chinami możliwości normalizacji stosunków z Ameryką. To byłby cios dla sowieckiej polityki okrążenia Chin, którego Moskwa być może boi się więcej niż otwartego konfliktu.

LONDYŃCZYK

Wizyta w Moskwie

Zaraz pierwszego wieczoru Władek się urwał i poszedł na Plac Czerwony zawadziwszy przedtem o GUM. W GUM-ie dokonał tego czego nikomu z nas nie udało się powtórzyć do końca pobytu: za siedem rubli kupił butelkę francuskiego koniaku *Camus*. (Siedem rubli to: 102 złote po kursie turystycznym, 140 zł jeśli wymienić przemycone banknoty w moskiewskim banku, około 300 zł po kursie przemysłowym, tj. tyle wychodzi jeśli się kupi np. sokowyżymałąkę, przemyci do Polski i sprzeda w komisie. W Polsce taki koniak kosztuje przeszło 500 zł, jeśli w ogóle można go dostać).

Na Placu Czerwonym Władek usiadł na śniegu naprzeciw cerkwi Wasyla Błażennowo, odkorkował koniak, pociągnął łyk, postawił butelkę na ziemi i zaczął kontemplować. Co piętnaście minut pociągał z butelki i dalej przeżywał. Miał nowy bułgarski kozuch i siedziałby bez końca gdyby nie milicjant. Jeszcze rano, mimo kaca, był zaczarowany: „Słuchaj, to była najdziwniejsza i najpiękniejsza noc w moim życiu! Wyobraź sobie: Zima. Śnieg. Księżyc. Gwiazdy. Moskwa. Plac Czerwony. Wasilij Błażennyj jak z bajki. Francuski koniak. Ani żywej duszy — i ja w środku tego wszystkiego”.

Władek szukał przeżyć surrealistycznych, mnie bardziej interesowała prawda o ludziach. Bytowaliśmy więc w Moskwie dwójście, przechodząc na zmianę ze świata fantastycznych doznań gdzie słońce, śnieg, złote kopuły cerkwi, kremłowskie ikony, koniak i lody mieszały się ze sobą w sposób zwariowany — do świata prawdziwego: zgaszonego, czujnego, innego a jednocześnie tak podobnego do tego co mamy w Polsce.

W a n n a

Dwie uzależnione od siebie i przecinające się płaszczyzny: warunki życia materialnego i stosunki między ludźmi. Na obu wyczuwalne od pierwszego dnia napięcie.

Hotel był drogi, czysty, staroświecki, demonstrował bogate dywany, polerowane mosiądze, lśniące parkiety. Nasza łazienka była wielka jak salon, z marmurami i lustrami. „Popatrz jak tu wspaniale!”, zawołałam do Władka. „Już idę, puść tymczasem wodę do wanny”. W tej chwili przeżyłam pierwszy mały wstrząs. Wanny nie było. Otwór rury która kiedyś doprowadzała wodę do wanny zabity był poczerniałym ze starości drewnianym kołkiem. Nie ulegało wątpliwości że kiedyś musiała tu stać wanna. Bardzo dawno temu. Co się z nią stało?

Wyobraźnia zaczęła działać samoczynnie. Wariant pierwszy: Rewolucyjna ojczyzna w niebezpieczeństwie! Wszystko dla frontu! Cały metal do hut! Przetopimy patelnie na karabiny! Do hotelu wkracza wysłannik komisarza z nakazem rekwizycji wanień.

Wariant drugi: (Na marginesie wiersza Majakowskiego o robotniku i łazience) — Tokarz Wołodia bierze ślub z wysokopierśną Żenią. Upojeni rewolucją i spirytusem goście weselni wdzierają się do hotelu, rekwirują poburżującą wannę i zanoszą ją do mieszkania państwa młodych w prezencie od moskiewskiej klasy robotniczej.

Wariant trzeci: NEP. Właściciel restauracji urządza sobie dom. Kusi administratora hotelu, poi go szampanem, faszeruje kawio-rem, napycha kieszenie banknotami, na drugim planie gra cygańska orkiestra. Administrator ulega. Wanna znika.

Ciąg dalszy: NKWD stawia obu pod ścianą. Wannę wnoszą do mieszkania zagranicznego specjalisty.

W łazience nie było też ciepłej wody. Dopiero po kilku dniach zorientowaliśmy się że łazienka spełnia funkcje czysto prestiżowe a kto chce się myć idzie do suterenu gdzie działają hotelowe prysznice.

Przejechaliśmy się metrem. Przepych, luksus, ciężkie pieniądze — dla efektu. Potem byliśmy na Uniwersytecie Moskiewskim. Znajdowała się tam na wydziale jedna ubikacja, urządzona dokładnie jak polowa latryna na obozie wojskowym, tyle że podzielona przepierzeniami na przegrody. Brud nieopisany, błoto po kostki. Staje się na desce z wyciętą dziurą. Rąk nie ma gdzie umyć. Dziekan wydziału wyszedł stamtąd na korytarz, dopiął spodnie i uśmiechnął się do nas radośnie, bez śladu zażenowania.

Czuje oczy

Piętro hotelowe ma kształt prostokąta. Na przeciwległych rogach stoją biurka, miejsca za biurkiem nigdy nie są puste. Dwie osoby ulokowane na strategicznych pozycjach za biurkami mają w polu obserwacji każdego kto opuszcza jakikolwiek pokój na piętrze i każdego kto wchodzi do pokoju. Zawsze czuło się na sobie to spojrzenie.

Przed wyjazdem poszliśmy oddać klucz przy biurku. „A ile macie walizek?” „Dwie”. Wobec tego dostaliśmy papiererek na którym było napisane: pokój numer taki a taki. DWA CZEMO-

DANY. Przy wyjściu z hotelu portier nas zatrzymał i kategorycznie zażądał tego papierka. Żeby wiedzieć czy nie wynosimy cudzych walizek.

Służbowa podejrzliwość, urzędowa nieufność („rewolucyjna czujność”?): normalna postawa z jaką się stykają w Moskwie i przybysze i tubylcy. Doświadczaliśmy tego wielokrotnie.

Ale z drugiej strony: przyjazna poufałość, zainteresowanie, życzliwość. Pokojowa traktuje gości hotelowych jak miłych krewnych co zjechali z wizytą. W restauracjach ludzie przysiadali się do naszego stolika, zamawiali koniak i z powagą wznosili nasze zdrowie. Potem już zazwyczaj milczeli.

Wyczuwaliśmy w tym wszystkim sprzeczność wynikającą z dwu przeciwstawnych tendencji: ostrożności, bo każdy obcy jest potencjalnie wrogi — i tęsknoty do ciepłych, osobistych stosunków z ludźmi, bo tak dyktuje wewnętrzna potrzeba.

Porykiwanie

Po wyjściu ze sztucznej, cieplarnianej a zarazem sztywnej atmosfery restauracji dla zagraniczników, zanurzaliśmy się w żywiole moskiewskiej ulicy.

Dystans, konwencjonalne formy, uśmiechy, uszanowanie strefy ochronnej wokół jednostki — to co Anglicy nazywają *privacy* — nie istnieje. W domu towarowym przed ladą z biżuterią trzy szeregi ludzi: pierwszy leży na ladzie z nosem przylepionym do szyby; drugi leży na pierwszym i zagląda przez ramię; trzeci leży na drugim i nic nie widzi. (Nikt nic nie kupuje, biżuteria jest droga. Ale zanim zobaczyliśmy towar i ceny, minęło pół godziny).

W sklepie wyrasta obok mnie sprzątaczką, wielka baba o kamiennej twarzy. Macha miotłą po podłodze za moimi plecami i nagle, bez słowa, chwytą mnie w ręce — jak dźwig worki z cementem — unosi w powietrze i stawia obok. Potem nie przerywając milczenia kontynuuje zamykanie w miejscu opróżnionym z mojej osoby.

Staliśmy na stacji metra w grupce ludzi. Nadjechał pociąg, wszyscy rzucili się do drzwi wagonu, porywając nas z sobą. Przez kilka minut walczyliśmy w tych drzwiach, łokieć w żebra, kolano w plecy, ktoś sapie nad uchem, ktoś coś ryczy. Wreszcie jak korek wystrzelony z butelki szampana wpadłam do przedziału. Pusto. Przedział wielki, wolne miejsca, cała grupka pasażerów z którą wdarliśmy się do środka siedziała gdzieś po kątach dysząc ciężko.

Na ulicy mówią głośno, wykrzykują ochryple, często słyszy się „dawaj, dawaaaj”, z jakąś ni to pijacką ni to frontową intonacją.

Spotkaliśmy sąsiada z hotelu, też z Polski. Władek zażądał żeby przeprowadzić eksperyment. Polegało to na tym że sąsiad szedł po jednej stronie dość szerokiej ulicy, Władek po drugiej, obaj w tym samym kierunku. Sąsiad ryczał możliwie najbardziej przerażającym i donośnym głosem: „Wołoooodiaaaa! Wołoooodia!” a Władek odpowiadał, zdzierając struny głosowe: „Pieeetiaaa! Pieeetiaa!”. Widziałam kiedyś w Paryżu

film o wampirach, ofiary wampirów wydobywały z siebie takie właśnie głosy w przedśmiertelnych drgawkach. Nikt z przechodniów się nie zatrzymał, nikt się nawet nie obejrzał, ryki Pieti i Wołodi mieściły się w przyjętych formach.

Polowanie

Dlaczego porykują? Uzgodniłszy z Władkiem, że są to porykiwania myśliwego w akcji. Czasem ryczy się dla dodania sobie otuchy — w obliczu kłów odyńca, czasem ryki mają wypłoszyć zwierzynę z matecznika a czasem odstraszyć innych myśliwych czatujących na tę samą zdobycz.

Bo obywatele Moskwy muszą polować aby żyć. Poluje się na towary w sklepach, na metry kwadratowe powierzchni mieszkalnej i na wszelkie inne pożądane dobra. Nic nie przychodzi naturalną drogą, spokojnie, bez walki.

Opowiadano mi o zjeździe dziennikarzy — ogólnozwiązkowym — w Moskwie. Dla umilenia obrad w hallu kremłowskiego Pałacu Zjazdów ustawiono kiosk z ładnymi, kolorowymi, wełnianymi szalikami, niedostępnymi w normalnych sklepach. Na pierwszej przerwie delegaci przypuścili szturm do kiosku, sceny były dantejskie, stłuczone szyby chrzęściły pod stopami. Na dzwonek obwieszczający koniec przerwy nikt nie zwrócił uwagi. Obrady można było wznowić dopiero kiedy kiosk został definitywnie zamknięty. (Wprawdzie dziennikarze w socjalizmie to wyjątkowa hołota, ale tym razem to było typowe nie tylko dla tej kategorii zawodowej).

Przez GUM (Główny Uniwersalny Magazyn) przewalają się tłumy, z napiętymi, pełnymi oczekiwania twarzami. Co jakiś czas pada skądś cicha informacja — hasło i wtedy wszyscy rzucają się w kierunku jakiegoś stoiska. Przywieźli pomarańcze! Są nocne koszule! Majtki! Ręczniki! Żarówki!! Przepychają się potrącają, tratują. I porykują.

Zabłądziliśmy wieczorem w zaułkach starej Moskwy i stanęliśmy przed jakąś tablicą na ścianie. Moskwiczanie przypinali na niej zardzewiałymi pluskiewkami ogłoszenia powypisywane na świstkach papieru. Najwięcej ogłoszeń dotyczyło sprzedaży i kupna różnych przedmiotów oraz wymiany mieszkań. Sprzedawano najczęściej: wózki dzieciinne, płyty gramofonowe, lodówki i motocykle. Ogłoszenia o mieszkaniach dotyczyły wymiany jednego pokoju zajmowanego przez rodzinę we wspólnym mieszkaniu na inny pokój we wspólnym mieszkaniu. Zalety pokoi: wnęka do spania; duże okna; słoneczny; pierwsze piętro; tylko jedna rodzina we wspólnej kuchni, bezdzietna.

Psychoza polowania; iluzja że jeden pokój we wspólnym mieszkaniu może być dla małżeństwa z dzieckiem i babcią dogodniejszy niż inny pokój też we wspólnym mieszkaniu. Znamy to z własnych doświadczeń, ile razy zamieszczałyśmy w swoim czasie takie ogłoszenia w gazecie, ile pokoi obejrzelśmy z Władkiem.

K a r a k u ł y

W Londynie niechlujna staruszka oglądająca wystawy Harrodsa może być (i bywa) milionerką, w Paryżu niepozorny pan w starej marynarce i welwetowych spodniach, sączący szklaneczkę najtańszego wina, łokieć w łokieć z chłopcem od rzeźnika, w barze trzeciej kategorii — jakbyśmy powiedzieli w Warszawie — może być laureatem nagrody Nobla albo deputowanym do Zgromadzenia Narodowego. Nic takiego w Moskwie. W porównaniu z Moskwą ulice kapitalistycznych stolic wydają się bezklasowe.

W Moskwie przedziały klasowe są tak wyraźne jakby ludzie nosili etykiety. Na dole jakieś podejrzone, dość obdarte i niechlujne, podchmielone typy, wałęsające się bez wyraźnego celu — margines społeczny. Nieco wyżej: klasa pracująca, kobieciny o zmęczonych twarzach, w zmiętych paltocikach z czterdziestoprocentowej wełny, okutane chustami; szary i smutny tłumek, jak na Bałutach w Łodzi, na Pradze w Warszawie, w Podgórzu w Krakowie, tyle że biedniejszy.

Największą moją ciekawość budziła elita: mężczyźni w długich futrach krytych szarą stuprocentową wełną, w drogich futrzanych czapach, albo w dobrze uszytych mundurach i lśniących butach z cholewami i ich kobiety, w karakułach i białych kaszmirowych szalach. Są zbyt obficie odżywieni, przycięzcy, nawet zgrabne kobiety o ładnych nogach deformuje nadmiar sadła; już przed trzydziestką mają obrzmiałe, rozlewające się rysy. Chodzą niespiesznie, poruszają się godnie i trochę sztywno, są zwykle poważni. Widuje się ich w droższych restauracjach w centrum miasta, wczesnym popołudniem, w czasie przerwy w urzędowaniu. Wkraczają do pustej sali, w pojedynkę, zamawiają dwieście gram koniaku i szaszłyk, wypijają jednym haustem, jedzą wolno.

Karakuły kosztują sześćset, osiemset, tysiąc i więcej rubli. Zależy jakie. Opowiadano mi o kimś z szacunkiem, że dobrze zarabia. Ile? Ooo, ze sto dwadzieścia rubli. — A ile zarabia robotnik? — To zależy. — Sześćdziesiąt rubli? — Może być i sześćdziesiąt.

Z o r ż y k

Poznaliśmy Żorża. Ma 25 lat, chronicznie dobry humor którego niczym nie można zgasić i tupet jak cztery razy tam i z powrotem do Władystoka. Co robi? Masę rzeczy. Ma w kieszeni trzy delegacje służbowe, w tym jedną do Taszkientu, jutro ma lecieć samolotem (nie polecą, pójdziemy na wódkę); pracuje w handlu, w wydawnictwie, w prasie, kulturze — kolejne wersje zależą od pogody, pory dnia i jadłospisu. — Ale przecież mówiłeś że pracujesz w handlu, a teraz wydawnictwo? — Oczywiście odpowiada nie spieszony Żorż, to także. Przyjechał dziś rano z odległej prowincji, mieszka u kolegi w domu akademickim i oświadcza że

na wiosnę przyjedzie nas odwiedzić, przywiezie karakuły a my tymczasem mamy znaleźć nabywcę.

— Jak macie coś do sprzedania to wam mogę sprzedać, a tak sami to uważajcie. Jedną waszą kobietę zaczepił oficer, rozumiecie, kapitan, człowiek poważny. Szła z walizką. Kapitan pyta czy nie ma przypadkiem jakiego ładnego sweterka, kupiłby dla żony. Ona na to że ma i dawaj wyciągać. Nie tu, złości się kapitan, nie widzicie munduru, mnie nie wypada tak handlować, mogę mieć przykrości. Chodźmy najlepiej do mieszkania, dwa kroki, odpoczniecie, żona da herbatki. Przed drzwiami, a drzwi elegancie, przedwojenne, oficer powiada: wy tu teraz chwileczkę, minutkę poczekajcie, uprzedzę żonę że ma gościa, poprawi włosy i zaraz wychodzi; wybaczenie, ale mieszkanie u nas takie ciasne. Kobieta czeka, czeka, po pół godzinie naciska klamkę, drzwi się otwierają, a za nimi — powietrze! Ta część domu była zawalona czy specjalnie zburzona, jeszcze nie dobudowali, zaraz za drzwiami była drabina, na dole ogród.

Patrzę na Władka, Władek nuci pod nosem i studiuje dania rybne w karcie. Wczoraj wieczór wziął nasze przemycone sweterki i oświadczył: Wracam z rublami. Zaczął od skromniejszej restauracji w pobliżu. Zaraz przysiadł się do niego jakiś przystojniak, postawił wódkę, po pierwszej ćwiartce obgadali transakcję. „Chodź do mnie, blisko, tam mieszka kobieta co mnie utrzymuje, będą ruble”. W bramie przystojniak mówi: daj rzeczy, wezmę na górę. Władek — nie, idę z tobą. Tak się przekomarzali, aż przystojniak wyrwał paczkę i na schody. Władek go kopnął, zabrał paczkę i wrócił wściekły do hotelu. Oczywiście brakowało najładniejszego sweterka. A swoją drogą Żorzyk łąże pewnie jak najęty.

Żorzyk odkrywa przed nami pasjonujące kulisy życia stołecznego.

— Kupić można wszystko, tylko trzeba mieć polecenie do sklepu. Imitacja karakułów 80 rubli. Kierownicze dacie 140, ona musi się podzielić, ale i tak na tym najlepiej zarobicie. Chcecie, załatwię.

— Teraz mało jarzyn w Moskwie. Najlepiej jak jest sesja Rady Najwyższej, taki delegat z republiki doczepia wagon z kapustą albo z arbuzami do swojego pociągu i wio do Moskwy A ilu tych delegatów! I on coś ma z tego i wszyscy mają korzyść.

A sąsiad — rodak z naszego hotelu dostaje telefony. „Mówi Natasza, gdzie się spotkamy?” Za chwilę: „Mówi Irina, czy macie czas dziś wieczór?” — „Odczepcie się dziewczyny, jestem człowiek poważny i żonaty”.

Ale kiedyś koło hotelu pokazuje nam taką ładniutką, z meszkiem na górnej wardze: Patrzcie, to Natasza. A Natasza ma na szyi piękny nowy szalik z Galeries Lafayette.

A l k o h o l

— No, to idziemy na śniadanie, mówi Żorzyk. Będzie tanio i zdrowo.

Najpierw sklep spożywczy. Przed kasą długa kolejka, trzeba z góry zapłacić, potem z kwitkiem odbiera się towar przy ladzie. Żorzyk wpycha się na czoło kolejki, łamaną ruszyczyną anon-sując donośnie wszystkim obecnym: Wybaczcie obywatele, jesteśmy cudzoziemcy i bardzo nam się spieszy! Nikt nie protestuje. Jest nam głupio. „Pół litra Stolicznej”, komenderuje Żorzyk.

Za rogiem schodzimy po schodkach do sutereny, brudno, gołe ściany, żarówka u sufitu. „Stołówka”. Jacyś ludzie jedzą zupełnie. Żorzyk przynosi z bufetu trzy szklanki i trzy kiszzone ogórki, jednym płynnym ruchem wybija korek z butelki i sprawiedliwie rozlewa wszystko na raz do szklanek. — Ale popatrz, Żorż... mówię wskazując na ścianę nad drzwiami: „Picie alkoholu zabronione”. Żorzyk pogardliwie wzrusza ramionami. — Żebyście się nie denerwowali — i wstawia butelkę pod stół, gdzie jak się okazuje stoją już dwie bliźniaczo podobne puste butelki. Przy sąsiednim stole młode, dobrze podchmielone towarzystwo wznosi nasze zdrowie. Bufetowa melancholijnie wpatruje się w popstrzone przez muchy szybki za którymi poruszają się nogi przechodniów.

W Polsce pije się bardzo dużo. W Moskwie pije się straszliwie. Nie tylko w dwuznacznym kręgu Żorzyka, wszystkie nasze spotkania z tamtymi ludźmi, różnych zawodów, z różnych środowisk, upływały pod znakiem picia, najczęściej „do oporu”. Piją zachłannie, niecierpliwie czekają na działanie pierwszych kieliszków. Potrzeba rozładowania napięcia? Wyrwania się z kręgu jałowej codzienności? Zagłuszenia niepokoju?

W mieście sporo pijanych, zwłaszcza wieczorem i w niektórych okolicach. A kiedyś o jedenastej rano na postoju taksówek natknęliśmy się na pijanego w sztok, leżał w śniegu. Usiłowaliśmy wytłumaczyć taksówkarzom że coś z nim trzeba zrobić, może zatelefonować na pogotowie. „Nic mu nie będzie, wyśpi się i pójdzie do domu”, uspokajali nas z dobrodusznym uśmiechem, zdziwieni naszym wystąpieniem.

S t u d e n c i

Pod koniec pobytu dostajemy prywatne zaproszenie do domu akademickiego w Leninskich Gorkach. Piramidalny marmurowy pałac rysujący się z daleka na horyzoncie jest wewnątrz ciemnawy, ma lepkie od brudu ściany, nie umyte szyby, podłogi z surowych brudnych desek.

Jeden z naszych gospodarzy dostał paczkę z domu, odgrzewamy pierożki z paczki i pijemy pieprzówkę ze szklanek. Rozmawiamy o muzyce, literaturze, malarstwie, teatrze. Nasi studenci wykazują niezłą orientację w tym co się dzieje w świecie, a raczej co się działo przed kilku laty, najświeższe wiadomości jeszcze do nich nie dotarły. Traktują przedmiot serio i z dużym przejęciem. Z wypiekami na twarzy słuchają relacji z Warszawy, Wiednia, Londynu, Paryża.

Jurij bierze mnie pod rękę, prowadzi w kąt pokoju pod oszkloną staroświecką biblioteczkę. „To moje okno na świat”. Na szybach parę przybrudzonych, starannie naklejonych, kiepskich reprodukcji francuskich impresjonistów; Picasso; na półkach kilka francuskich paperbacków — klasycy, opowiadania Aragona. Jurij wyciąga spod papierów na dnie szuflady pocztówkę z wieżą Eiffla.

Zostajemy we trójkę, pozostali goście rozeszli się po swoich pokojach. Jurij robi mocną gruzińską herbatę, rozlewa resztę pieprzówki. Długo milczymy.

I nagle Jurij zaczyna mówić, patrząc w okno. Od razu pierwsze słowa przełamują barierę milczenia otaczającą tematy tabu które dotychczas w rozmowach ze wszystkimi w tym mieście omijaliśmy starannie, wielkim łukiem.

Los człowieka w jego kraju. Dziesiątki lat o których my, z Zachodu (dla nich Polska to ciągle Zachód) nie możemy mieć pojęcia. Ojciec który umarł po powrocie z obozu. Matka zwalniana co chwilę z pracy. Lęk. Bieda. Marnotrawstwo ludzkich sił.

Zacina się, waha chwilami, nie kończy zaczętych zdań.

— Takie było nasze życie, teraz śpimy spokojniej. Żeby nam dali jeszcze kilkanaście lat! Ci całkiem młodzi są już inni. A kraj piękny, tylu wspaniałych ludzi. Jakich rzeczy można z nimi dokonać, jakie życie stworzyć. Zrozumcie, chodzi o kilkanaście lat normalnego życia i wszystko tu będzie można zrobić...

P r o f e s o r

Profesor jest dość młody, nieźle podtuczony. Humanista. Z życia zadowolony. Ma żonę, dwoje dzieci, nowe dwupokojowe mieszkanie, telefon, telewizor i elektryczną froterkę. Planuje nabycie nowego dywanu i wycieczkę do Budapesztu. Denerwuje mnie w nim właściwie tylko jedno: długie kałesony zawiązane na tasiemki które wyłazą ze skarpetek kiedy siadając podciąga spodnie, ale wiem że to niesprawiedliwe z mojej strony.

Profesor okazuje się fantastycznie czytany i bardziej inteligentny niżby to chciał wykazać w rozmowie. Mówi ciekawie o ikonach, potem o podboju kosmosu, kiedy podnosimy jakiś temat z jego własnej dziedziny, uprzejmie go podtrzymuje przez chwilę kilku ogólnikami a potem wraca do ikon i kosmosu.

Nazajutrz Władek przynosi mi z miasta egzemplarz czasopisma naukowego z artykułem profesora. Drewniane, wyświechtane slogany. Długie cytaty z klasyków. Pustka. Bełkot.

M y

Czujemy się tu przeniesieni w inny wymiar. Jesteśmy kimś innym niż zazwyczaj. Zostaliśmy wyposażeni w nowe, zaskakujące nas cechy, nasze istnienie nabrało nowych znaczeń.

Wynika to ze stosunku tych ludzi do nas. Jesteśmy dla nich przedstawicielami innego świata; widzą ten świat w naszych odmiennych ubraniach, przedmiotach które przywieźliśmy ze sobą, w przeżyciach które odgadują lub odtwarzają na podstawie naszych słów. Jesteśmy dla nich symbolem.

Ten ich stosunek do nas, reakcje jakie w nich budzimy, to dla mnie najważniejsza i najciekawsza sprawa w Moskwie.

Na czym polegają ich reakcje na nas? Jest w nich wielka ciekawość; trochę poczucia niższości; niezasłużonej krzywdy; tęsknota do innego życia które widzą w nas; lękliwy niepokój wywołany przez uświadomienie sobie tej tęsknoty; cień nadziei że świat który przyszedł do nich w naszych osobach mógłby się stać także ich udziałem. A zarazem: trochę zażenowania i wstydu że tak właśnie na nas reagują; trochę niechęci i agresji; odruch lęku często wyzwalany automatycznie przy nieoficjalnych, nieformalnych kontaktach z nami; a także poczucie wyższości.

Budzimy więc w nich emocje dość silne, zróżnicowane a przy tym ambiwaletne. To sprawia że jesteśmy dla nich fascynujący.

Oczywiście dla niektórych jesteśmy tylko nosicielami prestiżu. Ich własny prestiż, w oczach otoczenia i ich własnych, zwiększa się kiedy przebywają w naszym towarzystwie. Żorzyk nawet wyobrażał sobie że jest jednym z nas, co wprowadzało go w stany dość euforyczne.

Ale są też tacy w których budzimy głęboki, zasadniczy niepokój. Tak jakby to co przez nas dostrzegają rzucało na ich świat, na ich egzystencję, nowe światło. I jakby to co widzą w tym świetle głęboko ich poruszało.

Władek był kiedyś sam wieczorem na moście. Za nim od chwili szedł młody człowiek. Zatrzymał Władka, poprosił o ogień a potem poprawną choć ubogą w słowa angielszczyzną spytał czy Władek nie jest przypadkiem amerykańskim dziennikarzem i wymienił znane nazwisko tego dziennikarza. Był trochę rozczarowany że nie, ale i tak powiedział że jest studentem, że chciałby porozmawiać, odprowadził Władka w okolice hotelu, umówili się na następny dzień. Władek czekał dwie godziny, chłopiec się nie pojawił, ani wtedy ani nigdy później.

Paulina PREISS

Zła wola czy ignorancja

W ostrawskiej *Nowej Swobodzie* z dnia 4 lutego 1969 pojawił się artykuł pióra Tomasa Pavlicy „Dela nad Olsi”, poruszający sprawę najazdu wojsk czeskich na Śląsk Cieszyński przed 50-ciu laty oraz sytuację na tym terenie aż do momentu rozstrzygnięcia sporu o Śląsk Cieszyński.

Ze względu na drażliwość tematu tego w ostatnim ćwierćwieczu w ogóle

nie poruszano (moim zdaniem niesłusznie), dlatego też pojawienie się tego rodzaju tematu na łamach prasy należy zaaprobować. Niestety, sposób, w jaki autor przedstawia owe czasy, nie ma nic wspólnego z naukowym podejściem do sprawy, jednostronnie i wprost fałszywie informuje czytelników *Nowej Swobody* o tych niezmiernie skomplikowanych sprawach. Czytając powyższy artykuł odnosi się wrażenie, że ma się w rękach organ Śląské matice osvěty lidové z okresu międzywojennego, lub też organ Uhlírovců z roku 1947, a nie poważny dziennik komunistyczny, w dodatku po sierpniowych wydawnictwach.

Nie mam zamiaru polemizować z autorem, bo na to poziom artykułu nie zasługuje, lecz poruszony temat jest tej wagi, a jego naświetlenie tak złośliwe i szowinistyczne, że nie można nad tym przejść do porządku dziennego, niewłaściwe bowiem i mylne informowanie o tych sprawach spowodowało już i może jeszcze spowodować dużo złej krwi we wzajemnych stosunkach. Dlatego uważam za pożyteczne i konieczne wskazać przynajmniej na najważniejsze wypaczenia artykułu, pomijając cały szereg nieścisłości i nieznamości faktów i problematyki przez autora.

Autor stara się w swym artykule udowodnić, że Śląsk Cieszyński był czeski, jego zajęcie przez wojska czeskie było rzeczą słuszną i całą winę za spór o ten skrawek ziemi ponosi strona polska, jak to wyraził zaraz na wstępie. Z takich założeń wychodził i im podporządkował całą argumentację.

Spróbujmy jego podstawowe założenia porównać z prawdą historyczną.

Tak więc zdaniem autora Śląsk Cieszyński był pierwotnie czeski i dopiero imigracja sił roboczych z Galicji w związku z rozwijającym się przemysłem węglowym i hutniczym spolszczyła ten teren. Lapidarnie wyraził to w zdaniu: „Kraj dosud cesky se silne popolstil”. Jaka była rzeczywistość?

Najpierw problem przychodźców — Galicjan. Jest prawdą, że do Zagłębia Karwińskiego przybywali Galicjanie za pracą, ale w większej ilości dopiero na przełomie XIX i XX wieku i nawet wtedy nie wywarli większego wpływu na „popolszczenie” miejscowej ludności. Można się tutaj powołać na wyniki badań dr. Pitronowej z Instytutu Śląskiego w Opawie, która w publikacji „Karvina. Sborník príspevků k dejinám a vystavbe mesta” na str. 107 pisze: „V cílem frýstáckem okrese melo tedy v prubehu XIX století až do první světové války rozhodující roli obyvatelstvo domáciho puvodu”.

W hucie trzynastkiej było do roku 1910 niespełna 3% zatrudnionych pochodzenia z Galicji. Galicjanie skupiali się głównie na zachodnich krańcach Śląska Cieszyńskiego oraz w Zagłębiu Ostrawskim, czyli w środowisku czeskim, a tam jako stojący na niskim stopniu uświadczenia społecznego i narodowego, szybko się asymilowali i dziś świadczą o nich już tylko polskie nazwiska. Natomiast kierownicze stanowiska w Zagłębiu Karwińskim zajmowali większością urzędnicy z głębi Moraw i Czech i ci z racji swej postawy społecznej komplikowali stosunki narodowościowe na tym terenie bardziej, aniżeli przychodźcy z Galicji.

Twierdzenie to można również uzasadnić na podstawie wyników spisów ludności. Ze spisu ludności z 1880 roku wynika, że na terenie ówczesnych powiatów politycznych Frysztat (powiaty sądowe Frysztat i Bogumin) i Cieszyn (powiaty sądowe Cieszyn i Jabłonków) żyło 76% (94.294) Polaków, 14% (17.795) Czechów i 10% (12.089) Niemców. Jest rzeczą znaną, że w tych czasach nie można jeszcze tutaj mówić o większych wpływach imigracji, czyli, że chodziło o ludność miejscową. Czy dane te świadczą o czeskim Śląsku Cieszyńskim?

Sytuacja w 1910 roku uległa zmianie, ale co ciekawe — na niekorzyść Polaków: 69,6% (152.609) Polaków, 15,7% (34.307) Czechów i 14,7% (32.204) Niemców. Dowodzi to, że Galicjanie nie popolszczyli miejscowej ludności, ale raczej na odwrót, różne inne czynniki działały na korzyść Czechów, a zwłaszcza Niemców.

Dalej: autor ma rację twierdząc, że przeciwko usiłowaniom przyłączenia Śląska Cieszyńskiego do Polski przez Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego „se ovsem postavilo obyvatelstvo obci s ceskou prevahou”. Ale czy wiadomo autorowi, że podług spisu ludności z 1910 roku (a sytuacja od tego czasu nie uległa zasadniczej zmianie) spośród 82 gmin obu powiatów politycznych Frysztat i Cieszyn, tylko w czterech, to jest w Pietwałdzie, Dziećmorowicach, Łazach i Orłowej znajdowała się większość czeska?

Najazdu zbrojnego wojsk czeskich na Śląsk Cieszyński w styczniu 1919 r. nie można usprawiedliwić ani momentami historycznymi, ani gospodarczymi, jak to czyni autor. Sytuacja była o wiele więcej skomplikowana.

Grubą nieprawdą jest twierdzenie autora, jakoby Polska obawiała się wyników plebiscytu i odrzuciła go, zawierając 10 lipca 1920 roku umowę z rządem czeskim o podziale Śląska Cieszyńskiego. Jest rzeczą dobrze znaną, że spór oddały obie strony do załatwienia Radzie Ambasadorów Aliantów, która zdecydowała o podziale Śląska Cieszyńskiego w Spa w dniu 28 lipca 1920 roku.

Należy również przypomnieć, że w proch na cmentarzu nie zmienili się tylko polegli i zamordowani w Orłowej (Czesi), lecz również i w Stonawie, Trzyńcu i innych wioskach Śląska Cieszyńskiego (Polacy).

Wielka szkoda, że tak poważny dziennik, jakim bezsprzecznie *Nowa Swoboda* jest, przysłużył się tym razem niedobrej sprawie. Jeśli redakcja zamieściła artykuł ten bez komentarza, można sądzić, że zgadza się z jego treścią. Ten sposób na pewno nie przyczyni się do zacieśniania stosunków przyjaznych na mieszanym narodowościowo terenie Śląska Cieszyńskiego. A że społeczeństwo polskie w Czechosłowacji jest bardzo wrażliwe na prawdę społeczną i chętne do zgody i przyjaźni, wykazało dostatecznie swą postawę w niedawnych wydarzeniach politycznych. Dlatego tym boleśniej odczuwa tego rodzaju fałszowanie przeszłości rodzinnego kraju. Równocześnie jest to cios wymierzony w jego uczucia narodowe.

Dr Stanisław ZAHRADNIK, CSc.



Od lat żyjemy obok siebie, pracujemy wspólnie, należymy do jednego wydawcy. Zarówno redakcja *Nowej Swobody* jak i *Głosu Ludu* na swych łamach realizują założenia partii, jej linię i cele. Jednym z czynników tej polityki jest sprawa internacjonalizmu, podkreślanie faktu, iż coraz mniej momentów nas rozdziela a coraz więcej łączy.

Opublikowanie we wtorkowym numerze *Nowej Swobody* artykułu „Dela nad Olsi” nie przysłużyło się tej sprawie. Co więcej, wywołało oburzenie wśród naszych czytelników, spowodowało nasilenie krytyki wobec ideowych założeń tego dziennika. Szkoda, że kierownictwo bratniej redakcji nie porozumiało się przed opublikowaniem tego materiału z nami, nie zastanowiło się nad następstwem swojego kroku. Szkoda, że dotąd nie pojawiło się na łamach *Nowej Swobody* żadne wytłumaczenie ani usprawiedliwienie.

Mamy nadzieję, że tego rodzaju podważanie pozytywnej internacjonalistycznej współpracy i współzycia nie będzie miało w przyszłości miejsca.

(*Głos Ludu*, 8. II. 1969)

Redakcja GŁOSU LUDU

Sprawy Polaków

Rola polityczna emigracji

Druza Wielka Emigracja

Trzydzieści lat dobiega od czasu kiedy we wrześniu 1939 roku rozpoczęła się Druza Wielka Emigracja. Dwadzieścia pięć lat mija od „Burzy” i Powstania Warszawskiego. Unaocznily one i Polakom i całemu światu że Polska oraz jej sąsiedzi znaleźli się w rosyjskiej strefie wpływów. Pamiętamy te dni rozpacz, żalu i zawodu. Ta największa z wojen rozpoczęła się w obronie wolności i całości Polski. Byliśmy i „natchnieniem narodów” i „pierwszym aliantem”. Nasi sojusznicy odnieśli „bezw warunkowe” zwycięstwo. My, za zgodą naszych sojuszników, zostaliśmy wydani w ręce Rosji.

Po zakończeniu powojennych wędrówek, poza Polską pozostały setki tysięcy Polaków. Trzonem tej grupy byli żołnierze. Emigracja nasza ma więc charakter żołnierski. Rozproszyła się po całym świecie lecz łączy ją nadal więzy wspólnej służby i wspólnych przeżyć. Tradycja żołnierska po dziś dzień nadaje emigracji ton i barwę. Organizacje żołnierskie w życiu społecznym tej emigracji odgrywają czołową rolę.

W okresie wojny „rząd dusz” w Polsce sprawował Rząd Londyński. Nie dochodziły do szerszej wiadomości londyńskie tarcia i konflikty. Sikorski był niekwestionowanym przywódcą Polaków. Po czarnym dniu w Gibraltarze, który właśnie w tych miesiącach odżył na scenie teatru w Londynie w gryzącej sumienie Brytyjczyków sztuce Hochhuta „Żołnierze”, „Polski Londyn”, wobec braku oczywistego jednego przywódcy, stał się tym bardziej instytucją. Cofnięcie uznania Rządowi Polskiemu w Londynie w lipcu 1945 roku przez mocarstwa sprzymierzone, dokonane pod presją rosyjską, mające nawet dla wielu cudzoziemców charakter zdrady alianta, nie mogło oczywiście mieć znaczenia prawnego dla Polaków. Tym bardziej nie miało ono znaczenia politycznego i moralnego. Dopiero wpływ wielu lat emigracji, nacisk narastają-

cej rzeczywistości politycznej, a także smutne konflikty wewnętrzne wśród czynników politycznych na emigracji stopniowo zaczęły dokonywać erozji znaczenia sukcesorów Rządu w Londynie. Nie ma wszakże ani aktu formalnego ani jakiejś daty która by kończyła lub przerywała ciągłość działalności „Polskiego Londynu”. Do dziś dnia działają w świecie przedstawicielstwa Wolnej Polski. Niektóre z nich, jak np. Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej przy Watykanie, mają status formalny, inne posiadają status faktyczny. Działalność „Polskiego Londynu” oczywiście uległa zmniejszeniu i przekształceniu, dostosowana została do zmniejszonych, skromnych warunków życia emigracyjnego, ale obejmuje nadal całość polskiej problematyki narodowej i wykazuje dużą żywotność. W ostatnich latach na wiele kierowniczych stanowisk weszli ludzie z młodszego pokolenia. W polskie życie narodowe w Londynie i w innych ośrodkach polskich w Wielkiej Brytanii i w innych krajach wchodzi obecnie duża fala młodzieży, chłopców i dziewcząt, urodzonych na obczyźnie, lecz uważających się za drugie pokolenie emigracji politycznej.

Podział ról między Krajem a Emigracją

Podstawą kontynuacji „Polskiego Londynu” nie są jednak w pierwszym rzędzie względy formalne. Kontynuacja ta opiera się na treści politycznej, wynika z sytuacji i wzajemnego stosunku Kraj-Emigracja.

Po ustanowieniu w Polsce rządów komunistycznych działających pod nadzorem Moskwy, wykonywanym żelazną ręką Stalina, podział ról między Krajem a Emigracją był oczywisty. Nie było wątpliwości że Polska nie jest wolna i że nie może prowadzić własnej polityki, ani wewnętrznej, ani gospodarczej, ani zagranicznej. Polakom w Kraju przypadało więc oczywiste zadanie. Przetrwać! Odbudować zniszczenia wojenne, rozbudować w ramach rzeczywistości gospodarkę narodową, w szczególności przemysł, zachować substancję narodową, zachować odrębne polskie oblicze, nie pozwolić na złamanie ducha narodu i na przeobrażenie go na naród sowiecki. Jak dobrze Polacy w Kraju z zadania tego się wywiązali pokazał światu październik 1956 roku. Zadania emigracji były również oczywiste. Emigracja miała kontynuować walkę narodu polskiego o prawdziwą wolność i pełną niepodległość. Miała przypominać światu że sprawa wolności Polski i innych narodów Europy Środkowej nie jest zamknięta i że narody te nie pogodziły się z narzuconą im dominacją sowiecką. Miała reprezentować prawdziwe interesy narodu polskiego i prawdziwy głos Polski w świecie, gdy przedstawiciele reżymu reprezentowali interesy sowieckie. I emigracja także z zadania swego wywiązywała się dobrze.

Rok 1956 przyniósł nową sytuację. Wydarzenia w Poznaniu, przemiany październikowe w Polsce, rewolucja na Węgrzech,

otwarły nowy rozdział. Kraje nasze weszły w okres powolnego zwiększania swej niezależności od Rosji. Polska przodowała. Rychło jednak na czoło tego procesu wysunęli się inni: Rumunia w zakresie polityki zagranicznej i w zakresie gospodarczym, Czechosłowacja w zakresie liberalizacji stosunków wewnętrznych. Polska pozostała w tyle. Partia komunistyczna zgniotła w marcu 1968 roku próby liberalizacji zapoczątkowane w ślad za Czechosłowacją przez intelektualistów, pisarzy i studentów. Zgodziła się w sierpniu na udział w inwazji Czechosłowacji, czym przesądziła zapewne o samym fakcie inwazji. Prowadzi od czasu „wojny sześciodniowej” arabsko-izraelskiej „akcję antysyjonistyczną”, to znaczy akcję antysemicką. Zarówno na terenie wewnętrznym jak i międzynarodowym reżym prowadzi politykę sprzeczną z wolą i z interesami narodu.

Tak samo więc jak i poprzednio tylko emigracja może być rzecznikiem prawdziwej postawy narodu polskiego i prawdziwych interesów Polski. Emigracja musi podnieść głos w sprawie przesładowania studentów, literatów i intelektualistów bo w Kraju panuje zastraszanie. Emigracja musi w imieniu narodu polskiego odciąć się od najazdu na Czechosłowację, bo Polacy życzą Czechom i Słowakom wolności i podziwiają ich dyscyplinę, solidarność, wytrwałość oraz umiejętność walki o swoje prawa, nawet w warunkach okupacji wojskowej. Musi w imieniu narodu polskiego podnieść głos przeciw bezrozumnej akcji antyżydowskiej, dyktowanej interesami Kremla, która jest nie tylko spreczna z wielowiekową tradycją gościnności dla Żydów w Polsce, ale także wyrządza Polsce w opinii światowej szkodę, której nie potrafimy odrobić przez długie lata.

W zmienionej sytuacji zadania emigracji pozostają w zasadzie te same. W układzie Kraj-Emigracja zwiększyła się rola Kraju. Wzrosły możliwości wpływania na rozwój sytuacji wewnętrznej, siła wewnętrzna, możliwość presji na reżym, a nawet możliwość presji na Rosję. To zwiększenie roli i możliwości Kraju nie tylko nie powoduje zmniejszenia zadań i możliwości emigracji, ale je powiększa.

Możemy być pewni że doświadczenia własne i sąsiadów ważą na postawie Polaków w Kraju. Tym doświadczeniom przypisać należy obecny stan zastraszania i apatii w Polsce. Ale naród musi być przygotowany do walki o swoje prawa. Nie jest zadaniem emigracji powstrzymywanie Kraju przed dalszymi naciskami na reżym. Emigracja nie jest strażą pożarną powołaną do gaszenia ognia w ojczyźnie. Nie podburzamy i nie zachęcamy do lekkomyślnych poczynań. Wiemy jednak że dalsza poprawa sytuacji w naszych krajach przyjść może w wyniku naporu wewnętrznego.

Emigracja jest całością

„Krajowiec” Jan Matis pisze w styczniowym numerze *Kultury*, że emigracja traktowana jest w Kraju jako monolityczna jed-

ność. Ważna to obserwacja. Zetknąłem się z tym zdaniem po raz pierwszy po październiku 1956 roku, kiedy to przyjechała do Anglii pierwsza fala rodaków z Kraju, w rozmowie z moim młodszym kolegą, który studia uniwersyteckie kończył już w Polsce Ludowej. Zaskoczyło mnie jego twierdzenie że Sanacja i Endecja, Piłsudski i Dmowski, prowadzili tę samą politykę. Nie pomógł argument że główną treścią wewnętrznego życia politycznego między dwoma wojnami była walka między koncepcją Piłsudskiego a koncepcją Dmowskiego. „Z punktu widzenia internacjonalizmu te spory były bez znaczenia. Istotny był stosunek do internacjonalizmu”, odpowiedział mój rozmówca. Uświadomiłem sobie wówczas nie tylko siłę indoktrynacji ale i to że z punktu widzenia interesów komunizmu — bo o to przecież chodziło — różnice między partiami, czy ośrodkami „burżuazyjnymi”, nawet głębokie, nie mają innego znaczenia jak tylko taktyczne. Bułganin i Chruszczow, który w czasie swej oficjalnej wizyty w Anglii w 1956 roku spotkali się z przywódcami partii konserwatywnej i Partii Pracy, byli zadowoleni z rozmów z konserwatystami, lecz zganięvani na socjalistów z Partii Pracy. George Brown, późniejszy Minister Spraw Zagranicznych w rządzie Wilsona, natarczywie domagał się od przywódców sowieckich wolności dla więzionych działaczy socjalistycznych w bloku sowieckim. Rozdrażniło to gości sowieckich.

Z perspektywy krajowej emigracja, ze wszystkimi jej różnorodnymi formami działania i odrębnymi poczynaniami, stanowi jedno ciało. Tak ją widzi i przeciętny Polak w Kraju i Partia i jej organy. Próby dzielenia emigracji na „masy polonijne” i na ośrodki „politycznych bankrutów i agentów” są w gruncie rzeczy tylko formą walki z emigracją, chwytem propagandowym obliczonym na osłabienie przeciwnika.

W rzeczywistości emigracja jest zróżniczkowana. Tętni w niej bogate życie społeczne, z natury rzeczy zindywidualizowane. Jego wartość polega na szerokich podstawach, na wielości i na spontaniczności inicjatyw. Żywą, niejednokrotnie dominującą, a często odrębną działalność przejawiają organizacje parafialne. Działają stronnictwa polityczne, sięgające często głęboko w teren, reprezentujące tradycyjnie odmienne światopoglądy. Istnieją odrębne ośrodki polityczne prowadzące działalność polityczną i na odcinku wewnętrznym i na odcinku międzynarodowym. Działają poza tym instytucje niezależne, jak *Kultura*, które wywierają poważny wpływ na sytuację w Kraju a także na emigracji. Istnieje Rozgłośnia Polska Radia Wolnej Europy, której wpływ na sytuację w Kraju jest ogromny. Między tymi licznymi czynnikami zachodzą niejednokrotnie różnice. Istnieją konflikty. Toczą się ostre nieraz polemiki. Różnice bywają bardzo duże i konflikty nieraz toczą się przez lata. Konflikty mają często charakter personalny. Jest emigracyjna prawica i emigracyjna lewica, chociaż te tradycyjne określenia nie zawsze do naszych stosunków pasują. Jest lewica autentyczna i jest poza na lewicowość.

W sprawach podstawowych emigracja jest zgodna. Uchwała

Ogólnego Zjazdu Polaków w W. Brytanii z października 1962 mówi: „Jesteśmy emigracją zgodną w sprawach zasadniczych”. W sprawach tych, określanych jako program niepodległościowy, istnieje naturalne współdziałanie różnych czynników. Ośrodek centralny działalności politycznej znajduje się w Londynie i swoją siecią obejmuje wszystkie ważniejsze skupiska polskie w świecie.

Były i będą na emigracji próby odcinania się pewnych grup od całości, podyktowane poczuciem np. większej „demokratyczności”, postawą określaną w Anglii „*I am holier than Thou*” (jestem bardziej święty od Ciebie), a obliczone na wywołanie wrażeń na emigracji a przede wszystkim w Kraju. Z perspektywy Kraju nie zmieniają one jednolitego obrazu emigracji.

Emigracja a reżym w Polsce

Istnienie emigracji politycznej przez tyle lat stwarza dla reżymu warszawskiego sytuację nieznośną. Przez sam fakt swego istnienia emigracja uniemożliwia stabilizację władzy komunistycznej w Polsce i nadaje tej władzy charakter tymczasowy. Podniesienie żelaznej kurtyny po roku 1956 utrudnia izolowanie Polaków w Kraju od tej emigracji, jak zresztą i emigracji od Kraju. Zarówno wyjazdy z Polski do rodzin zagranicą jak i przyjazdy do Polski emigrantów z Zachodu przypominają ustawicznie, że istnieją setki tysięcy Polaków, którzy nie zaakceptowali Polski Ludowej. Działalność wolnej prasy polskiej, w szczególności działalność *Kultury* — jak potwierdza znane przemówienie Gomułki z marca 1968 r. — wpływa na stan umysłów w kraju. Radio Wolna Europa dociera szeroko. Wywiera ono na sytuację w Kraju wpływ poważny. W momentach kryzysu jest źródłem informacji, i na co słusznie zwraca uwagę Matis stanowi namiastkę wolnej prasy, bo podejmuje tematy które reżym chciałby ukryć lub przemilczeć.

Walka reżymu z emigracją polityczną i jej czynnikami jest walką bezwzględną. Używa w niej reżym wszystkich możliwych środków. Są to: ataki bezpośrednie, infiltracja, zagrożenie, przemilczanie, antagonizowanie, podsycanie sporów wewnętrznych, prowokacja, naciski pośrednie i bezpośrednie, wreszcie ośmieszanie. Przemilczanie i ośmieszanie są w tym arsenale bronią bardzo skuteczną. Ataki na emigrację podbudowują jej legendę. Milczenie pozwala udawać że przeciwnika nie ma. Ośmieszanie zabija. Ciekawa analiza sytuacji Matisa „Krajowiec wśród emigrantów” wskazuje na obie te metody. Podkreśla on, że propaganda krajowa przemilcza „emigrację londyńską” i przypomina „białego konia”, osławiony symbol zawiedzionych nadziei na Londyn. Nawet zresztą sam autor żart o przebudowie Pałacu Kultury na Kościół przyjmuje poważnie i wyciąga z niego wnioski polityczne.

Struktura życia politycznego na emigracji

Struktura życia politycznego na emigracji opiera się przede wszystkim na stronnictwach i ugrupowaniach politycznych. Są to tzw. stronnictwa historyczne: Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Narodowe, Polskie Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Pracy, Liga Niepodległości Polski oraz organizacje polityczne powstałe na emigracji: Polski Ruch Wolnościowy Niepodległość i Demokracja oraz Niezależna Grupa Społeczna. Ważną i coraz bardziej wzrastającą rolę w tej strukturze odkrywają tzw. czynniki społeczne, działające bądź to przez Grupę Społeczną, bądź w ramach stronnictw.

Spotykamy się często ze stwierdzeniem, że stronnictwa polityczne na emigracji są przeżytkiem i że nie reprezentują niczego. Twierdzenie takie jest nieuzasadnione. Życie zbiorowe wyłania dla poszczególnych dziedzin właściwe, powołane dla każdej dziedziny organy. Do działalności politycznej współczesne społeczeństwa wyłaniają stronnictwa polityczne. Nie zamykają one całości działania politycznego, ale są działaniami tego narzędziem głównym i nieodzownym. Przeżyliśmy w Europie okres totalizmu i monopartii. Sprawdziliśmy własnym doświadczeniem że tylko system demokracji zapewnia warunki wolności wewnętrznej. System demokracji opiera się na stronnictwach. Kraje anglosaskie wytworzyły system dwupartyjny. Kontynentalna forma demokracji opiera się na wielopartyjności. Nie ma demokracji bez stronnictw politycznych. I polskie życie polityczne na emigracji bez stronnictw nie byłoby demokratyczne, tak jak nie jest demokratyczne życie polityczne w Kraju, gdzie nie mogą powstać wolne stronnictwa polityczne poza partią komunistyczną i jej przybudówkami.

Czy i w jakiej mierze stronnictwa polityczne na emigracji reprezentują Kraj? Mimo zakazu i mimo prześladowań nie zamarły w Kraju tradycje i nie znikli zwolennicy tradycyjnych kierunków politycznych. Nie zginęła na pewno tradycja demokratycznego socjalizmu, nie zginęła tradycja ideologii narodowej, nie zginął nurt ludowy jak również inne nurty polityczne. Nie mają one form organizacyjnych lecz trwają w pamięci i w sercach wielu Polaków. Nie można wątpić, że w warunkach wolności odrodzi się w Polsce spontanicznie jakieś stronnictwo reprezentujące warstwę chłopską, jakieś stronnictwo socjalistyczne reprezentujące interesy robotnicze, jakieś stronnictwo zachowawcze i prawicowe, jakieś stronnictwo nawiązujące do Chrześcijańskich Demokracji krajów Zachodu. Nawiążą one do tradycyjnych stronnictw historycznych i ich programów. Programy ich będą inne, wynikną one z rzeczywistości dnia w którym powstaną. Światopoglądy jednak, ramy ideowe, pozostaną w gruncie rzeczy te same. W takim więc sensie stronnictwa polityczne na emigracji reprezentują nurty polityczne w Kraju. Przechowują one ciągłość ideową i organizacyjną polskich stronnictw. Są w ten sposób ważnym elementem ciągłości i „legalizmu” emigracyjnego.

Oparcie struktury emigracyjnego życia politycznego tylko na stronnictwach politycznych byłoby niewystarczające. Ważne są i inne czynniki. Ogromną rolę odgrywa zorganizowane życie społeczne, przejawiające się w postaci organizacji społecznych, które z zasady mają oczywisty charakter niepodległościowy. Istotnym elementem życia politycznego jest także udział w Radzie Jedności Narodowej członków z wyboru na terenie W. Brytanii. Według obecnej ordynacji powinno ich być 40.

Terenowa sieć polityczna opiera się na przedstawicielstwach politycznych. Ostatnie sprawozdanie Egzekutywy wylicza 22 placówki naszej działalności poza Brytanią. Najważniejsze z nich, poza Watykanem, to Stany Zjednoczone, Francja, Kanada i Australia. W dwu krajach działają zbiorowe przedstawicielstwa polityczne: Rada Wolnych Polaków we Francji oparta o czynniki polityczne i społeczne, oraz Polska Rada Jedności w Stanach Zjednoczonych oparta o stronnictwa polityczne. Światowy Zjazd Polski Walczącej, obradujący w roku Tysiąclecia w maju 1966 w Londynie, który zgromadził 220 delegatów z 16 krajów osiedlenia się Polaków, powziął uchwałę o rozwinięciu i wzmocnieniu sieci przedstawicielstw politycznych i stwierdził, że powinny mieć one charakter kolegialny oraz obejmować przedstawicieli życia politycznego i społecznego.

Program działania

Nie ma potrzeby przedstawiania tutaj aktualnego programu działania. W ramach ogólnych zadań emigracji politycznej ulega on zmianom zależnie od rozwoju sytuacji międzynarodowej, krajowej i emigracyjnej. Program taki formułuje i przedstawia Rada Jedności Przewodniczący Egzekutywy. Jest on także przedmiotem okresowych sprawozdań i dyskusji na posiedzeniu Rady. Materiały te mają charakter publiczny.

Metoda działania kierownictwa politycznego

Metoda działania wynika z warunków w jakich jesteśmy. Kierownictwo Polityczne czuje się odpowiedzialne za całość działania emigracji niepodległościowej, oczywiście w swoim zakresie. Możliwości działania są jednak ograniczone. Nasze środki finansowe, zdobywane za pośrednictwem Skarbu Narodowego, są nadzwyczaj skromne. Zespół ludzi prowadzących działalność wykonawczą opiera się na pracy bezinteresownej. Wymagana więc jest nie tylko dobra znajomość problematyki politycznej i jej stałe śledzenie, ale także gotowość pracy bezinteresownej. To ogranicza nasz rezerwuar ludzi. W tej sytuacji kierownictwo stosować musi szeroko metodę działania pośredniego, podsuwania inicjatyw, namawiania, przekonywania i zjednywania. Sprawozdanie Egzekutywy z lipca 1968 mówi że system pracy Egzekutywy polega m.in.

na „pracach Komisji, zespołów, poszczególnych osób, organizacji, instytucji i innych czynników, których praca, współpraca, rada, pomoc i współdziałanie służą zadaniom emigracji niepodległościowej”. Sprawozdanie podkreśla „gotowość do współpracy, ogólną życzliwość i atmosferę chętniej pomocy w pracach na rzecz sprawy polskiej z jaką spotyka się powszechnie”. Na pewno na podziw zasługuje utrzymanie sprawnej na ogół sieci naszych przedstawicieli w tylu krajach. W historii emigracji ich działalność, oparta głównie o pracę bezinteresowną, stanowić będzie piękną kartę. Są wybitni znawcy przedmiotu, którzy uważają tę metodę kładącą nacisk na działalność pośrednią za niewystarczającą. Zapewne mają rację. Do bezpośredniego działania potrzeba aparatu wykonawczego. Pierwszym krokiem musi być rozbudowa Skarbu Narodowego. Dopóki nie ma większych środków opierać się musimy na metodzie pośredniej.

Skarb Narodowy

Wpływy na Skarb Narodowy decydują w dużej mierze o zakresie naszej działalności politycznej. Instytucja ta niedługo obchodzić będzie 20 lat swego istnienia. Jej zasługi trudno wyolbrzymiać. Nie ma dostatecznych słów uznania dla ofiarnej pracy działaczy a zwłaszcza pełnomocników Skarbu. Ci kwestarze sprawy polskiej wzięli na swe barki najtrudniejsze i najbardziej niewdzięczne zadanie.

Wpływy Skarbu Narodowego są, w stosunku do zadań jakie przed nami stoją i do naszych potrzeb, zupełnie niewystarczające. Polacy w krajach Zachodu, w szczególności w krajach anglosaskich, są zamożni. Potrafią być również ofiarni. Na polskie parafie Polacy w Anglii świadczą kilkaset tysięcy funtów rocznie. Na Skarb Narodowy głęboko patriotyczna gromada polska świadczy niewiele. Jedna, przeciętna parafia polska w Anglii zbiera zapewne więcej niż cała organizacja Skarbu w Anglii. Rolę główną grają tu zapewne przyczyny typu organizacyjnego, ale na pewno jest to zjawisko złożone. Tam gdzie znajduje się działacz z talentem organizacyjnym — wyniki są duże. Tam gdzie brak przywódcy, nawet w dużych ośrodkach, wyniki są małe. Najlepsze wyniki mają londyńskie komisje Skarbu.

Do działalności w Skarbie trzeba skierować nowe siły. Trzeba wprowadzić do tej akcji grono ludzi najwyższej klasy na jaką stać emigrację. Ta trudna dziedzina pracy oczekuje na nowych ludzi i nowe idee.

Mobilizacja sił politycznych na emigracji

Działalność polityczna emigracji musi polegać w bardzo dużej mierze na czynnikach terenowych i na ich inicjatywie. Jednym

więc z głównych zadań kierownictwa jest mobilizowanie sił politycznych i werbowanie działaczy. Na szczęście emigracja dysponuje dużą liczbą ludzi gotowych do prowadzenia działalności. Nie grozi nam niebezpieczeństwo wygaśnięcia działalności politycznej ani centralnej ani terenowej. Pokolenie Polski Niepodległej, ludzie urodzeni i wychowani w Polsce między dwoma wojnami, są teraz w pełni wieku. Granicę tego pokolenia, wyraźniejszą niż między innymi pokoleniami, stanowi udział w walkach. Pokolenie to ma przed sobą wiele jeszcze lat działalności. W życie narodowe, jak już wspomniałem, wkracza także nowe pokolenie urodzone na obczyźnie. Pokolenie to jest chlubą emigracji. Jest ono dobrze przygotowane do życia. Procent tych którzy kończą wyższe studia jest wśród nich bardzo wysoki. W Anglii np. przewyższa on znacznie ogólny procent. Od pokolenia tego oczekujemy wzmocnienia i kontynuacji naszej pracy. W sierpniu tego roku, na polu bitwy Monte Cassino, to pokolenie przejmie symbolicznie sztandary narodowe.

Kazimierz SABBAT

Trockij o literaturze

Staraniem trockistów włoskich ukazały się niedawno w małym tomiku artykuły literackie — *Scritti letterari* — Trockiego. Książeczkę otwiera dłuższy esej *Tołstoj poeta i buntownik*, napisany w roku 1908 z okazji osiemdziesięciolecia autora *Wojny i pokoju*. Z roku 1922 pochodzi następny, mniej ważny, artykuł o dramacie komunisty francuskiego Marcela Martineta *La nuit*. Szkice o Białym i Czerwonym wyjęto z ogłoszonej w roku 1923 *Literatury i rewolucji*. Okolicznościową rzecz *Pamięci Siergieja Jesienina* wydrukowała *Prawda* w roku 1926. Dalej następują wypowiedzi z okresu już emigracyjnego. A więc: komentarz o *Samobójstwie Majakowskiego* na łamach paryskiego *Biuletynu opozycji* z roku 1930; krótkie wspomnienie o Łunaczarskim datowane 1933; entuzjastyczne uwagi o *The Iron Heel* Jacka Londona w liście wysłanym w roku 1937 z Coyoacan do córki pisarza, „drogiej towarzyszki Joan London”; zredagowany w Meksyku w rok później, do spółki z André Bretonem, manifest *O niezależną sztukę rewolucyjną* (ze względów politycznych podpisał go, naturalnie obok Bretona, Diego Rivera zamiast Trockiego); list do redakcji *Partisan Review* o sztuce i rewolucji z tego samego roku 1938; nota

Rozpoczynając dyskusję na temat literatury i polityki czy „literatury zaangażowanej” wydaje się nam celowe przypomnienie wypowiedzi Lwa Trockiego na ten temat. — Redakcja.

pod tytułem *Biurokracja totalitarna i sztuka*, napisana w roku 1938 i wydrukowana z rocznym opóźnieniem w *La lutte ouvrière*, o tyle zbyteczna w tomiku że jest po prostu skrótem listu do *Partisan Review*.

Można sobie śmiało podarować Martineta i Londona. W pozostałych szkicach i artykułach mamy do czynienia jak gdyby z trzema Trockimi w jednym Trockim. Nie sprzeniewierzył się w zasadzie od początku do końca swoim poglądom na literaturę i sztukę, ale jego wrażliwość z lat przedrewolucyjnych dała się zakłócić symplicyzmowi — mówiąc bardzo eufemistycznie — sądów wypowiadanych na świeczniku zwycięskiej rewolucji, aby dopiero w okresie wygnania i opozycji antystalinowskiej odzyskać dawną siłę. Trockij analizujący, w granicach swego marksizmu, z rzadką inteligencją krytyczną twórczość Tołstoja jest do tego stopnia odmienny od Trockiego rażonego nagłym daltonizmem literackim w obliczu takich zjawisk jak Biełyj i Błok, że w pierwszej chwili trudno prawie uwierzyć w ich tożsamość. A jednak ciągłość myśli jest bezsporna, tyle tylko że rewolucjonista „permanentny” zwraca się w różnych okolicznościach z różnymi dezyderatami pod adresem literatury. Przed rewolucją i na wygnaniu wystarcza mu u autentycznych pisarzy i artystów to, że są niejako *ex definitione* i często nawet wbrew samym sobie rewolucyjni; u steru „państwa robotniczo-chłopskiego” domaga się od nich większej samowiedzy rewolucyjnej, albo przynajmniej nie przeszkadzania rewolucji w jej „triumfalnym pochodzie na przód”.

W równomiernym i sprawiedliwym wyważeniu wszystkich elementów twórczości i życia Tołstoja szkic o *Poecie i buntowniku* jest świetny, zasługuje na włączenie do każdej antologii eseistyki rosyjskiej. Trockij żyzna się na Tołstoja i podziwia go, opiera mu się z pozycji marksisty i widzi w nim równocześnie napiętą — choć nieświadomą — sprężynę moralną rewolucji. Jak w przekroju geologicznym pokazana jest warstwa za warstwą tej „ogromnej, popękanej i pokrytej mchem skały tołstojowskiej”, aż w końcu odsłania się ukryte w niej źródło. Najpierw „panteizm estetyczny”, dla którego nie ma rzeczy ani pięknych ani brzydkich, ani wielkich ani małych, gdyż piękne i wielkie jest jedynie życie jako całość w wiecznym obrocie swoich niezliczonych przejawów: estetyka *par excellence* rolnicza, z natury bezlitośnie konserwatywna, spokrewniająca epikę Tołstoja z *Iliadą*. Potem swoisty rosyjski panteizm narodowo-filozoficzny, który mużika Płatona Karatajewa zrównuje w *Wojnie i pokoju* z Kutuzowem: „Kutuzow, w ujęciu Tołstoja bohater narodowy, jest Karatajewem podniesionym do rangi naczelnego wodza”. Wreszcie panteizm moralny, tyleż fatalistyczny co anarchistyczny: „W oczach Tołstoja pisarze, filozofowie i prorocy reprezentują nie własną epokę lecz raczej odwieczne kategorie moralne”, a „niezgodność między położeniem człowieka i jego działalnością moralną jest najpewniejszym znakiem prawdy”. Ten właśnie „najpewniejszy znak prawdy”, którego wyrazem są wieczna i wiecznie buntownicza refleksja

sja moralna oraz anarchizm wobec ustabilizowanych instytucji, przyciąga Trockiego do Tołstoja. Łatwo odgadnąć dlaczego: „Tołstoj, moralista i mistyk, wróg polityki i rewolucji, podsyca swoją krytyką mglistą świadomość rewolucyjną wielu sekt narodników”. I najzupełniej naturalnie brzmi konkluzja szkicu, w której Trocki „wybacza” Tołstojowi jego brak zrozumienia dla „rewolucyjnych ścieżek historii” wzamian za dwie bezcenne „zasługi”: za geniusz poetycki i za nieugiętą odwagę moralną, która nie pozwoliła mu „tkwić spokojnie w szeregach *ich* zakłamanej cerkwi, *ich* społeczeństwa i *ich* państwa”. Poeta i buntownik przypomina w niejednym tołstojowski rozdział *Duchów rewolucji rosyjskiej* Bierdiajewa, z tą rzeczą jasną różnicą że Trocki chwali Tołstoja dokładnie za to za co go gani Bierdiajew. Opowiadam się bez wahania po stronie Trockiego.

Lancet wnikliwego krytyka ustępuje miejsca toporowi arbitralnego *rukowoditiela*, gdy przedmiotem analizy staje się Biełyj. „Biełyj jest trupem i nie zmartwychwstanie w żadnym Duchu, wszystko jedno jakim”. Skąd ten nieodwołalny werdykt? Stąd że w Biełym „nie widać ani śladu ideału rewolucyjnego, że jest on intelektualnym konserwatystą, realistą który rozpacza bo usuwa mu się grunt pod nogami”. I stąd jeszcze, że podczas wojny Biełyj zbliżył się do Rudolfa Steinera, mistyka i antropozofa niemieckiego (podobne „zbrodnie” uchodziły widocznie tylko Tołstojowi). Trocki, z temperamentu pamflecista, nie odmawia sobie tu inwektywy i pchnięć nawet paszkwilanckich, plotąc głupstwa które rażą szczególnie dzisiaj, gdy autor *Petersburga* i *Srebrnego gołębia* przeżywa tak niezwykle renesans. Nie o wiele lepszy los spotyka Błoka. „Jego poezja liryczna nie przeżyje swego czasu i swego autora”. Przypomina się epizod opowiedziany przez Pasternaka w *Szkiecie autobiograficznym*. Na krótko przed śmiercią Błok recytuje swoje wiersze w Domu Prasy. Po wieczorze zrywa się burza, oskarżają go że się „przeżył i skończył”, że jest „wewnętrznie umarły”. Błok w milczeniu i ze smutnym uśmiechem kiwa potakująco głową. Pasternak, w poetyckich *Czterech urywkach o Błoku*, nazywa go „wiatrem który jest wszędzie”. Trocki z całej „skazanej na zapomnienie” poezji Błoka ocala wyłącznie *Dwunastu*: „Nie był poetą rewolucji. Uczepił się koła rewolucji zapędzony w bezsensowny *cul-de-sac* życia i sztuki przed rewolucją. Poemat *Dwunastu*, najważniejszy utwór Błoka i jedyne który przetrwa stulecia, był rezultatem tego kontaktu”. Ale sam Trocki ma chyba wątpliwości czy to wszystko jest aż tak proste, skoro pisze nieoczekiwanie w zakończeniu: „To pewne że Błok nie jest nasz. Szedł ku nam i zniszczył się idąc”. Te dwa lapidarne zdania pozwalają na mgnienie oka zobaczyć innego Błoka, takiego jakim go opisuje Zamiatin w swoim pięknym wspomnieniu pośmiertnym. Błoka, który na próbie *Króla Lira* żąda by zachowano scenę wykuwania oczu Glosterowi bo „nasze czasy są bliźniaczko podobne do XVI wieku i nauczyły nas patrzeć na najokrutniejsze rzeczy” (jak z tego widać, Kott nie zupełnie ma prawo krzyknąć o sobie na wzór Irzykowskiego „ja

pierwszy"). Błoka, który oświadcza naraz że kocha Rosję „nienawidzącą miłością”. Błoka, który zapewnia że „bolszewizmu i rewolucji nie znajdziesz ani w Moskwie ani w Petersburgu, trzeba ich szukać w wiejskiej rosyjskiej głuszy”. I wreszcie Błoka, który skarży się że „brak mu powietrza do oddychania”.

Bardzo ciekawe jest zestawienie dwóch nekrologów: Jesienina i Majakowskiego. W pierwszym, wydrukowanym w *Prawdzie* w roku 1926, Trockij przedstawia samobójstwo Jesienina jako tragedię poety wyrwanego z korzeniami ze starego świata i niezdolnego już do zapuszczenia ich w nowym, niemal jako bolesny lecz konieczny haracz splecony przez „bezbronną poezję” elegijną stąpającej żelazną stopą rewolucji. To oschłe i doktrynerskie uproszczenie znika z nekrologu Majakowskiego, w którym Trockij wyszydza „gwarancję” Stalina że „nie ma żadnego związku między samobójstwem poety i jego działalnością polityczną i literacką”. Chociaż Majakowski odebrał sobie życie nie z tych samych powodów co Jesienin, „rozbrojonemu prorokowi” rewolucji zdaje się dopiero na wygnaniu świtać w głowie że takich ludzkich spraw ostatecznych nie załatwia się pustymi formułkami.

W manifestie napisanym z Bretonem i w liście do *Partisan Review* słysząc znowu tony najlepszego Trockiego. „Hitlerowski faszyzm, pozbywszy się w Niemczech wszystkich artystów w których dostrzegał w jakiejś mierze wyraz umiłowania wolności, zmusił pozostałych, zdolnych jeszcze do trzymania w ręku pióra lub pędzla, by przeistoczyli się w sługusów reżymu i wynosili go na zamówienie pod niebiosą w ramach najgorszego konwencjonalizmu. To samo stało się w ZSSR w latach wścieklej reakcji, która dziś dosięga zenitu”. Sztuka — gromi dalej — nie może się ugiąć przed żadnymi dyrektywami z zewnątrz, nie może wypełniać pokornie zadań które wyznacza się jej z myślą o niezmiernie ograniczonych celach pragmatycznych. Słowo „niezmiernie” oznacza wprowadzić że istnieją cele pragmatyczne mniej ograniczone a tym samym bardziej uzasadnione, ale tę uchyloną odruchowo przez Trockiego furtkę zatrzaskuje natychmiast przywołany na świadka koronnego młody Marks. Pisarz musi naturalnie zarabiać żeby żyć i pisać, nie powinien jednak w żadnym razie żyć i pisać żeby zarabiać: pierwszym warunkiem wolności literatury jest to, by nie była ona zawodem. Wskazania młodego Marksa sprowadza jego uczeń wygnany z kraju zwycięskiej rewolucji do hasła: „Wszystko wolno w sztuce”. Posunąwszy się teraz tak daleko, nie waha się też kiedy trzeba postawić kropkę na i: „Jeśli dla rozwoju materialnych sił produkcyjnych rewolucja obowiązana jest zbudować *socjalistyczny* ustrój scentralizowanego planowania, dla rozwoju twórczości intelektualnej i artystycznej winna ona od początku ustanowić i zabezpieczyć *anarchiczny* ustrój wolności indywidualnej. Żadnego autorytetu, żadnego przymusu, ani cienia komenderowania!”. Woła tak oczywiście rewolucjonista pokonany i w pełni świadomy, że „sztuka urzędowa w Związku Sowieckim — a inna sztuka tam nie istnieje — podzieliła los sprawiedliwości totalitarnej, czyli jest kłamstwem i oszustwem”.

Kłopot z wydaną przez trockistów włoskich książeczką ich Mistrza polega na tym, że głos „rozbrojonego proroka” rewolucji nie całkowicie pokrywa się w niej z głosem „zbrojnego proroka” rewolucji. Wolno co najwyżej przypuszczać, że dzieje literatury rosyjskiej nie byłyby pod rządami Trockiego aż tak tragiczne jak pod rządami Stalina i jego spadkobierców.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Literatura i polityka (I)

Diable, dlaczego mnie jesz?
K. Wierzyński

I

Gdy czytamy dziś *Confiteor* Przybyszewskiego, gdzie artysta nazwany został „*ipse philosophus, daemon, deus et omnia*”, efekt jest raczej ironiczny i groteskowy. Większą górę samozakłamania, niż ta, na jaką wspinał się Przybyszewski, stworzyli chyba tylko partyjni pisarze bloku wschodniego — większą, i groźniejszą. I tak jak Przybyszewski, zarówno swoim pisarstwem jak i swoim życiem, skompromitował jak mało kto hasło sztuki dla sztuki, tak oni skompromitowali hasło zaangażowania. Problem: literatura i polityka jest niewątpliwie dużo głębszy niż przeciwstawienie, które można by wyrazić skrótowo: nadczłowiek — pisarz partyjny.

Hasło Przybyszewskiego, wyrażone inaczej, mówi, że sztuka i literatura winny bronić swej autonomiczności, gdyż w przeciwnym wypadku przestają być literaturą i sztuką. Hasło zaangażowania mówi, że sztuka nie jest tylko rzemiosłem, a już szczególnie pisarz nie może być tylko „artystą”, gdyż ani słowo nie jest materiałem tak „czystym”, jak dźwięk lub kolor, ani też pojęcie literatury nie da się utożsamić z samą doskonałością tzw. formy, ani też pisarz nie jest pełnym człowiekiem, jeżeli obchodzi go jedynie dłubanie w szmaragdzie. Jakkolwiek jednak sformułowalibyśmy koncept zaangażowania, będzie on zawsze dla pisarza mniej bezsporny, niż zasada autonomii literatury, która jest nieodzownym warunkiem zarówno doskonałości formalnej jak i zaangażowania.

Nawrót do silniejszego akcentowania zasady autonomii literatury był rezultatem jednej z kolejnych kompromitacji pojęć towarzyszących pisarstwu w XX wieku. Jak wiadomo, reakcja na oderwanie literatury od życia doprowadziła w okresie międzywojennym do popularności hasła zaangażowania. W Rosji, na tle

specyficznej sytuacji rewolucyjnej, pojęcie zaangażowania rozwijane było zrazu przez samych pisarzy (Gorkij, Majakowski), wkrótce jednak uzyskało oficjalną sankcję w ramach doktryny soc-realizmu, w której utożsamione zostało z tzw. partyjnością, czyli prymatem Partii w dziedzinie twórczości. Z socjologicznego punktu widzenia zasada partyjności oznaczała próbę przejścia przez Partię funkcji charakteryzujących dotychczas działalność inteligencji. Ideałem stał się pisarz partyjny, termin dużo bardziej zobowiązujący niż termin: pisarz katolicki. Pisarz partyjny podlega wszelkim wymogom strategii i taktyki Partii, co najwyżej wolno mu prowadzić rodzaj partyzantki na terenach nie anektowanych wyraźnie przez Partię. Staje się on „partnerem” polityka jedynie wtedy, kiedy gotów jest spełniać pewne określone warunki, inaczej dopuszcza się „uzurpacji”:

„... pisarz ma pewne specyficzne prawa w naszym społeczeństwie. Pisarz, jeżeli jest zaangażowany w sprawy socjalizmu, jeżeli dobrze rozumie ogólną mechanikę problemów społecznych w naszym kraju, może... być partnerem dla polityka. Ale też tylko wtedy, jeśli jest partnerem polityka w sensie najogólniej pojętej koncepcji politycznej. Z chwilą, kiedy możliwości, które daje zawodowi pisarza socjalizm są przez niego wykorzystywane do atakowania socjalizmu, z chwilą, gdy pisarz traci kontakt z rytmem, z logiką rozwoju historycznego naszego kraju, jest absurdem spodziewać się, że jego specjalne prawa będą dalej honorowane. Ponieważ staje się on wtedy zwyczajnym działaczem politycznym, działaczem opozycyjnym i podlega wszystkim skutkom, które walka polityczna za sobą pociąga”¹.

Utożsamione z partyjnością, pojęcie zaangażowania traci wszelki istotny sens, tak jak pojęcie „logiki rozwoju historycznego” jest jedynie synonimem polityki Partii.

We Francji koncept zaangażowania stał się modny przed wojną, a upowszechnił po wojnie, kiedy wielu wybitnych pisarzy i intelektualistów zajęło wyraźne pozycje lewicowe lub komunistyczne. Specyficzne ujęcie i rozwinięcie nadał temu pojęciu Sartre, którego wpływy w okresie powojennym wzrosły i znalazły żywy oddźwięk w intelektualnych środowiskach europejskich.

Kompromitacja hasła zaangażowania, jak zauważył swego czasu w *Kulturze* Jan Brzękowski, wystąpiła jaskrawo mniej więcej w tym samym czasie w Europie Wschodniej i we Francji; dokładniej — w latach 1955-57. „W chwili, gdy w kraju, po porzuceniu realizmu socjalistycznego, 'polski październik' zaakcentował rozpoczętą w literaturze ewolucję, na Zachodzie — Jean-Paul Sartre, w sposób rozgłosny zerwał stosunki z komunistami francuskimi”. Brzękowski wyciągnął z tych równoległych zjawisk wniosek, „że zaangażowanie społeczne pisarza, w jednym i w drugim wypadku nie wytrzymało próby czasu i naporu rzeczywistości. Przyczyną tego było zatarcie granicy między elementem

1. J. Putrament, w dyskusji „Literatura i polityka”, *Współczesność*, 1-14. I. 1969.

politycznym a społecznym i tendencja do utożsamienia twórczości literackiej z aktualnymi zagadnieniami ciężącymi nad sytuacją międzynarodową”².

Te wyważone słowa Brzękowskiego nie oddają w pełni ani głębi ani dramatyczności kryzysu zaangażowania. Dużo wyraźniej byłoby powiedzieć o niezwykłym upupieniu przez ideologię jakiego ulegli intelektualiści i pisarze w okresie powojennym — w okresie ekspansji stalinizmu. O głębokości i tragiźmie tej zdrady klerków mówił Mieczysław Jastrun na popaździernikowym zjeździe Związku Literatów Polskich: „Trzeba to powiedzieć że świadectwem głębokiego upadku obyczajów humanistycznych jest fakt, że pisarze w krajach rządzonych totalnie stawali po stronie nie pokrzywdzonych i słabych, lecz po stronie silnych i zwycięzców”. Niemniej, w krajach rządzonych totalitarnie, szczególnie w okresie stalinowskim, pisarze mogli się przynajmniej powołać na „okoliczności łagodzące”: terror, brak dostępu do informacji, nieprzygotowanie intelektualne do rozegrania batalii z uzbrojonym w dialektykę przeciwnikiem, itd. Nie wchodzę w to, na ile okoliczności te rzeczywiście łagodzą problem moralny wyrażony przez Jastruna. Przypomnę jedynie, co pisał Jerzy Andrzejewski w przedmowie do *Wyboru pism* Tadeusza Borowskiego (1959): „Godzi się jednak powiedzieć, że wbrew pewnym pozorom nie był ofiarą historii (chodzi o samobójstwo Borowskiego), należy tego fetysza współczesności obdzierać z jego demonicznego kreacjonizmu, elementarne, choć może uzurpatorskie poczucie godności każe wszelki kształt życia, nawet poddany najsurowszemu naciskowi z zewnątrz, spisywać na własny rachunek” (podkreślenia moje). W każdym razie trudno mówić o okolicznościach łagodzących w wypadku pisarzy zachodnich. Nad przyczynami zdrady klerków na Zachodzie zastanawiano się niejednokrotnie. Stawiał tę sprawę ostro George Orwell, kiedy pisał: „byłoby niesprawiedliwością przypuszczać, że jedynym motywem rusofilstwa jest fascynacja władzą i potęgą (*power-worship*), ale niewątpliwie jest to jeden z motywów, a wśród intelektualistów kto wie, czy nie najważniejszy...” Oprócz tego motywu swoistą rolę odegrała atrakcyjność pojęcia lewicy, szczególnie silna w intelektualnych środowiskach francuskich, tradycyjna niechęć do filistra i burżuazji, nurtująca pisarzy co najmniej od połowy wieku XIX i wiele innych czynników, które już niejednokrotnie analizowano.

Wycofanie się intelektualistów z pozycji zbyt zaangażowanych w aktualną walkę polityczno-ideologiczną pod koniec lat pięćdziesiątych objawiło się odżywianiem postaw klerkowskich, wyrażających się bądź to nieufnością do wszelkiej polityki, bądź hasłem dobrej roboty i eksperymentu literackiego.

2. J. Brzękowski, „Koncept zaangażowania”, *Kultura* nr 7/128-8/130, 1958. Przedruk w książce *Życie w czasie* (Londyn, 1963). Szkic o zaangażowaniu nie wszedł do wyboru szkiców Brzękowskiego jaki się ukazał w Polsce.

Hasło dobrej roboty zakłada, że albo historia weszła na mniej więcej właściwe tory, i pisarz może się już spokojnie zająć tkaniem perskich dywanów, lub, że cena jaką literatura płaci za próbę oddziaływania na rzeczywistość społeczno-polityczną jest zupełnie nieproporcjonalna do skuteczności jej oddziaływania, podczas gdy wybór stanowiska nie da się jasno i rzeczowo uzasadnić.

Postawa nieufności wobec wszelkiej polityki jest obecnie bardzo rozpowszechniona. Wśród młodszego pokolenia pisarzy lewicujących i studentów (oczywiście na Zachodzie) łączy się ona, między innymi, z ideami rozwijanymi przez Herberta Marcuse'a, który pod pewnymi względami nie dostrzega zasadniczych różnic między systemem kapitalistycznym a tzw. systemem socjalistycznym (tak zwanym, gdyż określanie krajów bloku sowieckiego tym mianem jest jednym z przykładów dewaluacji pojęć). Oba systemy, zdaniem Marcuse'a, wyobcowują jednostkę, oba — chociaż na inny sposób — narzucają fałszywą świadomość; dynamika ich konfliktu utrzymuje i wzmacnia zakorzenione w nich tendencje totalitarne. Wierzyć, że systemy te mogą ewoluować w pożądanym kierunku dzięki wewnętrznym sprzecznościom, dzięki narastaniu sił wymykających się spod kontroli rządzących w nich klas i grup wygląda na nieuzasadniony optymizm. W obu systemach wolność jest iluzją, pojęcie demokracji sloganem, gdyż w obu świadomość poddana została w niespotykanym dotychczas stopniu zabiegom manipulacyjnym, których rezultatem jest szeroki konformizm sprzyjający utrwalaniu zasadniczych cech systemu³.

Te teorie, które unoszą się w powietrzu czasu, znajdują żywotkę w wypadkach ostatnich lat. Wojna w Wietnamie, sprawa murzyńska, kryzysy walutowe i gospodarcze, bronie nuklearne, zaburzenia studenckie, zamachy na przywódców politycznych, nowe nacjonalizmy, obniżanie się poziomu obyczajów, narastające tempo życia, te i inne czynniki występujące na Zachodzie, każą powątpiewać o istotnych wartościach demokracji zachodnich, a tym samym podważają treści zawarte w szerokim ruchu antytotalitarnym, którego nadzieje na ewolucyjne przemiany w bloku sowieckim otrzymały dotkliwy cios w postaci interwencji pięciu państw bloku w Czechosłowacji.

W liście do *Kultury*, będącym odpowiedzią na uwagi J. Mieroszewskiego, Czesław Miłosz napisał m.in.: „Gdzież to jest powiedziane, że ma się obowiązek deklarować publicznie co się myśli o aktualnych wypadkach. Przecież to byłoby zajęcie nie zostawiające ani jednej chwili na inną pracę, skoro się zważy, że okropności dziejące się na powierzchni planety wołają o codzien-

3. Wnioski z tych tez widoczne są w działalności polityczno-anty-politycznej i teoretycznej lewicujących ruchów studenckich: tytuł zbioru artykułów Cohn-Bendita brzmi: *Obsolete Communism*.

ny protest"⁴. I rzeczywiście, masowe występowanie okropności pod każdą prawie szerokością geograficzną jeszcze mocniej zacieśnia kontury istotnych podziałów i utrudnia rozpoznanie nurtów z którymi identyfikacja dawałaby nie tylko satysfakcję moralną, ale i nadzieję na skuteczność.

Nie znaczy to jednak, że argumenty Marcuse'a są przekonujące. Nie ma, i nigdy nie będzie systemów całkowicie wyzwalających jednostkę. Istotą każdego systemu społecznego i politycznego jest pewna doza organizacji, przymusu i konformizmu — inaczej mamy stan, który Hobbes wziął za punkt wyjścia w swoim *Lewiatanie*. System, w którym zarówno krytyka jego struktury jak i krytyka jego charakterystycznej świadomości jest możliwa, jest systemem większej nadziei — co najmniej — niż system, w którym wolność nie podlega manipulacjom tylko dlatego, że jej tam nie ma. Pisarz ma pod tym względem bezpośredni sprawdzian: własną sytuację. Nie trzeba udowadniać, że sytuacja pisarza na Zachodzie różni się zasadniczo od sytuacji pisarza w państwach komunistycznych. Od kryteriów dotyczących bezpośrednio powołania i zawodu pisarza jest tylko krok do kryteriów szerszych, mających silniejszą, chociaż w istocie taką samą wymowę: jaka jest autonomia instytucji, jaki wpływ ludności na wybór ekipy rządzącej i kierunek polityki, jaka rola opinii publicznej, jaki dostęp do informacji, jakie możliwości protestu, jakie mechanizmy odwoławcze od oficjalnych decyzji, jaka praworządność, jakie możliwości walki o polepszenie standardu życiowego, a więc — jaka wolność i jaka sprawiedliwość. Kryteria te nie są wcale mniej istotne, niż kryterium struktury ekonomicznej, która, jak wiemy, może iść w parze z różnym rodzajem systemów politycznych. Upaństwowienie środków produkcji wcale nie musi pociągać za sobą demokratyzacji życia politycznego i społecznego, przeciwnie, w krajach komunistycznych ta właśnie struktura gospodarcza powoduje, że „do najtrudniejszych kwestii dla wszystkich ruchów odnowy” w państwach bloku sowieckiego należy „problem strukturalno-społecznych przesłanek trwałości i bezpieczeństwa demokratycznych instytucji życia politycznego w warunkach publiczno-państwowego systemu własności środków produkcji”⁵.

Te właśnie jak najbardziej zasadnicze różnice między systemem zwanym socjalistycznym państw bloku sowieckiego a systemem zachodnim powodują, że w krajach rządzonych totalitarnie lub pół-totalitarnie pisarz, którego zasadniczą polityką jest przede wszystkim teren literatury, staje wobec problemu zaangażowania w formie dużo ostrzejszej niż na Zachodzie. W tamtych warun-

4. Chciałbym tu wyraźnie powiedzieć, że nazwanie Miłosa poetą nie zaangażowanym czyni krzywdę pisarzowi, którego utwory nie ukazały się w Polsce nawet w okresie najbardziej liberalnym, chociaż wydano wówczas Gombrowicza.

5. Z. Bauman, przedmowa, *Wydarzenia marcowe, 1968* (Biblioteka „Kultury”. Seria „Dokumenty”, Paryż, 1969), str. 15.

kach widać coraz wyraźniej jak zaangażowanie po stronie rządzących przestało mieć walor moralny. W tamtych warunkach pisarz staje coraz częściej przed ostatecznością bezpośredniej akcji politycznej.

Czyż nie jest jednak pozbawiony ironii fakt, że kiedy pisarz miary Sołżenicyna, mimo prześladowania i osamotnienia, nie porzuca walki o swoją wizję stosunków ludzkich, pisarzy na Zachodzie cechuje tak często negatywny indyferentyzm lub wąski profesjonalizm? Współczesna literatura zachodnia nie boi się brukać swej rzekomej czystości uleganiem modom i zapotrzebowaniom komercjum, nie odstręcza jej maniakalne i jakże niejednokrotnie nudne eksploatowanie seksualnej obsesji, czy nurzanie się w zabawnie wyimaginowanych podświadomościach, nie nuży jej strukturalizowanie nicości, ale boi się jak śmieszności takiego ścierania się ze swą epoką, jakiego przykładem może być twórczość Norwida, Orwella czy Camusa, oraz wielu pisarzy wschodnioeuropejskich.

Niewątpliwie, nawet postawa pisarza tak świadomego ironii jak Norwid, nie pozbawiona jest pewnych cech donkiszoterii, chociaż Norwid nie organizował legionów, jak Mickiewicz, i nie ufał retorycznej emfazie. Donkiszoteria Norwida polegała między innymi na przekonaniu, że trzeba do ludzi mówić, nawet jeżeli w danym momencie nikt nie słucha. A cóż jest warta literatura jeśli nie potrafi unieść ciężaru jakiejś śmieszności? Pisarz, który tak jak Sołżenicyn, nie może milczeć, nie będzie dbał o to, czy zaklasyfikowany zostanie jako obłąkaniec.

II

Istoty od nicości odległość jest nieskończona.
Czesław Miłosz

Doświadczenia współczesności i niedawnej przeszłości wywróciły na nice przekonanie, że samo zaangażowanie jest już jakąś wartością. Ani samo zaangażowanie pisarza nie stanowi o kalibrze jego utworów, ani nie daje mu prawa do zajmowania specjalnego miejsca wśród ludzi parających się piórem. Wiemy jak często najostrejsze angażowali się ci, których nie stać było na pełne intelektualne rozeznanie w sytuacji i inteligentną politykę jednostki.

Świat współczesny, chociaż nie brak w nim spraw prostych, oczywistych i jednoznacznych, skomplikował wartości i można by paradoksalnie powiedzieć, że dzisiaj sprawy etyczne nie da się traktować inaczej niż z przenikliwością Makiawellego. Element czasu i miejsca nie da się wyeliminować z naszych ocen, jesteśmy świadomi coraz bardziej niebezpieczeństw absolutyzowania, wiemy, że pryncypialność nie musi się kłócić z elastycznością, obrona „wiecznych” wartości z przekonaniem o ich rela-

tywności; nawet o rzeczywistości czujemy się zmuszeni mówić: rzeczywista rzeczywistość.

Koncept zaangażowania również wymaga obwarowań i uściśleń.

Trzeba przede wszystkim uwzględnić fakt, że zaangażowanie może być elementem samego pojęcia literatury i twórczości. Akt twórczy, spełniający warunki wolnego wewnętrznie aktu kształtowania wypowiedzi artystycznej, jest formą afirmacji prawa człowieka do określenia własnego miejsca w świecie idei, form i faktów. Jest afirmacją prawa do wyobraźni i odnowieniem zaufania do słowa, niezależnie od tego, czy ciśnie się ono pod pióro z konieczności „społecznej”, jako chęć wyrażenia się, czy z potrzeby mówienia do kogoś i perswazji. Kontemplujący swoje „Jeżenia” Białoszewski jest w swoim kontekście ideologicznym — pisarzem nie mniej zaangażowanym niż Ernest Bryll, którego pożera, i kto wie, czy nie pożre, obsesja ojczyzny-płaszczyny i unowocześniony kompleks wieszcz. Obcowanie człowieka ze światem odbywa się w dużej mierze za pośrednictwem słowa; literatura ma niewątpliwy wpływ na charakter tego pośrednictwa, na sposób poznawania i ujmowania wewnętrznej i zewnętrznej rzeczywistości.

Trzeba również uwzględnić fakt, że literatura prawdziwie zaangażowana odznacza się tym, że angażuje wyobraźnię i umysł czytelnika i porusza przynajmniej jakąś część jego człowieczeństwa, a tego nie da się powiedzieć o setkach utworów, które powstały jako rezultat tak zwanego zamówienia społecznego.

Najgroźniejszą formą zaangażowania dla pisarza jest zaangażowanie z inspiracji ideologicznej. Prowadzi to często do podporządkowania własnej świadomości specyficznemu uorganizowanemu systemowi idei, których funkcja nie jest funkcją poznawczą. Te uorganizowane systemy idei dla pisarza powinny reprezentować jeśli nie fałszywą, to w każdym razie zafałszowaną świadomość, a nie nakaz twórczy. Świadomość pisarza wyrasta z doświadczeń, które są niewątpliwie wąskie (daleko im do statystycznej rozciągłości), gdyż jednostkowe, a równocześnie prawdziwe, gdyż bezpośrednie. Konieczność opierania się na własnym doświadczeniu, przy całej swej ograniczoności poznawczej, stanowi jeden z elementów siły pisarza, gdyż wprowadza do uogólnień o stanie świadomości społecznej czynnik świadomości indywidualnej, jest podkreśleniem podstawowej prawdy, że społeczeństwo składa się z jednostek, z ludzi. A ostatecznym sprawdzianem wszelkiej polityki i systemów społeczno-politycznych jest to, jak służą one konkretnemu człowiekowi. Pisarz i jest tym konkretnym człowiekiem, i reprezentuje konkretnego człowieka. Umysł pisarza jest przeciwieństwem mentalności, która samospalenie się Jana Palacha tłumaczy niedostatkami edukacji marksistowskiej, a protest Jerzego Andrzejewskiego przeciwko inwazji Czechosłowacji uznaje za pogwałcenie polskiej racji stanu, czy luksus moralnego gestu, na który „nas nie stać”.

Jak pisał Brzękowski, „zaangażowanie winno łączyć wartości

związane ze zbiorowością społeczną — z elementami pochodzącymi z głębokich pokładów wewnętrznych”, „o *prawdzie* zaangażowania — decyduje bowiem nie tylko sama wartość idei, którą ono reprezentuje... ile stosunek etyczny do podjętego zadania”. Jedynie postawa etyczna zdolna jest związać pisarza z tradycją wypróbowanych wartości ludzkich w sposób, który nie czyni z nich tylko środków do celu. Fałszywe jest stanowisko Brylla, kiedy powiada, że nie umie „usprawiedliwić współczesnych poetów uważających, że dzisiaj istnieje możliwość wierzenia w Arkadię, lamentujących, że jej nie ma, zamiast zajmowania się jakimiś problemami rzeczywistymi... poetów nieustannie mówiących o nieustannych archetypach”⁶. Czyż nie jest bowiem specyfiką powołania pisarza, że musi on stać na przecięciu się archetypu z konkretem, i dlatego zna i wiarę i ironię? „Wiara” w Arkadię może być rodzajem eskapizmu, co zresztą już ma swoją wymowę, może być także jednym ze sposobów literackiej walki z rzeczywistością. Jest rzeczą znaną, że dawniejsze utopie miały charakter satyryczny i krytyczny; podobną rolę spełniają dzisiejsze utopie negatywne, w których pierwiastek arkadyjski, zgodnie ze współczesnym odczuciem komplikacji zjawisk, występuje jako zasugerowana odwrotność odstraszaających wizji niehumanitarnej rzeczywistości. Dla pisarza problemy rzeczywiste winny mieć zawsze, by tak rzec, perspektywę platońską. Dlatego, odrzucając inspirację ideologiczną, pisarz nie odrzuca idei, on je tylko nieustannie sprawdza.

Do pojęć całkowicie sprzecznych z samą ideą twórczego pisarstwa, a także z konceptem zaangażowania, należy pojęcie konieczności historycznej. Jakkolwiek pisarz nie może nie brać pod uwagę warunków ograniczających działalność ludzką, określanych mianem różnych konieczności, racji stanu, priorytetów i zwykłej niemożności, gdyż prowadzi to do oderwania kwestii moralnych od człowieka takiego jakim go znamy — „demoniczny kreacjonizm historii” nie może być dla pisarza ani argumentem, ani przesłanką. Dla pisarza historia jest tworem działających jednostek ludzkich, które zawsze mają *wybór*, a nie zdeterminowanym ruchem bezosobowych sił. Jest sprzeczne z postawą pisarza przekonanie, że w imię rzekomo zdeterminowanej przyszłości wolno sprowadzać na ziemię piekło, zanim zostanie obdarta niebem. Teoretycznie, za przyszłość, tak jak za teraźniejszość, odpowiedzialny jest każdy człowiek; z chwilą gdy odpowiedzialność tę bierze na siebie wyłącznie jakaś jedna grupa, partia czy osoba, jest to uzurpacja stokroć groźniejsza, niż „uzurpowanie” sobie przez pisarza prawa do sprzecznania się z politykiem o kształt teraźniejszości i przyszłości. Każdy człowiek, nie tylko pisarz, ma prawo być partnerem polityka. Mit o naukowym charakterze polityki, wypływającym z rzekomego rozumienia rozwojowych praw historii, logiki dziejów, jest jednym z największych kłamstw naszych czasów.

6. „Sprawa Norwida” (dyskusja), *Współczesność*, 4-17. XII. 1968.

Stając przed problemem politycznego czy społecznego zaangażowania pisarz powinien być przede wszystkim empirykiem. Zaangażowanie nie może równać się rezygnacji z tej wartości, którą Orwell określił mianem — *free intelligence*, inaczej bowiem przeradza się „w błąd ślepej wiary, zbrodnię ślepej wiary”, z których spowiada się w *Bramach raj*u Andrzejewskiego jeden z uczestników krucjaty dziecięcej.

Bogdan CZAYKOWSKI

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 166 — HENRYK GRYNBERG

ZWYCIĘSTWO

Powieść o losie Żydów w Polsce

w czasie okupacji i w pierwszym okresie powojennym

Str. 96.

Cena egz. F. 9 (dol. 2,25)



TOM 168 — DOMINIQUE DE ROUX

ROZMOWY Z GOMBROWICZEM

Str. 160.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,75)



TOM 169 — IWAN KOSZELIWEC

UKRAINA 1956 - 1968

Dokumenty o rosnącym oporze na Ukrainie

Str. 272.

Cena egz. F. 18,50 (dol. 4,25)

O religii bez namaszczenia

NIE staremu Kościołowi

Po ukazaniu się w numerze z 16 marca 1966 roku w amerykańskim *Saturday Evening Post* artykułu Stephen Nash'a, zatytułowanego „Jestem księdzem; chcę się ożenić” autor jego dostał tysiące listów, zachęcających go do pełniejszego wyłożenia swych poglądów na Kościół katolicki. W rok później ukazała się jego książka — tym razem podpisana prawdziwym nazwiskiem: *James Kavanaugh*, która natychmiast prawie stała się *best-seller'em* w Stanach Zjednoczonych i została przetłumaczona na wiele języków.

Książka nie zawiera żadnych „pikantnych rewelacji” ani niczego nie „demaskuje”; popularność swoją zawdzięcza istotnej aktualności problemów z jakimi się boryka jej autor: nie uciekinier, który „załamał się”, lecz człowiek, który nie mógł pogodzić stanowiska Kościoła z nakazami swego sumienia i dlatego czuł się zmuszony odejść. Problemami tymi są: sprawa nierozwrotności małżeństwa i stosunek Kościoła do rozwodów, postawa Kościoła wobec kontroli urodzeń, archaiczność wielu form kultu, problem grzechu, spowiedzi, „zwierzchnictwa nad sumieniami”, stosunku do innowierców, i wreszcie kwestia celibatu i zakonów. Ponieważ sprawy te są szeroko dyskutowane — prywatnie, a ostatnio coraz częściej publicznie — wydaje się, że zamiast omówienia merytorycznej strony owego NIE, ciekawsze będzie dla Czytelników zapoznanie się z motywami i tonem, jakim Kavanaugh swój protest wypowiada. W tym celu zamieszczamy kilka wyjątków z książki — pozwólmy one Czytelnikom zorientować się, w jakim kierunku idzie wołanie jej autora o reformy. Pozwoli im także na zajęcie własnego stanowiska wobec poruszonych kwestii.

M. B.

Ze wstępu

Katolicyzm jako monolityczna struktura chyli się ku upadkowi. Kto dawniej wyłamywał się z jego szeregów, po prostu odchodził; dziś jednak człowiek zaczyna protestować przeciw takiemu

wyrzeczeniu się wspólnoty z Bogiem. Nieśmiały sprzeciw przekształca się w odważną konfrontację. Nie chodzi tu o grymasy „wściekłej” młodzieży. Konfrontacja ta jest wynikiem dojrzałego zbadania podstaw naszej wiary. Wiara przestała być bierną, totalną akceptacją ustalonego zbioru prawd i staje się uczciwym poszukiwaniem przedmiotu absolutnego zaangażowania.

Niniejsza książka jest historią księdza, który odmówił współuczestniczenia we władzy aroganckiego i niehumanitarnego Kościoła. Jest wysłuchaną na spowiedziach i podczas prywatnych rozmów historią ludzi cierpiących. Jest historią Kościoła, który jest chory — chorobą, wynikającą nie z boskiego przykazania, lecz z nieuczciwej teologii.

Książka ta zrodziła się z przeświadczenia, że mam jeszcze prawo szukać Boga i istotnego sensu w Kościele — w Kościele, który winien zamienić swoje królewskie szaty władcy na zgrzebny habit sługi. Napisałem ją w nadziei, że świat doceni kiedyś naszą szczerość, a my, katolicy, uzyskamy możliwość swobodnej, radosnej egzystencji w łonie Kościoła...



Nie wyrzekam się mojej wiary. Nie zgadzam się jednak na staroświecki strój, czyniący z chrześcijańskiego ideału karykaturę. Katolicyzm ma do ofiarowania zbyt wiele prawdy i piękna, by wierni mogli przyglądać się spokojnie sprowadzaniu go do poszufladkowanego idealizmu. Katolicyzm miałby tyle do powiedzenia, tyle do rozdania — gdyby tylko zechciał uznać wartość postawy personalistycznej, nabierającej w dzisiejszym świecie coraz większego znaczenia. Religia, domagająca się od swych wyznawców, by maszerowali tym samym krokiem i akceptowali jednolitą doktrynę, nie jest w stanie doprowadzić do Boga człowieka ery atomowej.

Drugi sobór watykański jest tylko słabym światełkiem, zaczątkiem jedynie — ale pada odeń promyk nadziei na przyszłość. W jego świetle chciałbym rozpatrzeć tu problem zacofania naszego Kościoła i rozejrzeć się za drogą, jaką winniśmy obrać. Nie piszę dla specjalistów; piszę dla wszystkich szczerze zainteresowanych, wykształconych i niewykształconych, dla tych, których szczerze poszukiwanie prawdy zmusza zawodowego teologa do opuszczenia wygodnej grzędy i zbadania od nowa wszystkich swych założeń. Nie wystarczą mi uspokajające gesty. Pragnę uczciwego dialogu; otwartej postawy hierarchii; Kościoła, który nie miałby gotowej odpowiedzi na wszystko i nie zmuszał ludzi do poruszania się w ramach skostniałych szablonów.

Ideał i prawo

Dawno temu, wśród zgnębionego i smutnego świata objawiła się pewnego dnia nowa, elektryzująca nadzieja. W Palestynie pojawił się Człowiek, którego słowa zdawały się płynąć prosto od

Boga. Był Żydem, bogatym w siłę i piękno religijnego dziedzictwa, jakiemu nie było równego na Wschodzie ani na Zachodzie. W żyłach jego płynęła krew Abrahama i Dawida, żywa i gorąca, ta sama, która wyróżniała naród żydowski na przestrzeni wieków — ale wizja Jego wykraczała poza granice Palestyny i obejmowała świat cały. Oczy jego dostrzegały każde cierpienie, jego pomocna dłoń wyciągała się do słabej i grzesznej kobiety, do trędowatego pariasa, do ślepca, od którego lamentów odwrócili się przyjaciele i rodzina. Słuchali Jego słów ludzie u kresu sił — i czuli nowy ich przypływ. Słuchali Go ludzie bez czci i wiary — i odnajdywali poczucie swej ludzkiej godności. Szli za Nim grzesznicy i możni, ci, którzy odkryli, że wino i kobiece ramiona nie potrafią ugasić każdego pragnienia. Niektórzy nazywali Go Bogiem-Człowiekiem, a nawet wątpiący wstrząśnięci byli potęgą Jego słów.

Głosił, że wszelkie przykazanie zaczyna się i kończy na miłości — co właściwie nie było niczym nowym. Na to by nauczyć się miłości, ludzie nie czekali zstąpienia na ziemię tego Boga-Człowieka. Egipcjanie od wieków darzyli miłością swe żony; Babilończycy od niepamiętnych czasów uczyli swe dzieci traktować bliźnich z szacunkiem i godnością. Żydzi, wykarmieni słowami Izajasza, Ezechiela, Jeremiasza znali odpowiedzialność, jaką przynosi z sobą miłość — i od wieków walczyli o to, by ustanawiane przez ludzi ciasne i aroganckie prawa nie zdławiły tego ideału, który leży u ich źródła. Ale mimo to wszystko człowiek nie nauczył się kochać bliźniego. Na jednego sprawiedliwego wypadał tużin faryzeuszy, którzy czynili z Boga pośmiewisko, zmieniając Go w system ustalonych reguł, narzucanych ludziom zastraszonym i bezbronny. Dlatego to właśnie mógł Jezus nazwać nowym przykazaniem „Miłujcie się nawzajem, jako Ja was umiowałem”.

Tak narodziła się ta religia miłości, ukoronowanie i dopełnienie innych poprzednich religii miłości, które ludzka zarozumiałość wynaturzyła w nieugięte, lodowate systemy praw. Wzniosłe ideały znała historia już dawniej — ale ludzka małość miażdżyła je górami kodeksów i przepisów. I oto Chrystus ofiarował ludzkości wizję nową i wstrząsającą. Olśniony jej blaskiem św. Paweł napisze w liście do Rzymian, że oto człowiek został wyzwolony z niewoli prawa i odtąd żyć może siłą ducha miłości. Nie znaczyło to, że odtąd nie będzie już żadnych praw — znaczyło jedynie, że człowiek udręczony niepokojem nie będzie już więcej zdany jedynie i wyłącznie na bezosobową regułę, uniwersalną i niezmienną dla wszystkich. Człowiek mógł stać się osobą i jako osoba dostępować poznania Boga, tego Boga, który nie pozwolił spętać się danym rytuałem religijnym czy dekretem takiego a nie innego arcykapłana. Odtąd nikt nie mógł już więcej sprowadzać idei Boga do niemych idoli, wyrażających jedynie ludzką pychę i małość, ani zamykać Go w ustalone, przez ludzi wymyślone kategorie. Żaden posąg nie mógł uwiecznić Jego majestatu, żaden kodeks, żadna księga przepisów — wyliczyć warunków Jego miłosierdzia. Chrystus, będąc Bogiem, objawił się w prostocie dziecka, którego

nogi musiały dopiero nauczyć się chodzić, którego ręce garnęły się niecierpliwie do matczynej piersi.

Odtąd ludzie mogli naprawdę nazywać Chrystusa Bogiem, tak jak ja to czynię — z wiarą prostą i niezdolną do prezentowania uzasadnień; inni mogli odnajdywać swego Boga w kościele, synagodze lub własnej szczerości. Nikt nie mógł jednak odtąd utrzymywać, że udało mu się Boga zdefiniować i przywłaszczyć, nikt nie miał prawa twierdzić, że boskie miłosierdzie kończy się w tym a tym miejscu. Bóg nie ma imienia, bo nie ma granic — a Jego miłość nie może być odmierzana ślepotą lub egoizmem ludzi, żyjących w trwodze.

A jednak — mimo wysiłku Chrystusa, by przełamać religijną ciasnotę, mimo reform i ostrzeżeń w ciągu dziejów, sam należałem przez długi czas do grona owych zastraszonych ludzi, usiłujących Boga uwięzić. Znałem doskonale granice Jego miłości, wiedziałem dokładnie, kiedy kończy się Jego cierpliwość, potrafiłem nieomal określić kolor Jego brody. Byłem — i pozostanę na zawsze — księdzem katolickim: ale dziś nie jestem już tym księdzem, którym byłem niegdyś.

Wstąpiłem do stanu kapłańskiego z sercem tak otwartym i szczodrym, na ile pozwalało na to moje wychowanie w rodzinie i szkole. Chciałem pocieszać chorych, wspierać ubogich, chciałem nauczać dzieci tajemnic życia — życia, które sam zaledwie rozpocząłem. Ideał, którym byłem wypełniony, zawierał obietnicę, że stanę się nowym Chrystusem pośród maluczkich. I istotnie: mogłem głosić Jego przebaczenie, udzielać pociechy zrozpaczonej wdowie, przemawiać do rozumu pijakowi, uspakajać przerażonego chłopca, wątpiącego w szansę swego zbawienia. Uczyłem w gimnazjum i na uniwersytecie, pełen oddania i zapału wygłaszałem kazania, kosztowałem spokojnej i uspokajającej miłości, jaką wierni darzą swego kapłana.

A jednak — z dnia na dzień rósł we mnie niepokój, bo zaczynałem pojmować, że zarozumiałe i nieuzasadnione przepisy nakładają Bogu świętokradcze więzy. Nie mogłem być nowym Chrystusem, bo nie byłem w stanie pomóc tym, którzy tego najbardziej potrzebowali.



W naszym Kościele nie ma miejsca dla jednostek. Miejsce jest tylko dla masy, ślepo zgadzającej się na wszystko. Każdy jest obowiązany zaakceptować bez zmrużenia oka stanowisko Kościoła wobec kontroli urodzeń, wobec rozwodów, problemów płci i grzechu, wychowania i życia zakonnego; jeśli ktoś ma odwagę zgłosić zastrzeżenia, uroczyście uniemożliwia mu się dalszą działalność. W mojej pracy nie wolno mi podjąć najmniejszej decyzji bez dokładnego zważenia każdego słowa przez Rzym. Jestem obowiązany odrzucić rozwiedzionego, który się powtórnie ożenił; potępić dziewczynę, która bez małżeństwa prowadzi życie seksualne, zaznając prawdziwej, wypełniającej życie miłości. Muszę odwrócić się od homoseksualisty, chyba że wymogę na nim przyrzec-

czenie, o którym wiem, że dać mi go nie jest w stanie. Nie wolno mi ustąpić i pomóc mężczyźnie, który szczerze usiłuje osiągnąć swój ideał życiowy — nie mogę przyznać, że tylko rozwód pozwoliłby mu postawić krok naprzód ku dojrzałszej i bardziej chrześcijańskiej miłości. Niczym nie może mnie przekonać chłopiec, Żyd, który kocha katolicką dziewczynę, lecz odmawia spełnienia wszystkich żądań stawianych przez mój Kościół. Nie wolno mi mówić otwarcie o rozpaczliwym zacofaniu naszych szkół katolickich, o okropnościach niektórych zakonów, o ciasnocie naszego życia parafialnego. Nie wolno mi eksperymentować, kwestionować form, które utraciły jakiegokolwiek znaczenie, zaprzestać wysłuchiwania spowiedzi pozbawionych sensu — ponieważ w przeciwnym razie zostanę zmuszony do wybrania sobie innego rodzaju życia. Nie wolno mi się ożenić, jakiegokolwiek korzyści mogłoby to przynieść mej działalności kapłańskiej i jakkolwiek głęboki będzie egoizm, w jaki pogrąży mnie brak żony. Jestem katolikiem, a katolicy muszą maszerować w gromadzie — albo zrezygnować z pocieszenia Kościoła. Wolno mi postawić krok tylko wtedy, kiedy jest on całkowicie pewny — a w tym czasie ostrożni hierarchowie przygotowują już następne wytyczne.

Kościół, znający tylko przepisy prawa, jest kościołem arogantym. Kościół, trzymający miliard dzieci na baczność przed swoim słowem, jest kościołem zarozumiałym. Kościół, który potrafi zatkać uszy na miliony głosów skarżących się na cierpienie, jest kościołem pełnym pychy. Kościół, który potrafi zamknąć ideał w mnogości praw, nie jest kościołem chrześcijańskim. Kościół, który potrafi srożyć się i potępiać, jest kościołem mściwym. A jednak jest to mój Kościół i nie wyniosę się z niego chyłkiem, z rozgoryczonym sercem.

Gdybym Go nie kochał, nie traciłbym czasu na pisanie. Gdybym był nieczuły na razy, jakie rozdziela, roześmiałbym się tylko szyderczo i poszedł sobie. Ale to On mnie wychował i wykształcił, podtrzymywał na duchu i przebaczał, zachęcał i ganił — i dziś jeszcze jest w stanie rozkrwawić mi serce. Wystarczy dotknięcie dłoni, wspomnienie księży, którzy mnie kiedyś znali i lubili, wystarczy kilka słów o mych starych rodzicach, o mym dzieciństwie, abym czuł się chory. Jestem gotów paść przed Nim na kolana, wziąć w ramiona i nazwać Matką, w nadziei, że zostanę uznany za syna. Ale nie mogę milczeć widząc Jego miłość zdegenerowaną w kodeks prawny.



Duch legalizmu, zaszczerpiony w szkole parafialnej i rozwinięty w seminarium, zatruił wszystkie dziedziny mego kapłańskiego żywota. Zniekształcał spowiedzi, wsączał się w moje wykłady, przenikał moją pracę duszpasterską. Kościół miał zawsze rację, a Jego oponenci byli zawsze ignorantami, pełnymi uprzedzeń i nienawiści. Zwalczałem tych, którzy wierzyli w konieczność ograniczenia liczby urodzin, żeby zapobiec ubóstwu — i chełpiłem się tym między whisky a steakiem. Potępiałem szpitale, dopuszcza-

jące przerywanie ciąży lub sterylizację, lekarzy sugerujących, że dana matka nie powinna więcej rodzić, profesorów, którzy mówili o nietolerancji Kościoła. Wszystko to w imię prawa, które nie zna wyjątków i odrzuca wszelką dyskusję.

Istnieją ludzie, którzy potrafili odnaleźć swą wolność w łonie systemu, który pozostałych skazuje na rozterkę bez wyjścia. Są oni jednak tylko chwalebny wyjątkiem, świadczącym o obecności Boga, zakrytego mnogością praw. Są to nieliczni ludzie dzielni, umiejący poruszać się sami, bez jarzma kościoła. Potrafili wziąć to tylko, co było im potrzebne; posiadli mądrość oddzielania ziarna od plewów. My, pozostali, nie jesteśmy ani tak mądrzy, ani tak odważni. Nie potrafimy chodzić bez pomocy Kościoła, który nauczył nas szukać w sobie oparcia.

Wiemy, że potrzeba nam prawa — jak w każdej rodzinie, ale wiemy też, że ciasnota naszego kodeksu jest proporcjonalna do braku zaufania i miłości. [...] Tylko kochający ojciec może wyznaczyć dziecku cel i dać zarazem swobodę jego osiągnięcia. Tylko prawdziwa rodzina jest w stanie okazać dziecku tyle zaufania, by stało się dorosłym człowiekiem. Tylko dom rodzinny może pozwolić dziecku na ryzyko błędu — by mogło też zakosztować radości pocucia, że miało rację.

K s i ę ż a

Moja edukacja była trudna. Uczyłem się łaciny i greki, hebrajskiego, francuskiego i literatury, studiowałem filozofię, retorykę, teologię, historię, fizykę i matematykę. Spędziłem na nauce cztery lata po ukończeniu *college'u*, aż wreszcie uznano, że dojrzałem do kapłaństwa.

Przedmioty, które studiowałem, rzadko pozostawiały miejsce na wątpliwość lub odmienną opinię. Przeważnie wszystko było białe-czarne. W filozofii, na przykład, Berkeleja, Hume'a i Kanta załatwiliśmy w tydzień. Locke został przedstawiony jako pomylenie, a Nietzsche był tylko cynikiem, nie mającym nic ważnego do powiedzenia. Tez i definicji uczyliśmy się na pamięć i udowadnialiśmy, że sam „rozum” musi doprowadzić uczciwego człowieka do wiary. Byliśmy też sami uczciwi, ponieważ „rozumowo” wywodziliśmy konieczność absolutnie wszystkich nauk moralnych Kościoła. *Veto* wobec rozwodów, kontroli urodzeń, wolności słowa i myśli, problemu eutanazji i miłości poza małżeństwem — wszystko to wynikało z „rozumu”, przyćmionego zapamiętaniem i pychą. To, że istnieją miliony ludzi „nierozumnych” zdawało się nie posiadać najmniejszego znaczenia. Żyłem w getcie, przebywałem na boisku, gdzie mogłem zignorować każdego, kto nie zgadzał się na moje reguły gry.

Nawet Pismo Święte służyło jedynie do obrony Kościoła katolickiego. Czytaliśmy św. Jana po to, by uzasadnić spowiedź, św. Łukasza i Pawła — by potępić rozwody. Nawet czyścić znajdować dość mgliste, lecz przez nikogo nie kwestionowane oparcie w Piśmie. Nie trzeba mi było wiele czasu by się zorientować, że

cokolwiek można udowodnić czymkolwiek — byle tylko wnioski przemawiały na korzyść Kościoła. Odtąd stałem się „teologiem”, czyli specjalistą zajęтым odgradzaniem terenów sanktuarium od bagna błędów. Lecz odtąd także nie potrafiłem już nigdy zbliżyć się do Ewangelii bezinteresownie, z pustymi rękoma, i upajać się zawartą w niej prostą miłością.

W ciągu owych czterech lat przekopałem się też przez 2.400 praw, czyli „kanonów”, które rządzą Kościołem katolickim. Są one dziełem wątpliwych specjalistów i prawodawców religijnych, zmarłych przed wiekami. Są to prawa-znajdy, bez rodowodu, zestawione na chybił trafił. Można tam znaleźć przepisy, dotyczące pogrzebu w poświęconej ziemi obok rejestru kar, jakie grożą za spędzenie płodu lub samobójstwo, przepisy określające uprawnienia biskupów i wytyczne dla kaznodziejów obok wykazu grzechów, których odpuszczenie zarezerwowane jest dla papieża. Ten archaiczny kodeks prawny, sklecony bez ładu i składu, od dawna krępuje spontaniczność myśli katolickiej. Prawo kanoniczne zawsze było w Kościele ostatnią instancją — na jego podstawie można potępiać książki i ekskomunikować ludzi z bezwzględnością i precyzją gilotyny. Po nie sięga natychmiast dłoń biskupa, gdy jacyś rebelianci zagrażają spokojowi Kościoła. Uczyłem się tych praw i studiowałem dołączone do nich komentarze — lecz byłem zbyt wystraszony by zastanowić się, gdzie też podziała się owa wolność, której na imię Jezus Chrystus.



Po takim przygotowaniu byłem gotów do podjęcia pracy kapłana. Nie wysłuchałem ani jednego wykładu z psychologii czy psychotechniki. Nie miałem pojęcia o rzeczywistych pokusach, czyhających na człowieka ani o granicach jego zdolności podporządkowywania się. Nigdy naprawdę nie żyłem, nie odczuwałem, nie cierpiałem jak inni ludzie. Byłem gotów stosować przepisy i — dzięki ciasnocie umysłu, w jakiej mnie wychowano — zapewniać trwanie czarno-białemu katolickiemu światu. Znałem prawo i szykowałem się do jego głoszenia, nieugięty i pełen zapału. W rzeczywistości nadal byłem tylko chłopcem, który kłania się proboszczowi i całuje pierścień biskupa w dzień bierzmowania. Rozwinęło się tylko moje słownictwo i pewność siebie. W dalszym ciągu byłem przesiąknięty atmosferą getta, ale teraz byłem uzbrojony w przepisy i formułki. Nie widziałem słabości Kościoła — podziwiałem Jego siłę. Jego niewrażliwość była dla mnie „odwagą”, upór „przekonaniem”, zaślepienie „tradycją”, staroświeckie przesady „niezmiennym prawem Chrystusowym”. Umiałem przekształcać porażkę w sukces, błąd w oznakę siły, a niesprawiedliwość lub okrucieństwo w wyraz współczesnej „woli bożej”. W rozpaczliwie dobrej wierze broniłem zaślepienia i ciasnoty.

Jako nowy kapłan zająłem miejsce wśród kleru. Odtąd miałem pouczać ludzi jak mają kochać — ja, który nigdy nie zaznałem smaku pocałunku. Miałem strofować zakochanych, uczyć mło-

dzień, grozić zamężnym kobietom, stosującym środki antykoncepcyjne, z wyżyn mej ignorancji zachwalać wyższość szkół katolickich, odmawiać sakramentów rozwiedzionym, zgłębionym samotnością, wyłudzać pieniądze od ludzi w trudnej sytuacji, żądać od nieżonatych wyrzeczeń, do jakich sam nie byłem zdolny, wymagać od protestantów, by wychowywali swe dzieci na katolików, potępiać masonów z powodów od dawna nieistotnych — i krytykować świat, którego bałem się, nie znając go wcale.

Katolicy

Katolik widzi świat przez zniekształcający pryzmat, który nie pozwala mu być sobą. Chodzi po ulicy jak wszyscy, dostrzega ludzkie twarze — lecz każdy spotkany „egzemplarz” plasuje mu się w z góry do tego przeznaczone przegródki. Nie zaznaje nigdy radości poszukiwań, olśnienia odkryciem, upajającej wolności jaką daje własna decyzja. Jest obcy światu, bo tych, którzy na nim mieszkają osądza, zanim zdąży ich poznać i zrozumieć. Nauczono go, co należy czytać, jak myśleć, kogo odwiedzać.

Katolik jest istotą godną współczucia z racji wychowania, które wypaczyło jego umysł i wykrzywiło poczucie religijne. Chodzi na mszę niedzielną, ponieważ nakazali mu to przewodnicy duchowi, równie bezkrytyczni i bezwolni jak on. Żyjąc w świecie odrzućców i bomb atomowych modli się w atmosferze średniowiecznej magii. Nudzi się w obecności swego Boga — lecz przychodzi, ponieważ w dzieciństwie nauczono go, że tych którzy opuszczają mszę czeka piekło. Zanedbano się boi, by przyznać, że się nudzi.

W życiu zawodowym stara się być sprawny i nowoczesny. Stara się oszczędzać czas, przyciągać uwagę klientów coraz to nowymi usprawnieniami. Ma własne zdanie na temat pokoju światowego, reform podatkowych, zapobiegania przestępstwom, zdrowia psychicznego lub komunikacji miejskiej. W sprawach religijnych jest robotem, zdolnym jedynie do recytowania wyuczonych odpowiedzi. Przyjmuje bez protestu wszelkie decyzje księży, wysłuchuje uważnie potoków infantylnych truizmów i wspiera Kościół, który zrabował mu umysł.

James KAVANAUGHT

(Przełożył M. Broński)

List księży Dekanatu Londyn

Londyn, dnia 18 lutego 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z notatką „Kronika angielska” w numerze 1 *Kultury* (styczeń-luty 1969, str. 105-108), zniesławiającą ks. Prymasa kardynała Stefana

Wyszyńskiego, Episkopat Polski, księży Biskupów Rubina i Wesołego oraz duchowieństwo polskie na Emigracji przez insynuowanie im braku patriotyzmu i wystugiwanie się interesom władzy świeckiej w Polsce kosztem prawdziwych interesów Polski, księży polscy dekanatu Londyn, zebrani w dniu 18 lutego rb. w Polskiej Misji Katolickiej w Londynie, uważają w świetle dostępnych każdemu faktów odpowiedź merytoryczną za zbytęcną, wyrażają natomiast głębokie ubolewanie i oburzenie z powodu zamieszczania przez *Kulturę* tego rodzaju napaści, w istocie swojej godzących w dobro Narodu i Kościoła i kategorycznie przeciw temu protestują.

Powyższe oświadczenie zostało jednogłośnie przyjęte przez wszystkich siedemnastu księży obecnych na zebraniu.

Wyrażając przekonanie, że ze względu na wagę sprawy Szanowny Pan Redaktor zechce umieścić powyższe oświadczenie na łamach *Kultury*,

pozostają z głębokim poważaniem,

ks. prałat Jan BRANDYS
Dziekan

ks. prob. Tadeusz KURCZEWSKI
Sekretarz



Zamieszczając powyższy list pragniemy stwierdzić, że nie zamierzamy rezygnować z dyskusji na tematy religijne i na temat polityki Kościoła w sprawach które Polaków bezpośrednio dotyczą. Jest to nie tylko naszym prawem ale i naszym obowiązkiem. Nie możemy się zgodzić ze stanowiskiem, że każda odmienna opinia czy wątpliwości są „znieważeniem” lub „insynuacją”.

Redaktor

Nie zgadzam się z Baumanem

13 luty 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielką radością dowiedziałem się o wydaniu przez *Kulturę* zbioru dokumentów studenckich z marca 1968. Z pewnym wzruszeniem przeczytałem teksty, które krążyły wśród młodzieży studenckiej w tych gorących dniach, odżyły niejako na nowo kontrowersje tamtych chwil, jeszcze raz naszło mnie zdumienie — jak mógł zaistnieć fenomen tego typu po dwudziestu z okładem latach rządów komunistycznych w Polsce?

Poczułem się jednak osobiście niemal dotknięty wstępem profesora Bauman'a i nie mogę się oprzeć chęci wyrażenia mego sprzeciwu i obrony polskich studentów przed ich, wydawałoby się, apologetą. Pomijam już fakt, że zdania typu „... drudzy chcą te wzory rodzinne, 'Gemeinschaftowskie' w przeciwieństwie do 'Gesellschaftowskiej' natury hipercentralistycznego społeczeństwa, uwiecznić pośrednio, przez narzucenie ich strukturze także i zawodowej...” czy zwroty w rodzaju „jedność różnorodności” używane w odniesieniu do społeczności studenckiej, budzą we mnie przykre wspomnienia rodzimego grajdołka intelektualnego — sprawa jest o wiele poważniejsza niż problem jałowych zawijasów językowych czy, co gorsza, myślowych. To co budzi mój sprzeciw, to dogłębna fałszywość zaprezentowanych wywodów. Byłoby bardzo dziwne, gdyby ktoś nieobecny w czasie zajęć marcowych na podstawie samych tekstów wyciągnął wnioski zawarte w omawianym wstępie, jeszcze dziwniejszym jest, że wyciąga je prof. Bauman, który nie tylko był wówczas w kraju, ale miał dodatkowo duży kontakt z młodzieżą, która w większości darzyła go pełnym zaufaniem. Trudno jest pisać o wydarzeniach marcowych, gdyż aby nie kroczyć po omacku i nie pozostać w sferze ogólników, należałoby sięgnąć do faktów, których jednakże nie można w ogromnej większości ujawnić ze względu na bezpieczeństwo osób zaangażowanych w studenckie demonstracje. Jeśli się już decyduje na podjęcie tego tematu, należy unikać przynajmniej nadmiernego naginania rzeczywistości do własnych założeń.

Profesor Bauman zajmuje się, generalnie rzecz biorąc, dwoma zagadnieniami: podłożem ruchu młodzieżowego oraz jego porównaniem z ruchem kontestatorskim na Zachodzie. Niestety fałszywość ujęcia pierwszego nie pozwala mu właściwie nawet podejść do drugiego.

Zdaniem prof. Bauman'a, ruch studencki zrodził się z przesiąknięcia przez młodzież ideałami socjalistycznymi. W kontekście omawianego wstępu słowo

„socjalizm” występuje w tym znaczeniu, w jakim pojawia się ono w zwrocie „Polska socjalistyczna” — nie ma w nim nic z socjaldemokracji, zawiera *implicite* całą marksistowską analizę społeczeństwa klasowego, tchnie dziewiętnastowiecznym egalitaryzmem i wiarą w wielkość ludzkiej zbiorowości; jest to socjalizm taki, jakim widzieli go komuniści kilkadziesiąt lat temu. Otóż według prof. Baumana, ruch studencki był ruchem na rzecz instauracji takiego „prawdziwego” socjalizmu, był próbą rozpoczęcia „od nowa”; protest przeciwko totalitarnym rządów partyjnym ma być protestem przeciwko odejściu od postępowych zasad marksistowskich i odwołaniem się do komunistycznych pierwowzorów egalitaryzmu. Otóż tego typu ujęcie powstaje prawdopodobnie z utożsamienia ideałów ruchu studenckiego z ideami ludzi, którzy zostali przez władzę eksponowani jako autorzy i przywódcy tego ruchu. Analiza ta byłaby prawdziwa, gdyby Kuroń i Modzelewski oraz ich młodsi zwolennicy byli rzeczywiście duchowymi przywódcami młodzieży. Nie mam zamiaru negować poważnej roli, jaką odegrali ci ludzie w fazie wstępnej ruchu, roli niejako poruszycieli, oraz nieugiętej postawy głównych postaci tego odłamu komunistów. (Tragiczny był również los niedojrzałych wyrostków owładniętych rewolucyjną gorączką, którzy nie potrafili stawić czoła podstępnie działającemu aparatowi policyjnemu i wyrządzili tym wielką krzywdę swoim kolegom).

Faktycznie jednak Kuroń i Modzelewski dużo więcej zdobyli sobie zwolenników wśród kontestatorów na Zachodzie i dużo bardziej spodobał się Cohn-Benditowi niż swoim polskim adresatom. Więcej nawet, aby podtrzymać ruch solidarności z wyrzuconymi bezprawnie studentami, autorzy jednej z rezolucji studenckich usunęli po namyśle ich nazwiska, gdyż były one niepopularne. Mimo imponujących jak na polskie stosunki rozmiarów pierwszych demonstracji, miały one charakter protestu przeciwko bezprawiu Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, który bez komisji dyscyplinarnej usunął dwóch studentów Uniwersytetu Warszawskiego (ten epizod ruchu studenckiego został zresztą przez prof. Baumana zauważony). Nie było jednak fazy „politycznego analfabetyzmu”. Nikt nie uważał, że zaszło nieporozumienie i nie kładł tego co się stało na karb nieodpowiedzialności urzędników średniego szczebla. Pytania w rodzaju: kto ponosi odpowiedzialność za...? — są, jak łatwo się domyslić, pytaniami retorycznymi i nikt nie oczekiwał na nie odpowiedzi. Po prostu w pierwszej fazie ruchu nikt jeszcze nie wiedział dokładnie, jakie przybierze on rozmiary, nie chciano więc przedwcześnie wysuwać zbyt ogólnych postulatów, które mogłyby stworzyć wrażenie politykierstwa. Co więcej, chodziło o wciągnięcie szerszych warstw młodzieży, które niechętnie odnosiły się do idei „młodych rewolucjonistów” i nie chciały się początkowo angażować w ruch studencki. Nikt nie pisał również listu do Gomułki. List ten powstał dopiero pod koniec wydarzeń i nie był dziełem studentów (będzie o tym mowa poniżej).

Właściwy i najdojrzalszy okres ruchu nastąpił po kilku dniach. Tu leży sedno nieporozumienia. Ruch nie był antysocjalistyczny w tym sensie, że nie nawoływał do reprivatyzacji przemysłu i nie był ruchem antyrobotniczym. Był to po prostu ruch *lewicowy*. Śmieszne jest jednak opieranie na tych przesłankach twierdzenia, że był to ruch na rzecz instauracji „prawdziwego socjalizmu” (lub lepiej komunizmu). Problem reprivatyzacji po prostu w ogóle dla tej młodzieży nie istniał. Jest to po części sprawa nieodwracalności pewnych posunięć, po części zaś autor wstępu uległ wpajaniu przez władze stereotypowi, iż każda alternatywa komunizmu w Polsce oznacza reprivatyzację i restaurację stosunków przedwojennych. *Sensem* ruchu młodzieżowego było dążenie do demokracji, świadomość niewystarczania zmian typu październikowego, żądanie wolności, legalnej opozycji, wyborów powszechnych, efektywnego systemu gospodarczego i niezależności politycznej (młodzież na ulicach Warszawy wznosiła okrzyki „WOLNA POLSKA”!).

W szeroko rozpowszechnionym hasle „Nie ma chleba bez wolności” młodzi stwierdzali, że ko-relacja między systemem gospodarczym i politycznym nie jest jednostronna, wręcz przeciwnie, podkreślali mocno zależność rozwoju ekonomicznego od zdrowej atmosfery politycznej. Zupełnie niewiarygodnie tendencyjnym i niebezpiecznym zawijaszem jest przypisywanie komunistom monopolu na powyższe hasła, co więcej: we wszystkich programach komunistycznych z Kuroniem i Modzelewskim włącznie, *implicite* zawarta jest *negacja tych postulatów*. Zamiast przypisywać żądania młodzi czy wpływowi komunistycznej propagandy, należałoby się zastanowić, jak idee te przetrwały przez dwadzieścia lat obłudy i pogardy, jak *ostały się* totalitarnej propagandzie i „dialektycznej” moralności. (Osobiście byłbym skłonny przypisać rolę przekaznika pewnym wartościom kultury polskiej, która ustrzegła w pewnej mierze nasz kraj przed postępującą bałkanizacją, jest to jednak problem znacznie wykraczający poza obecne uwagi). Zadziwia właśnie dojrzałość młodzieży i jej odporność, mimo widocznych czasami wpływów indoktrynacji, nieuchronnych w wypadku tak masowej produkcji, jaką było spontaniczne powstawanie ulotek, rezolucji, deklaracji i wierszyków (te ostatnie powinny w dosyć brutalny sposób podważyć tezę o komunistycznych iluzjach młodzieży, nie bardzo wdrożonej do czysto politycznej twórczości).

Trzecią fazą ruchu było swego rodzaju przekwitanie. Młodzież niezwykle się „zacięła”, uparcie obstawała przy swoich żądaniach, mimo świadomości niemożliwości ich realizacji w danym momencie wierzyła w przynajmniej moralny charakter swojej działalności. Jednakże osoby wysunięte na czoło ruchu w czasie jego trwania nie miały najczęściej odpowiedniego doświadczenia. Do tego władze bardzo umiejętnie aresztowały wszystkich potencjalnych przywódców ruchu. Wśród zastraszonych komitetów studenckich, składających się z ludzi w każdej chwili oczekujących aresztowania, zaczęły się rodzić skłonności do politykierstwa. Politykowanie było w sytuacji studentów nonsensem. Oczywiście było bowiem, że władze nie mają najmniejszego zamiaru rozmawiania ze studentami, że wszelkie posunięcia mające na celu porozumienie z władzami mogą jedynie zostać wykorzystane na szkodę studentów i popierającej ruch ludności. To właśnie można by nazwać analfabetyzmem politycznym. Trzeba jednak stwierdzić, że było to stanowisko niektórych tylko studentów, wysuniętych nieraz przypadkowo na powierzchnię ruchu. Ogół studentów był nastawiony niezwykle wrogo do tego rodzaju inicjatyw. Wielokrotnie padały w czasie wieców w Audytorium Maximum propozycje usunięcia komitetu studenckiego za działalność na szkodę ruchu (pojawiało się nawet słowo „zdrada”). Między innymi komitet studencki wysłał bez przegłosowania przez wiec (uznany przez młodzież za swego rodzaju parlament) ów list do Gomułki, wspomniany we wstępie prof. Baumana (dodać należy, że autorem tego listu nie był żaden student, lecz że został on podpisany przez jednego z profesorów ekonomii czy też historii na Uniwersytecie Warszawskim). Jedynie apel na rzecz nie wszczynania waśni i sporów wewnętrznych powstrzymał ogół studentów zebranych w Audytorium Maximum od głosowania nad votum nieufności do komitetu studenckiego, którego wynik niekorzystny dla komitetu był właściwie z góry przesądzony.



Jest oczywiście, iż gdy się nie zauważy, że choć ruch studencki nie był ruchem antysocjalistycznym (w tym sensie, że nie żądał reparywacji przemysłu w Polsce), nie był on również bynajmniej ruchem na rzecz instauracji „prawdziwego socjalizmu”, lecz po prostu ruchem na rzecz demokracji i wolności, na które marksiści nie tylko nie mają monopolu, lecz nawet słów w rodzaju „demokracja” i „wolność” używają jedynie z dodatkiem słowa „socjalistyczna”, co pozwala im tym interesującym zwrotem określić

totalitaryzm i niewolę, nie można przeprowadzić sensownego porównania między polskim Marcem 1968 a ruchem studenckim na Zachodzie. Bo też nie ma żadnej (poza regionalną specyfiką) różnicy między ideami Kuronia i Modzelewskiego a poglądami młodych krzykaczy spod znaku „Marks-Mao-Marcuse”. Trzeba być naprawdę mało czułym na realia przeszkadzające w przeforsowaniu swojej tezy, żeby określić ruch kontestatorski w Anglii, we Włoszech i „w znacznej mierze” we Francji jako ruch profesjonalny, mający pozostać „ruchem studenckim właśnie, przeznaczonym do forsowania postulatów środowiskowych”, a jego szaleńcze wezwanie do anihilacji społeczeństwa mieszczańskiego jako „rewolucję uniwersytecką”, ograniczoną do „walki o przeobrażenia warunków nauki”.

Istota ruchu polskiego polega na wysunięciu żądań demokracji i racjonalnej reorganizacji życia narodowego Polaków, podczas gdy ruch kontestatorski na Zachodzie dąży do totalnego zanegowania zastanej tradycji i do budowy nowego idealnego ustroju na gruzach mieszczańskiego społeczeństwa.

Na koniec chciałbym jeszcze raz podkreślić ogromną pracę Redakcji Kultury nad zebraniem dokumentów studenckich i nadmienić, że teksty, które przedostały się za granicę, były uprzednio setki razy przepisywane na maszynie przez nieznaną uczestników ruchu studenckiego, co wpłynęło nieraz na znaczne zmiany tekstu, zatracając czasami sens niektórych dokumentów.

Pozostaję z głębokim poważaniem,

B. student Uniwersytetu Warszawskiego
(Nazwisko znane Redakcji)

Requiem dla socrealizmu w architekturze

Momentem zwrotnym, rozpoczynającym najbardziej ponury okres w dziejach polskiej architektury, stało się zwołanie w roku 1949 Krajowej Narady Architektów Partyjnych, która określiła ścisłe zadania w kierunku tworzenia nowej architektury narodowej. Entuzjastyczne ustosunkowanie się do osiągnięć budownictwa sowieckiego, którego wzory zupełnie bezkrytycznie naśladowano, dało w rezultacie przeszczepienie na polski teren „sowieckiego realizmu”, obmierzłej, pompatycznej, pseudo-archaicznej architektury przyozdobionej fałszywymi klasycznymi kolumnami wśród których przeplatają się motywy pięcioramiennych gwiazd i heroicznymi postaciami piersiastych traktorzystek i dzielnych hutników. Jest sprawą oczywistą, że każde narzucanie z góry recept na jakąkolwiek twórczość, która winna być zawsze wolna i nieskrępowana, musi zakończyć się klęską. Architektury tworzą konkretne realizacje a nie papierkowe dyskusje i mętne teoretyzowanie. Niestety w tym wypadku pacjent dyktował lekarzowi jaką kurację winien przepisać...

Oto główne wytyczne określone przez niesławną naradę:

- 1) przewycięzanie wpływów kierunków wstecznych ideowo i obcych narodowi, zwłaszcza takich jak dezurbanizm, formalizm, konstruktywizm i funkcjonalizm.
- 2) przeciwstawienie się ciasnemu ekonomizmowi.
- 3) sięgnięcie do tradycji architektury polskiej i oparcie się w twórczości o dziedzictwo naszej architektury i urbanistyki.
- 4) traktowanie architektury jako przestrzennego ujęcia procesów społecznych.
- 5) ideowość, wychowawczość i realizm winny być cechami podstawowymi.

Podział na dwa światy polityczne przeniesiono na teren architektury z oczywistą dla niej szkodą. Przeprowadzony znak równości między konstruktywizmem i funkcjonalizmem w architekturze a imperializmem w polityce wystarczająco nastraszył i zniechęcił projektantów. Haniebny architektoniczny żart stał się faktem; fałszywe formy i nieszczerzy eklektyzm rozpanoszyły się w polskich miastach na wielką skalę. Co rozsądniejsi lojalni architekci próbowali pogodzić narzucone zadania z logiką, szukając rozwiązania w próbach stworzenia formy narodowej. Jednakże bezkrytyczne powtarzanie form starych i dawno przeżytych stanowiło tylko krok wstecz. Zaczęły powstawać marne imitacje spowszedniałych wzorów z minionych epok, będące estetyczną katastrofą. Jest bowiem rzeczą zrozumiałą, że każdy prawdziwie twórczy umysł winien mieć wiarę w swoją epokę, każda zaś epoka ma prawo do wyrażania własnych form w sztuce — reszta jest fałszerstwem. Style historyczne odłączone od współczesnej technologii tracą swą żywotność w odcięciu od problemów jakie stwarza dzień dzisiejszy. W okresie pierwszych kilku lat po Naradzie architektura polska stworzyła cały kalejdoskop różnych form poczynawszy od pseudo-klasycyzmu XIX wieku i cofając się aż do czasów renesansu który, jak stwierdził prof. Pniewski na zjeździe Stowarzyszenia Architektów Polskich w roku 1955, „ogromnie przypadł do gustu architektom w ostatnich latach”. Honorowany przez władze i prasę kwitł „realizm socjalistyczny” — orgia brzydoty i złego smaku. Cała twórczość stała się generalnym nieporozumieniem, wytworzyło się budownictwo niesłychanie kosztowne o luksusowym i stosowanym bez umiaru wyposażeniu materiałowym i chorobliwie przeładowanym elewacjach. Szereg nowych obiektów przystrajano w zewnętrzne pozory mieszczańskiej świetności usiłujące symbolizować dobrobyt i sztuczny splendor. Dom Młodzieży w Katowicach (ówczesnym Stalinogrodzie) otrzymał wnętrza udekorowane kryształami, inkrustacją metalową w kamieniu, kutym żelazem itp., w nowym gmachu Sejmu zastosowano trzy gatunki marmuru — importowaną carrarę oraz śląski i dębnicki. Drogie to kwiatki do biednego polskiego kożucha. Pompatyczne przeładowywanie ornamentami fasad i wnętrza łączyło się niestety z pełnym lekceważeniem zagadnień funkcji i ekonomii. Tworzenie architektury parawanowej, tj. monumentalnych elewacji wyłącznie na pokaz,

kosztem funkcji mieszkaniowej, wydaje się być bardzo bliskie mentalności i kulturze kacyka afrykańskiego, który w nos wpi-
na kołko a na szyi zawiesza budzik, zapominając o okryciu in-
nych części ciała... Znałe były w Warszawie przykłady kuchni
bez okien i fatalnych w proporcjach pokoi, by dogodzić nie-
przytomnemu wystrojowi fasad. By było jeszcze zabawniej szereg
normatywów i instrukcji ograniczało do przesady powierzchnię
mieszkaniową w celach oszczędnościowych, gdy równocześnie nie
szczędzono wielkich nakładów na stronę reprezentacyjną elewa-
cji. Wprowadzano nonsensowne zakazy projektowania balkonów
albo łazienek w mieszkaniach jedno-izbowych, stosowano oszczęd-
ności w wyposażeniu łazienek, np. zakaz wyposażenia ich w bidety
lub instalowanie wanien tylko na koszt własny lokatora. W sumie
powstała reprezentacyjność, której żalosnym, klasycznie wyśmie-
wanym przykładem były kandelabry na warszawskim MDM-ie,
lub centrum Nowej Huty żywo przypominające klasztor św. Fran-
ciszka w Asyżu z pierwszej połowy XIII wieku. Koszmarna mas-
karada architektury spartolonej w dodatku fatalnym wykonaw-
stwem świadczy do dziś o epoce, którą ktoś, nie pozbawiony po-
czucia humoru, nazwał „realizmem socjalistycznym”. Fala sza-
leństwa i kopiowania wzorów sowieckich doszła do punktu, w
którym regułą stała się zasada — „ustaw rząd kolumn na froncie
budynku bez względu na jego funkcję i przeznaczenie”. Nikt nie
potrafił się domyśleć, gdy pokazano mu zdjęcie zgrabnej, okrą-
głej, greckiej świątyni z dwoma rzędami klasycznych kolumn
wokół, jaką też funkcję ona spełnia. Była to szatnia na base-
nie kąpielowym w Leningradzie zbudowana w owych latach...
I u nas powstało wiele „oryginalnych replik”, a także pospolitych
fałszerstw, którym patronował fetysz gigantyzmu — kolumny,
które nic nie dźwigały, budynki nakryte ciężkimi, bezużytecznymi
zaś szalenie kosztownymi czapami renesansowych attyk. Syntezą
„sowieckiego realizmu” stał się dar Związku Sowieckiego dla
Polski — Pałac Kultury i Nauki w Warszawie, typowy przykład
wedding-cake architecture, jak określają to Anglicy, ponure i
śmieszne gmaszysko, które zarżnęło na zawsze najbardziej cenny
teren w samym centrum stolicy.

„Czym niższy standart człowieka tym hojniej się on przyozda-
bia” — powiada Adolf Loos, pionier architektury modernistycznej.
Less is more — im mniej tym więcej — jest podstawową zasadą
purytanina architektury Mies van der Rohe’a. Kryteria pożytku,
wygody i celowości są miarą dobrej architektury, której zada-
niem jest służyć człowiekowi a nie imponować mu zewnętrznym
blichtrzem i ornamentacją. Czysta i prosta bezpretensjonal-
ność tworzy architekturę. Zastanawiające jest jak doszło w na-
szych warunkach do tak szalonej dyskwalifikacji prostoty, cho-
robliwego ukłasyzowania i dekorowania budynków, których sam
widok przyprawia o histerię.

Architekci sowieccy twierdzą, że budownictwo nowoczesne nie
podoba się robotnikom i chłopom, że w architekturze piękne jest
to co przeładowane, bogate i pompacyjne. Ten gust Stalina dzie-

lił zresztą i Hitler, a jego *Moderne Bauformen* jeszcze do dziś straszą w Berlinie. Mussolini dołączył się do dwójki swych kolegów po fachu i wykazał podobny brak smaku (okres *Novecento Italiano*), ale on przynajmniej miał prawo powoływać się na dziedzictwo narodowe.

Prostemu człowiekowi, który na ogół nie ma własnego zdania o sztuce, łatwo przypada do gustu szmira. Kicz gra na strunach, które produkują nastroje też i wzdychań oraz inne, przyjemne, emocjonalne sensacje. „Realizm socjalistyczny” zrujnował nie tylko ludzkie otoczenie ale i smak publiczny, narzucił zły gust i stał się wyrazem pospolitego analfabetyzmu w architekturze. Na politechnicznych wydziałach architektury w Polsce wykładano historię architektury kończąc na XIX wieku a osiągnięcia późniejsze były wstydliwie przemilczane lub przyczepiano im etykietkę konstruktywizmu i funkcjonalizmu jako straszak. Fachowe wydawnictwa architektoniczne prezentowały wyłącznie takie tytuły swych pozycji jak: „Zamki śląskie”, „Karczmy i zajazdy w dawnej Polsce”, „Architektura do połowy XIII wieku”, „Bóżnice drewniane” itp., daremnie zaś byłoby szukać bodaj jednej pozycji z zakresu współczesnego budownictwa światowego. Tak przygotowane młode pokolenie architektów wchodziło w życie zawodowe. Przykro było słuchać finałów radiowej zgaduj-zgaduli na tematy architektury, kiedy to finaliści bezbłędnie odpowiadając na pytania z przeszłości, żenująco milczeli przy kwestiach dotyczących najpopularniejszych nazwisk i realizacji współczesnych. W tych warunkach szereg utalentowanych architektów, nie mogąc pracować wbrew przekonaniom, w dodatku w nieprzyjemnej atmosferze biur projektowych (co stanowi odrębne zagadnienie) i nie znajdując żadnych możliwości w dziedzinie twórczej, zdecydowało się poświęcić konserwacji zabytków. Zjawisko to należy uznać za anormalne, bowiem konserwacją zabytków zajmują się zasadniczo historycy sztuki oraz nieliczni, specjalnie zamierzani architekci, a większość traktuje ją jak peryferyjną gałąź architektury i woli — co jest zrozumiałe — tworzyć. Dzięki dużemu poparciu ze strony rządu konserwacja i odbudowa zabytków dawała najszerze możliwości i wywierała wielki wpływ na całą twórczość architektoniczną w kraju. I tu nie udało się jednak zachować umiaru i hierarchii problemów, znów wykazano za wiele pietyzmu dla przeszłości, za mało nowoczesnej potencji twórczej. Ciekawostką jest fakt, że nieliczni uprzywilejowani architekci projektujący pawilony polskie na wystawy zagranicą, tworzyli doskonałe rzeczy w okrzyczanym „formaliźmie”, robiąc dobrą propagandę polskiej sztuki na eksport, podczas gdy szmira zostawała w kraju — „dla mas”...

Brak kontaktu ze światem zachodnim i zwracanie się po wzory wyłącznie na wschód spowodowały głębokie zacofanie i prymityw techniki budowlanej w Polsce. Zresztą i tak architekci nie bardzo orientowali się czym dysponują, tonąc w zalewie okólników i instrukcji, przy równoczesnym zupełnym braku katalogów materiałowych czy bodaj prospektów reklamowych. Umiałowanie pa-

tosu i dramatyzowanie jest naszą cechą narodową, ogromnie lubimy bicie w dzwony i przecinanie wstęg; być może dlatego monumentalne koncepcje pseudo-klasycystyczne w naszej architekturze znalazły jednak zwolenników. Te nasze cechy i ambicje narodowe, chętne powoływanie się i oglądanie na przeszłość, a przede wszystkim stawianie niemal z reguły czynnika emocjonalnego przed rozsądkiem — przyczyniły się początkowo w pewnych sferach do stworzenia przychylniej atmosfery dla teorii „realizmu socjalistycznego”.

Masowy obłęd produkujący warszawsko-doryckie świątynie trwał aż do roku 1956 kiedy to następna narada architektów partyjnych ogłosiła „miniony okres” za „pełen błędów i wypaczeń”. Samokrytykę wyraził ówczesny minister budownictwa miast i osiedli Piotrowski, naczelný architekt Warszawy Sigalin, wreszcie sam premier Cyrankiewicz. Smutne te przemówienia charakteryzowało bicie się w piersi i odwrót na całym froncie z lansowanych w ciągu ubiegłych lat pozycji. Było to oczywiście echo niedawnego przemówienia Chruszczowa, który bezlitośnie skrytykował architektów sowieckich.

Jednak w Polsce okres „sowieckiego realizmu”, zwanego też niekiedy „gotykiem Stalina”, można było uznać za definitywnie zakończony. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać świetne, modernistyczne projekty i realizacje młodych, uzdolnionych architektów polskich. Nazwiska polskie często figurowały na listach pierwszych nagród w konkursach międzynarodowych. Wolność wyrażania własnej filozofii i osobowości w architekturze dowiodła, że kraj posiada utalentowanych twórców i że wina za koszmarną architekturę powojennej spada wyłącznie na politycznych spekulantów, których zaściankowa mentalność w dziedzinie sztuki spowodowała zaprzepaszczenie ogromnych możliwości w zakresie odbudowy zniszczonych miast polskich.

Bogdan ADAMSKI

Styczeń 1969.

Czarna lista

J.U.: „Tętno polityczne”. *Polityka* Nr 8 z 22 lutego 1969.

Janusz Wilhelmi: Wierzyński, *Kultura*, Warszawa, z 23 lutego 1969.

Maria Osiadacz: „Drugi garnitur”, *Prawo i Życie* z 23 lutego 1969.

Maciej Wrzeszcz: „Pogróżki z tonącego okrętu”. *Kierunki* Nr 8 z 23 lutego 1969.

Andrzej Żeromski: *Podróż wokół Izraela*, Wyd. Pax 1969.

Jan Budziński: „Trudne drogi normalizacji” (z czechosłowackiego notatnika), *Żołnierz Wolności* z 3 marca 1969 i dalsze korespondencje.

Kazimierz Kozub: „Dinar jest dobry na wszystko”, *Tygodnik Kulturalny* z 15 marca 1969.

Leszek Gabriel: „Z Monachium”, *Żołnierz Wolności* z 14 marca 1969.

Z prasy polskiej

Z okazji 51-rocznicy Armii Radzieckiej i Marynarki Wojennej ZSRR, do Ambasady ZSRR w Polsce oraz attaché wojskowego Ambasady ZSRR napłynęło dużo listów i depeš od organizacji partyjnych, społecznych i państwowych, od jednostek i instytucji, Wojska Polskiego, załóg przedsiębiorstw i od szkół wyższych PRL, a także od poszczególnych osób z serdecznymi pozdrowieniami i najlepszymi życzeniami. Adresowane były one do Komitetu Centralnego KPZR, rządu ZSRR, Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego i całego narodu radzieckiego.

Przyjmując to jako przejaw braterskiej przyjaźni narodu polskiego do narodów ZSRR i uznania dla Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego, Ambasada ZSRR, attaché wojskowy Ambasady ZSRR wyrażają gorącą wdzięczność wszystkim organizacjom i osobom, które nadesłały pozdrowienia.

(Chcielibyśmy znać nazwiska tych „poszczególnych osób”. — Redakcja).

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kronika kulturalna

POLSKA RADA BIBLIOTECZNA

Rada Biblioteczna została powołana z inicjatywy Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii przez organizacje społeczne, kulturalne i młodzieżowe dla obrony bibliotek polskich przed roszczeniami rządu J.K.M., oraz zapewnienia im trwałego bytu.

Na wniosek Rady, Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny przejął w imieniu społeczeństwa tytuł własności Biblioteki Polskiej i Centrali Bibliotek Ruchomych wraz z odpowiedzialnością za ich byt i przyszłość. Rada Biblioteczna odwołała się jednocześnie do społeczeństwa z apelem o dotrzymanie zobowiązań wynikających z poręki Ośrodka. Zobowiązania te podjęły pierwsze, ofiarnym odruchem, koła kombatanckie, stowarzyszenia w polskich ośrodkach regionalnych i zamorskich, oraz rodacy spośród warstwy najmniej zasobnej.

Dotychczasowy odzew społeczeństwa wystarcza na pokrycie zaledwie połowy kosztów utrzymania Biblioteki Polskiej i Centrali Bibliotek Ruchomych. Niedobór pokrywa Ośrodek Społeczno-Kulturalny oraz subwencja roczna Uniwersytetu Londyńskiego.

Od chwili uznania naszego tytułu własności księgozbiór Biblioteki Polskiej, wzbogacany coraz to cenniejszymi дарami i zapisami, wzrasta do objętości przekraczających możliwości obecnego lokalu Biblioteki, którego dzierżawa wygasa za 7 lat. W podobnym położeniu, z analogicznym terminem upływu dzierżawy, znajduje się Biblioteka byłego „Polish Research Centre” w posiadaniu Instytutu Generała Sikorskiego. Potrzeba odpowiedniego pomieszczenia dla tych bibliotek, z uwzględnieniem ich stałego wzrostu, staje się zatem z każdym dniem coraz bardziej paląca. Ponadto zespolenie bibliotek polskich w Londynie zmniejszyłoby ciężar świadczeń ponoszonych przez społeczeństwo i stworzyło najpoważniejszy polski księgozbiór naukowy w wolnym świecie.

Fundusz Biblioteczny winien przeto nie tylko zapewniać bieżącą obsługę Biblioteki Polskiej ale gromadzić środki na godną jej miary i wartości siedzibę.

Po długich poszukiwaniach oraz znacznym wysiłkiem Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w ubiegłym roku zdobył niezwykle korzystną nieruchomość w dzielnicy Hammersmith i pertraktuje o sąsiednią niemniej cenną posiadłość. Zajmują one łącznie powierzchnię około 24.000 stóp kw. i zapewnić mogą właściwe pomieszczenie nie tylko bibliotekom ale wszystkim naszym podstawowym instytucjom kulturalnym i społecznym.

Dokonanie tego dzieła zależy wyłącznie od naszej woli. Niezwłoczny powołany udział, w miarę indywidualnych środków, poparty zasobami naszych czołowych organizacji — jest nieodzownym warunkiem pozostawienia uporząd-

kowanej i godnej naszych trudów spuścizny niepodległościowej z okresu drugiej niewoli Narodu.

Wpłaty należy kierować na:

„POLISH LIBRARY FUND”
9, PRINCES GATE,
LONDON, S.W.7.

PAMIĘCI KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

Referat Kulturalno-Oświatowy Związku Polaków w Melbourne oraz Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej „Kultury” zorganizowały w Domu Polskim w Melbourne *Wieczór Poetycki* w układzie Andrzeja Chciuka dla uczczenia pamięci Kazimierza Wierzyńskiego.

NOWY ZARZĄD ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH NA UCHODŹTWIE

Dnia 15 lutego br. wybrany został nowy zarząd Związku Pisarzy. Prezes: Teodozja Lisiewicz. Członkowie: Piotr Borkowski — skarbnik, Wiktor Budzyński, Władysław Günther — wiceprezes, Janusz Kowalewski, Stefan Legeżyński — referat prasowy, Krzysztof Rowiński.

Przedstawiciele Związku w Fundacji „Domu Pisarza”: Zygmunt Bohusz-Szyszko — wiceprezes zarządu ZPPnU, Kazimierz Iranek-Osmecki. Przedstawiciel Zarządu w Komitecie Obchodu 25-lecia Monte Cassino: Franciszek Wysłouch.

Komisja rew.: Michał Chmielowiec, Józef Garliński, Stefan Wojstowski, Sąd kol.: Fryderyk Goldschlag, Marian Kukiel, Mieczysław Lisiewicz, Napoleon Sądek i Ignacy Wieniewski.

Walne zebranie jednogłośnie nadało Marianowi Kukielowi tytuł Honorowego Prezesa Związku.

Uchwalono m.in. nast. zmianę w statucie: Członkiem Związku może zostać również pisarz emigracyjny piszący w języku obcym.

„NAGRODY LITERACKIE” PISARZY EMIGRACYJNYCH

13 lutego, 1969 r., jury dorocznych nagród literackich Związku Pisarzy Polskich na Uchodźstwie w Londynie, w składzie: Piotr Borkowski, Władysław Günther, Ignacy Wieniewski, Wiesław Wohnout, pod przewodnictwem Teodozji Lisiewicz, prezesa Związku, przyznało następujące nagrody:

nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Uchodźstwie (£ 50.0.0.) otrzymał za całokształt twórczości Jerzy Kossowski (Rio de Janeiro);

nagrodę im. Herminii Naglerowej, ufundowaną przez mec. M. Chmielewskiego (£ 50.0.0.) otrzymał za całokształt twórczości poetyckiej Bronisław Przyłuski (Monachium).

KONKURS JEDNEGO WIERSZA

Grupa Literacka 63 przy Jednolitym Ośrodku Kulturalnym Huty WSRP w Trzyńcu ogłasza

*Konkurs jednego wiersza
o dowolnej tematyce*

poświęcony pamięci śląskiego poety Pawła Kubisza.

Na konkurs można przysyłać prace pisane językiem literackim i w gwarze śląskiej. Termin nadsyłania prac do 30 czerwca 1969. Prace nigdzie dotąd nie publikowane w 2 egzemplarzach, opatrzone godłem i kopertą

z adresem autora, należy przysłać pod adresem: Jednotné kulturné stredisko Trineckých železaren VRSR v Trinci I (z oznaczeniem na kopercie KONKURS LITERACKI — wiersze).

Jury konkursu przyzna zwycięzcom następujące nagrody:

- I nagroda — 500 Kcs
- II nagroda — 300 Kcs
- III nagroda — 200 Kcs.

STUDENCKI TEATR SATYRYKÓW W WARSZAWIE OBCHODZIŁ 13 MARCA 15-LECIE SWEGO ISTNIENIA

STS zadebiutował składanką satyryczną „To idzie młodość” 13 marca 1954 r.

Od tego czasu STS dał 45 premier. Czterdziestą szóstą pt. „Raz się żyje” przygotował na swoje 15-lecie.

STS dał 1958 przedstawień i 300 programów niepełnych. Oglądało je 600 tysięcy widzów. Z STS-em współpracowało w czasie 15-lecia 312 osób. Aktualnie zespół skupia 40 osób.

W roku 1962 STS otrzymał Nagrodę Państwową III stopnia. W roku 1964 — Złotą Odznakę ZSP.

Sukcesy przedstawień potwierdzają nagrody na festiwalach krajowych w Warszawie, Wrocławiu, Gliwicach, Krakowie i Gdańsku. Zespół występował również na międzynarodowych festiwalach teatrów studenckich we Włoszech, Francji, Jugosławii, NRF, Anglii.

STS może najlepiej charakteryzuje wierszyk Agnieszki Osieckiej:

RÓBMY COŚ

Wyspiański to był jakby wieszcz,
Więc kiedyś poczuł twórczy dreszcz
choć słuchaczy było mało
to tak się w wieszczu odezwało:
„Róbmy coś, co by od nas zależało”
Róbmy coś, róbmy coś
co by zależało od nas —
nie mów dość, po co złość,
po co te podróże do dna —
po co wciąż szukać łąt
w ulubionym krajobrazie,
jeszcze nam ciepły wiatr
dmuchnie w żagle, drogę wskaże.
Po co ten w murze hak,
życie przydać ci się może —
jeszcze nam huknie ptak,
jeszcze nam zaszumi morze.
Nie mów „pas”, jeszcze czas
na wytworną rezygnację,
jeszcze masz w sobie gaz

jeszcze możesz raz mieć rację.
Krzep i głos, koś i znoś,
smutna mina jest niemodna,
róbmy coś, róbmy coś
co by zależało od nas.
Aż tu „dość” wrzasnął gość
w niedoprasowanych spodniach —
niech mi ktoś
wskaże coś
co by zależało od nas.
Nie wiem co
nie wiem jak
ale coś tam
chyba można.
Róbmy coś,
żeby coś
zależało od nas!

(Z programu „Już pora smażyć
konfityry”, 1964).

(Zarówno ten wiersz jak i informację przedrukowujemy ze *Sztandaru Młodych*).

DATA	POLITYKA
16-2-69	Do Rumunii przybyła czechosłowacka delegacja wojskowa z wiceministrem Obrony na czele.
17-2-69	Francja poinformowała W. Brytanię, że aż do odwołania nie będzie brała udziału w posiedzeniach Unii Zachodnio-Europejskiej.
18-2-69	W Polsce utworzono nową Komisję Ekonomiczną przy KC partii. Jej zadaniem ma być opracowywanie bieżących zagadnień ekonomicznych m.in. z punktu widzenia integracji Bloku.
19-2-69	„Departament Żydowski” w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, na którego czele stał T. Walichnowski, został zniesiony. Podając tę wiadomość londyński <i>Times</i> twierdzi, że stało się to na osobistą interwencję Gomułki.
20-2-69	Rosjanie pracują nad nowym, udoskonalonym systemem pocisków anty-rakietowych — oświadczył amerykański sekretarz Obrony Laird. Może to storpedować próby zawarcia porozumienia, które zapobiegłoby nowemu wyścigowi zbrojeń.
21-2-69	Prezydent de Gaulle proponuje W. Brytanii nawiązanie rozmów na temat rozwiązania Paktu Atlantycznego, zmiany Wspólnego Rynku na luźniejszy związek typu strefy wolnego handlu i ustanowienie „Dyrektoriatu Czterech” w Europie Zachodniej.

KULTURA I NAUKA

Do Rzymu przybyła delegacja rządu z Bułgarii na obchody 1100 rocznicy śmierci św. Cyryla. W delegacji znajdują się przedstawiciele kościołów: prawosławnego i katolickiego.

Rektor polskiego Seminarium Duchownego w Orchard Lake (Mich.) USA, ks. dr W. Ziemia, oświadczył, że zamierza utworzyć w Seminarium „Centrum Polskich Studiów i Kultury”, które posiadałoby specjalistyczną Bibliotekę, Archiwum, Muzeum i Galerię Sztuki. Obiecał też podwoić liczbę polskich studentów w tym Seminarium.

Polski zespół muzyki popularnej „No To Co” zdobył na międzynarodowym festiwalu „pops” drugie miejsce, po zespole amerykańskim.

Czasopismo *Oktiabr* skrytykowało autorów V tomu „Małej Encyklopedii Literackiej” za nieklasowe podejście w ocenie dzieł literackich.

Uniwersytet chicagowski (C.W.R.U.) postanowił skasować z nowym rokiem akademickim katedrę języka polskiego, gdzie wykładów słuchało tylko 11 studentów; zgodził się natomiast utrzymać lektorat, jeśli Polonia da na ten cel fundusze. K.P.A. organizuje zbiórkę pieniędzy.

RÓŻNE

Radio Wełtawa nadające audycje do Czechosłowacji z Drezna przerwało swą działalność.

65-ta rocznica urodzin i 40-lecie pracy naukowej socjologa Jana Chałasińskiego.

M. Moczar wygłosił przemówienie na Zjeździe Duńskiej Partii Komunistycznej w Kopenhadze twierdząc m.in. że przejawem aktywności NRF były ostatnie wydarzenia w Czechosłowacji.

Nowym sekretarzem Episkopatu Polski wybrany został Biskup Bronisław Dąbrowski.

Zmarł w Warszawie Jan Hoppe, dziennikarz i polityk.

St. Turski ustąpił ze stanowiska rektora Uniw. Warsz. Odegrał on ogromną rolę w niszczeniu szczątków autonomii uniwersyteckiej w Polsce i prześladowaniu ruchów studenckich.

Terroryści arabscy ostrzelali w Zurichu izraelski samolot pasażerski. Jeden z terrorystów został zabity.

Sąd wojew. m. st. Warszawy skazał Antoniego Zambrowskiego na 2 lata więzienia.

DATA	POLITYKA
22-2-69	Po spotkaniu kanclerza Kiesingera z ambasadorem sowieckim Czarapkinem zapadła decyzja podjęcia rozmów w sprawie umożliwienia mieszkańcom Zachodniego Berlina odwiedzania rodzin we wschodniej części miasta. W zamian za to Niemcy Zachodnie zrezygnowałyby z przeprowadzania wyborów prezydenckich w Berlinie.
23-2-69	Związek pracowników Telewizji i Filmu w Czechosłowacji uchwalił na Zjeździe w Pradze rezolucję odrzucającą sowiecką teorię o ograniczonej suwerenności państw „socjalistycznych”.
24-2-69	Do Londynu przybył prezydent Nixon, w czasie, gdy między W. Brytanią a Francją doszło do nagłego pogorszenia stosunków na tle ujawnienia przez Londyn francuskich propozycji dotyczących przyszłości Europy Zachodniej.
25-2-69	W dwudziesto-pierwszą rocznicę przejścia władzy przez komunistów w Czechosłowacji, 18-letni uczeń Jan Zajic popełnił w centrum Pragi samobójstwo przez samospalenie.
26-2-69	Przewodniczący Centralnej Rady Czechosłowackich Związków Zawodowych K. Polacek oświadczył, że ZZ nie będą już nigdy „pasem transmisyjnym” przekazującym robotnikom nakazy partii.
27-2-69	Przy KC PZPR powstała nowa „Komisja Ideologiczna” która ma spełniać „poważną rolę w pracy wychowawczej i ideologicznej na szerokim froncie”.

KULTURA I NAUKA

Prasa brytyjska zamieszcza bardzo pochlebne recenzje z wykonanej niedawno w Londynie symfonii Panufnika „Sinfonia Sacra”.

Sonda kosmiczna „Mariner 6” rozpoczęła 5-miesięczną podróż z zadaniem sфотографowania Marsa.

W Warszawie ukonstytuowały się nowe władze Związku Literatów: prezes: J. Iwaszkiewicz. Wiceprezisi: J. Putrament, C. Centkiewicz i J. Przyboś. Członkowie prezydium: J. Lenart, L. Lewin i W. Machajek. Sekretarz: J. M. Gisges.

RÓŻNE

W Londynie zmarła znana działaczka społeczna i polityczna, czynna m.in. w Anglo-Polish Society, Lady Asquith Violet Bohnam-Carter.

W Chicago ogłoszono zamknięcie zbiórki społecznej (\$ 2.000) na pokrycie długu, jaki organizatorzy obchodów Millennium zaciągnęli u firm amerykańskich, które urządały wystawę Milenijną. „Honorowy” Komitet Protektorów Obchodu zobowiązania tego nie uścił, co groziło sprawą sądową.

29-letnia I. Biełgorackaja, córka pułkownika KGB skazana została na rok obozu pracy za posiadanie kilku egzemplarzy petycji intelektualistów rosyjskich domagającej się zwolnienia A. Marczenko.

Siedmiu niewidomych Murzynów zdobyło szczyt Kilimandżaro, by przełamać tradycyjne uprzedzenia do ślepych w Afryce.

Ks. Prałat Wł. Miziołek został mianowany przez Papieża biskupem sufraganiem warszawskim.

Milan Weiner, czołowy komentator telewizji czechosłowackiej, który zdobył olbrzymią popularność w okresie inwazji, zmarł w Pradze w wieku 44 lat.

W Bazylei zmarł wybitny filozof Karl Jaspers. Żył 86 lat.

We Lwowie aresztowano biskupa greko-katolickiego, Bazylego Welyczkowskiego. Aresztowanie nastąpiło w momencie gdy Biskup szedł do prywatnego mieszkania, by wypowiadać umierającego.

DATA	POLITYKA
28-2-69	Po przybyciu do Zachodniego Berlina prezydent Nixon oświadczył, że Stany Zjednoczone uznają w pełni swe zobowiązanie obrony wolności Berlina.
1-3-69	Zdaniem wielu obserwatorów politycznych wizyta prezydenta Nixona w Paryżu może zapoczątkować okres lepszych stosunków między Paryżem a Waszyngtonem.
2-3-69	Nad rzeką Ussuri między Władywostokiem a Chabarowskiem doszło do gwałtownego starcia granicznego między wojskami sowieckimi, a chińskimi. Obie strony nadały temu rozgłos oskarżając się wzajemnie o prowokację.
3-3-69	Socjalistka Golda Meir objęła urząd premiera Izraela.
4-3-69	Gomułka i Cyrankiewicz przybyli do Moskwy na rozmowy w sprawie kryzysu berlińskiego. <i>Izвестia</i> podały, że przywódcy obu krajów zgadzają się co do konieczności wzmocnienia Układu Warszawskiego i RWPG.
5-3-69	Władze wschodnioniemieckie zrywają rozmowy na temat kompromisowego rozwiązania kryzysu berlińskiego. Manewry wojsk sowieckich i wschodnioniemieckich wokół Berlina spowodowały zamknięcie na kilka godzin dojazdu do miasta.
6-3-69	Zgromadzenie Elektorów wybrało w Berlinie Zachodnim socjalistę dr. Gustawa Heinemanna prezydentem NRF większością 6 głosów.

KULTURA I NAUKA

Supersoniczny samolot pasażerski produkcji anglo-francuskiej „Concorde” odbył pomyślnie pierwszy próbną lot startując z lotniska w Toulouse.

3 osobowa załoga amerykańskiego statku kosmicznego Apollo 9 przeprowadza w orbicie ziemi ćwiczenia niezbędne dla przyszłego lądowania na księżycu.

Londyński *Guardian* zamieszcza artykuł swego współpracownika na temat Zjazdu pisarzy w Bydgoszczy zwracając uwagę na panującą tam atmosferę stalinowską. Znani pisarze nie zostali wybrani na Zjazd, a Putrament przejął na siebie rolę „mniej-utalentowanego Erenburga literatury polskiej”.

RÓŻNE

Towarzystwo Litewskie w W. Brytanii obchodziło dzień Niepodległości Litwy. W zebraniu wzięli udział również Polacy, Ukraińcy. Łotysze, Estończycy Gruzini i Anglicy.

Premier Czernik zapowiedział, że jeszcze w tym roku odbędą się wybory powszechne.

J. Putrament wypowiedział się publicznie przeciwko tworzeniu domu towarowego dla młodzieży, ponieważ oznaczałoby to popieranie mody młodzieżowej, która „przynosi szkodliwe rezultaty”.

W końcu ub. roku zmarła w Brazylii znana śpiewaczka Lucja Mantovani, żona prof. Czesława Bieżanko.

Czołowi przedstawiciele komunistycznych władz węgierskich z członkiem Politbiura Nyersem na czele odpowiadali na pytania telefoniczne słuchaczy w programie telewizyjnym. Program nie był z góry przygotowany.

DATA	POLITYKA
7-3-69	Zapowiedź strajku generalnego we Francji spowodowała gwałtownąwyżkę cen złota i groźbę dewaluacji franka.
8-3-69	B. generał sowiecki Grigorenko i b. przewodniczący kołchozu na Łotwie Jachimowicz wystąpili z publicznym apelem wycofania wojsk sowieckich z Czechosłowacji.
9-3-69	W Moskwie odbyły się masowe demonstracje anty-chińskie. W Pekinie odbyły się manifestacje anty-sowieckie.
10-3-69	Prezydent-Elekt NRF dr Heinemann oświadczył, że nad przyszłością armii niemieckiej należy postawić znak zapytania, jeśli wymagać tego będzie interes zjednoczenia kraju.
15-3-69	

KULTURA I NAUKA

Dwaj astronauci amerykańscy przesiedli się po raz pierwszy ze swego pojazdu kosmicznego do kabiny, która mogłaby lądować na księżycu, ale nie może powrócić na ziemię. Astronauci powrócili następnie do kabiny kosmicznej.

W prasie brytyjskiej ukazały się pochlebne recenzje o wydanej w języku angielskim książce L. Kołakowskiego „Marxism and Beyond”.

Czasopismo włoskie *Il Drama* publikuje ostatnią, niedokończoną sztukę B. Pasternaka pt. „Niewidoma Piękność”.

Dr Jerzy Wojciechowski, prof. filozofii na Uniwersytecie w Ottawie, został prezydentem Kanadyjskiego Towarzystwa Filozoficznego.

RÓŻNE

Rząd brytyjski przestrzega swych obywateli, wyjeżdżających w sprawach handlowych do państw Bloku Sowieckiego, przed niebezpieczeństwem prowokacji i szantażu. Prasa doniosła o wypadku takiego szantażu zastosowanego przez władze polskie wobec korespondenta *Financial Times*.

W Warszawie zmarła w wieku lat 66 wybitna pisarka Anna Kowalska.

W Gdańsku zmarł w wieku lat 75 prof. Tadeusz Ocioszyński, zasłużony pracownik gospodarki morskiej.

Dziennik Chicagowski zmienił właściciela. Zakon Zmartwychwstańców, który był wydawcą *Dziennika Chicagowskiego* od ok. 70 lat, odstąpił większość udziałów Zjednoczeniu Polskiemu Rzymsko-Katolickiemu w Ameryce.

Najstarsza organizacja polonijna, Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w Ameryce, licząca ok. 200 tys. członków, która od wielu lat nie brała udziału w pracach Kongresu Polonii Amerykańskiej, ogłosiła oświadczenie, że powraca do K.P.A. i wzywa swoich członków, by włączyli się do prac K.P.A.

Zmarł w Paryżu znany pisarz i publicysta Alexandre Werth. Żył lat 68.

“... Jeśli my milczeć będziemy, kamienie wołać będą”

Słowa te wypowiedział min. Edward Raczyński 17 grudnia 1942 roku przed mikrofonem BBC w Londynie.

Nie szczędził światu wolnemu przykrej prawdy, że z ogólnej liczby trzech milionów stu trzydziestu tysięcy polskich Żydów, ponad jedna trzecia została już przez Niemców wymordowana i domagał się, nie po raz pierwszy zresztą, podjęcia wszelkich środków, które by powstrzymały dalsze okrucieństwa.

Sześć miesięcy wcześniej Gen. Sikorski przed tymi samymi mikrofonami przestrzegał w słowach bardziej jeszcze drastycznych, że „ludność żydowska w Polsce jest skazana na zagładę zgodnie z hasłami: „Wszystkich Żydów wyróżnić bez względu na to, jak się wojna skończy”.

Niestety prorocze były to słowa — Żydów spotkała zagłada a kamienie po dzień dzisiejszy wołać nie przestają.

Jesteśmy świadkami zadziwiającego, ale równocześnie bardzo ludzkiego zjawiska. Im bardziej oddalamy się od tych strasznych dni, tym więcej chcemy o nich wiedzieć, tym bardziej żądni jesteśmy nowych faktów, nieznanych nam dotąd zdarzeń, wspomnień, przeżyć. A potem staramy się złożyć te wszystkie opisy niby klocki w jedną wielką łamigłówkę, doszukując się jednolitego obrazu, zespalającej syntezy, która by nam wiele niezrozumiałych jeszcze elementów wytłumaczyła.

Najprościej byłoby wyjaśnić to zjawisko faktem, że bezpośrednio po katastrofie rany były jeszcze zbyt świeże, pamięć o ludziach i wypadkach zbyt bolesna i że dopiero dzisiaj, w trzecim dziesięcioleciu po katastrofie, zdobyć się możemy na sięgnięcie do dna zdarzeń i ich wymowy. Sprawa wydaje się być jednak znacznie głębsza. Szukając odpowiedzi wyjaśniającej przeszłość, chcemy, aby była ona nam równocześnie pomocą w zrozumieniu naszych spraw dzisiejszych. Więcej jeszcze — szukamy odpowiedzi zasadniczych, ogólnoludzkich. Zapominamy niemal, że bohaterami dramatu byli Niemcy, Żydzi, Polacy i zatracamy poczucie

czasu i miejsca, szukamy stosunku człowieka do człowieka; chcemy zrozumieć siebie na dzisiaj przez spojrzenie wstecz na wczoraj. W tym leży może pozagrobowe zwycięstwo ofiar hitleryzmu, że ich ofiara urosła do rozmiarów ogólnoludzkich, niemal ponadludzkich. W istocie język angielski szukając najwłaściwszego słowa, które by oddało śmierć sześciu milionów Żydów, sięgnął do pojęcia ofiary. Często używane słowo *Holocaust* jest przenośnią, która w istocie oznacza tę najważniejszą część ofiary sakralnej, która była poświęcana płomieniom całkowicie i doszczętnie. Dlatego też często pisze się o „*teologii holocaust'u*”.

Największą stratę poniosło Żydostwo polskie — zginęło całe prawie, i jako zorganizowana społeczność przestało istnieć.

Wiemy już niemal wszystko o jego walce i cierpieniu, ale jeszcze nie wszystko. Wiemy już bardzo wiele o obozach śmierci, o gettach, o powstaniach i doszukujemy się losów przywódców i szarych ludzi. Ale wciąż odkrywamy nowe fakty i nowe zdarzenia i zdajemy sobie sprawę, że daleko jeszcze jesteśmy od globalnego obrazu, od syntezy, której szukamy.

Książką swoją „Kto ratuje jedno życie...” Płk. Iranek-Osmecki zbliżył nas do poszukiwanej syntezy, na odcinku, który sobie zakreslił — stosunku Polaków do Żydów w czasie ostatniej wojny. Wybiegł jednak daleko poza zakresłone ramy. Na książkę składają się dwie części — pierwsza, zatytułowana „Gehenna Żydów”, obejmuje w ogólnym zarysie życie i walkę Żydów pod okupacją; druga, dwukrotnie szersza, wszechstronnie traktuje sprawę pomocy Żydom, zorganizowanej przez społeczeństwo i władze Polski w kraju i na wygnaniu. Ta druga część stanowi trzon studium i zasługuje na specjalną uwagę.

W swym dążeniu do objęcia całości zagadnienia, autor zajmuje się naturalnie także pomocą indywidualną i zbiorową, jak je nazywa — pomocą samorządową i zorganizowaną pomocą cywilną. Nie mógł nie zająć się tym zagadnieniem, chociaż już wiele na ten temat pisano i wzajemnie sobie zarzucano. Naświetla tę trudną sprawę rzeczowo i obiektywnie; wnosi szereg ciekawych szczegółów o Radzie Pomocy Żydom („Żegota”) i jej szlachetnych kierownikach. Stan faktyczny pozostaje jednak ten sam. Oczywiście były setki a nawet tysiące tych, którzy pomagali, ale były miliony, które stały obojętnie po drugiej stronie muru. Nie piszemy tego wyłącznie w formie zarzutu — nie można od wszystkich ludzi domagać się wysiłków często ponadludzkich, za które groziła kara śmierci im i ich rodzinom. Przeciwnie, trzeba z największym uznaniem i podziwem wspominać tych, którzy z samozaparciem ratowali swych żydowskich współobywateli. Niemniej trzeba widzieć rzeczywistość i odważnie prawdzie spojrzeć w oczy. Piszący te słowa niejednokrotnie w słowie i piśmie podnosił wartość ogromnego wysiłku wielu Polaków w ratowaniu Żydów, widział go jednak jako wycinek smutniejszej całości.

Chociaż w Polsce społeczeństwo żydowskie topnieje i jeżeli komunistyczni możnowładcy będą kontynuować swą niepo czytelną antyżydowską nagonkę, może nawet zupełnie przestać istnieć, to

jednak niewątpliwie pozostanie w pamięci pokoleń. Dzięki tym, którzy „ratowali jedno życie”, ta przyszła legenda o Żydach w Polsce będzie mniej tragiczna i mniej bolesna.

Żydzi i Polacy spotykają się dalej na wielkich obszarach świata; niejeden konflikt i niejedna bolesna wymiana zdań na temat przeszłości zaogniają wzajemne współżycie wśród nowych warunków. Wiele spraw nas dzieli; ale równocześnie słowa jak te w wierszu robotnika-Polaka (cytowany w książce):

*„Patrzę na ciebie żydowska dzielnico —
Oczyrna szeroko rozwartymi...
Oczyrna, w które już nieraz zaglądała trwoga,
I dziwić się nie przestaję
I zapytuję sam siebie: czy nie ma Boga?
Boga co traktuje jednak każdego człowieka”.*

zbliżają nas do siebie.

I kiedy po latach rzetelnych wysiłków wydawało się, że zaczynamy rozumieć się i podobnie oceniać wypadki wojenne, propaganda nowej, komunistycznej fali antysemityzmu zaczęła ponownie wysuwać absurdalne zarzuty o „żydowskiej niewdzięczności” za czynną i całkowitą pomoc całego narodu w ratowaniu Żydów. Prasa komunistyczna w Polsce używa wielu krzywdzących i wykrętnych argumentów, usiłując nawet pomniejszyć liczbę Żydów zamordowanych w obozach koncentracyjnych, a przez to ogólną liczbę żydowskich ofiar hitleryzmu. Z przykrością trzeba wspomnieć, że tu i tam prasa emigracyjna powtarza tego rodzaju nieuczciwe chwytły. Czy tylko przez nieświadomość?

Ta nowa sytuacja bardziej jeszcze komplikuje stosunki polsko-żydowskie. Kiedy piszemy o pomocy Żydom i podkreślamy jej altruistyczne znaczenie nie możemy wyzbyć się przykrego uczucia, że pomagamy równocześnie komunistycznej propagandzie, która wykorzystuje pozytywne głosy żydowskie dla swojej niewybrednej anty-żydowskiej kampanii.

Płk. Iranek oczywiście odciął się od wszelkich aktualnych politycznych efektów i w ocenie zagadnienia pomocy przedstawił fakty takimi jakie były i tak jak je widział.

We wrześniu 1968 roku Żyd, zamieszkały w Polsce, przemycił obszerny list zagranicę, opisujący położenie Żydów. W liście tym wraca on również do przeszłości. Oto co pisze o niej:

„Jest niesprawiedliwością oskarżać całe społeczeństwo polskie o współdział w mordowaniu Żydów.

Oczywiście, wielu było Polaków, którzy denuncjowali Żydów przed nazistami, ale było także wielu, którzy ich ratowali, i to często ryzykując własne życie”.

„Kto ratuje jedno życie”... doskonale dokumentuje tę ocenę sytuacji i w tym leży jedna z pozytywnych wartości książki.

Najważniejsze są jednak rozdziały omawiające łączność i pomoc Żydom z Zachodu. Publikując po raz pierwszy w takiej ilości i bogactwie archiwalną dokumentację Rządu Polskiego w Londy-

nie, znajdującą się w *Studium Polski Podziemnej*, Płk. Iranek oddał olbrzymią usługę sprawie stosunków polsko-żydowskich. Specjalnie ważne jest obszerne sprawozdanie (z wieloma załącznikami) Żydowskiego Komitetu Narodowego z 24 maja 1944 roku.

„Kto ratuje jedno życie...” ukazuje się w okresie, kiedy wiele innych książek i artykułów zajmuje się inercją, jeżeli nie obojętnością świata, oczywiście znowu z wyjątkami, wobec żydowskiej tragedii w czasie wojny. Autorzy omawiają z perspektywy historycznej dyplomatyczny *double-talk* konferencji w Evian i na Bermudach, które wręcz odmówiły zajęcia się losem kilkuset tysięcy żydowskich uchodźców, całkowitym fiaskiem projektu ustawy o sprowadzeniu dzieci — uchodźców żydowskich do Stanów Zjednoczonych, tajemniczą peregrynacją raportu „o cichej zgodzie (*acquiescence*) rządu (Stanów Zjednoczonych) na morderstwa Żydów”, który dopiero po wielu wysiłkach dostał się na biurko prezydenta Roosevelta.

Dopiero na tym tle ocenić i docenić można wysiłki władz polskich. Oczywiście zawsze znajdują się krytycy i malkontenci; czasem ich zarzuty może będą nawet oparte na faktach, niemniej nie potrafią one zaciemnić całego obrazu.

Pierwsze wiadomości o losie Żydów świat wolny otrzymywał za pośrednictwem władz londyńskich od Delegatury Rządu i Dowództwa Armii Krajowej. Kiedy w jesieni 1942 roku (nie jest zupełnie jasne dlaczego tak późno) konspiracyjne organizacje żydowskie nawiązały kontakt z Polską Podziemną, korzystały odtąd w pełni z jej sieci kurierskiej i radiowej. Ten kontakt istniał do końca, poprzez tragiczne dni powstania w getcie. Najbardziej cenna dla Żydów była łączność powietrzna — spadochroniarze przewozili korespondencję i pieniądze.

Wystąpienia Rządu Rzeczypospolitej wspomniane były na wstępie; zasługują one jednak na specjalną uwagę. Już w styczniu 1940 roku Rząd przekazał milion dolarów na akcję odżywczą prowadzoną łącznie przez organizacje polskie i żydowskie. Odtąd w niekończącym się łańcuchu oświadczeń, not, wywiadów, przemówień radiowych i na zebraniach publicznych polscy dyplomaci i działacze społeczni domagali się niezwłocznej akcji ratowania Żydów; tylko Polacy jednak i oczywiście Żydzi, nikt więcej, domagali się zbrojnego odwetu na Niemcach za zbrodnie popełniane na Żydach. Rządy alianckie konsekwentnie odmawiały tym żądaniom, twierdząc, że nie leżą one w interesie „wysiłku wojennego”. Alianci woleli debatować na temat ukarania przestępców wojennych po wojnie „w drodze prawidłowego wymiaru sprawiedliwości”, aniżeli ratować niedobitki Żydów pod okupacją w czasie wojny. Szczegóły misji Jana Karskiego, wymiana not i listów pomiędzy Gen. Sikorskim i amerykańskim ministrem Sumner Welles'em, interwencje ambasadora Papégo w Watykanie, tworzą w książce wiążącą się i interesującą całość.

Płk. Iranek dokonał wielkiej pracy udostępniając wszystkie te dokumenty i w tym leży bodaj największa wartość i historyczne znaczenie jego pożytecznej książki. Dodać do tego należy dotąd

nieznane szczegóły pomocy finansowej udzielanej Żydom w Polsce przez Rząd w Londynie i pośrednictwa w przekazywaniu funduszków z Zachodu, przede wszystkim Bundowi, Żydowskiemu Komitetowi Narodowemu i Radzie Pomocy Żydom. Dodać należy, że przekazywał Londyn poważne kwoty pieniężne nie tylko organizacjom ale także poszczególnym jednostkom.

Autor sumuje — „Ogółem organizacje żydowskie w Polsce otrzymały za pośrednictwem Delegatury Rządu walut przewiezionych z Zachodu przez spadochroniarzy Armii Krajowej ponad jeden milion dolarów, a z budżetu państwowego wypłacono Żydom w Polsce trzydzieści siedem milionów czterysta tysięcy złotych polskich i pięćdziesiąt tysięcy dolarów”.

Trudno jest ocenić, czy było to dużo czy mało; czy można było wysłać więcej. Nie o statystykę tu jednak chodzi. Przewożąc te fundusze spadochroniarze ryzykowali życie; wielu z nich zginęło w drodze albo byli aresztowani przez Niemców po przyjeździe do Polski. Cały aparat Rządu na wygnaniu i Polski Podziemnej zaangażowany był w tę akcję. Płk. Iranek dokumentuje te fakty depeszami i korespondencją pomiędzy Londynem i Warszawą. Bezcenne to dokumenty.

Z pewnymi jednak wnioskami autora pogodzić się trudno. Uczciwość recenzenta nakazuje zajęcie się choćby po krótko najważniejszymi z nich.

Rozdział o *Judenrat*ach znacznie upraszcza zagadnienie. Przede wszystkim różniły się one pomiędzy sobą w wielu miastach i miasteczkach kraju. Autor powołuje się na opinie trzech dowolnie wybranych autorów, z których jeden tylko jest historykiem. Nie tylko nie wyczerpują one tematu, ale przedstawiają sytuację w zbyt czarnych kolorach. Trzeba zawsze pamiętać, co stałoby się z ludnością, gdyby przywódcy odmówili zorganizowania *Judenratu*, jakie represje Niemcy mieli w zanadru, kto zająłby się aprowizacją i zdrowiem mieszkańców getta. Musimy pamiętać, że w olbrzymiej ilości wypadków, szczególnie w późniejszym okresie, działacze organizacyjnych po prostu zmuszano do pozostania w *Judenrat*ach. Podobnie uproszczeniem byłoby mówić o „bierności” Żydów pod okupacją. Tam gdzie była najmniejsza nadzieja zwycięstwa nad wrogiem, Żydzi walczyli. Dotyczy to przede wszystkim oddziałów partyzanckich w lasach. Oczywiście w gettach, gdzie nie było żadnej szansy zwycięstwa, Żydzi chwyтали za oręż dopiero w ostateczności. Ale nawet pozorna bierność nie była nią w istocie — Żydzi walczyli do końca o przeżycie; jak słusznie Filip Friedman (cytowany w książce) powiedział:

„... gdy większość innych narodów ma puściznę w bohaterstwie, które rozumie się przez fizyczną i wojskową siłę, w naszym wypadku pojęcie bohaterstwa jest prawie zawsze związane z ideą odwagi duchowej”.

To prawda — nie było nawet cienia romantyzmu w postawie Żydów w gettach, ale nie było też bierności. Była to walka o przetrwanie — fizyczne i duchowe.

W istocie — religijne żydostwo wierzyło raczej w świętość życia, aniżeli w uświęcenie męczeństwa. Żydzi wierzyli, że celem wroga jest ich wyniszczenie, a więc zwyciężą, jeżeli przeżyją. Toteż twierdzenie autora: „Poddawano się biernie przemocy” stanowi raczej uproszczenie tego trudnego zagadnienia. Do tej samej kategorii zaliczyć można zarzuty, że Żydzi nie przystąpili do walki wyzwolenczej, że „nie kwapili się z dalszą ofiarą krwi... ani też nie okazali chęci — poza pojedynczymi wypadkami — do włączenia się w polski podziemny nurt polityczny kraju”. Można i trzeba odpowiedzieć na nie faktami z życia Polski przedwojennej. Do „włączenia się” trzeba zgody obu stron. Cała książka płk. Iranka pisana jest w sposób subtelny; autor usiłuje przedstawić fakty, unika polemiki. Nadaje to tekstowi przyjemny, pozytywny rytm, nastraja do autora i tematu przychylnie.

Ta delikatność zawodzi jednak w specyficznych wypadkach. Do nich należy sprawa antysemityzmu w przedwojennej Polsce. Trudno pisać o nim idyllicznie. Trudno jest przyjąć, że to znaczny procent ludności żydowskiej, przewaga Żydów w niektórych dziedzinach „obudziły w nacjonalistycznych sferach polskich tendencje antysemityczne” a „dążenia do ograniczenia praw Żydów przeniosły się nawet na teren wyższych uczelni”.

Piszący te słowa pamięta jak jeszcze w roku 1924, po sześć tygodni trwającym walnym Zgromadzeniu Koła Prawników Studentów Uniwersytetu Warszawskiego, usunięto z niego „Żydów i tych, którzy porzucili wyznanie mojżeszowe”, jak Bratnia Pomoc od kilku lat już była zamknięta dla Żydów, i jak rok czy dwa przed wojną Żyd nie mógł usiąść przy stole w pokoju adwokackim, bo umieszczono na nim napis „tylko dla adwokatów-Polaków”.

Czy przez przypomnienie tych faktów zmienia się nasz stosunek do Polski, do Polaków, do polskiej kultury i historii? W każdym razie nie stosunek piszącego te słowa; przeciwnie — na tym tle uwypuklają się jeszcze bardziej piękne sylwetki kolegów-Chrześcijan którzy walczyli z antysemitycznymi wnioskami, którzy usunęli napis ze stołu w pokoju adwokackim, którzy zachowali się godnie wobec swych kolegów pod okupacją.

Nie znam osobiście płk. Iranka-Osmeckiego. Znam go z korespondencji i z reputacji; z obu źródeł wyniosłem obraz człowieka szlachetnego, który woli czasem wygładzić pewne fakty, aby nie wywołać niepotrzebnej reakcji albo kontrowersji. Rozumiem go, ale może, trzydzieści lat po katastrofie, byłoby lepiej, gdybyśmy powiedzieli sobie głośno o tym, co jeszcze ciągle tkwi w nas i boli. Możebyśmy uzgodnili wreszcie że, niestety, wbrew opinii autora, Żydzi nie osiągnęli w Polsce „najwyższych stanowisk w wojsku polskim”, nie „uzyskiwali stopni generalskich”, nie „dowodzili pułkami i dywizjami”, nie „zajmowali stanowisk wiceministrów, wojewodów” i nie „pełnili naczelnych funkcji w policji państwowej”. Może znalazłyby się wśród nich jednostki, które „porzuciły wyznanie mojżeszowe”; byłyby to niewątpliwie postęp w porównaniu z rasistowską decyzją studenckiego Koła Prawni-

ków, niemniej i w tym wypadku nie można mówić o „Żydach”.

Ta dyskusja na marginesie książki nie umniejsza jej ogromnego znaczenia i podziwu godnego wysiłku autora. Najważniejsza w niej jest dokumentacja dotycząca ciągłych interwencji Rządu Rzeczypospolitej na rzecz prześladowanych Żydów, troska o ich los i pomoc, udzielana oczywiście w miarę możliwości. Ale wiele innych rozdziałów czyta się z rosnącym zainteresowaniem, począwszy od zarysu historii Żydów w Polsce przedrozbiorowej aż do „wyrazów wdzięczności” za udzieloną pomoc. „Było też inaczej” — pisze autor — „pomoc udzielana Żydom nie zawsze była odwzajemniana uczuciem wdzięczności”. Czym jednak są słowa zgorzkniętych jednostek w porównaniu z akcją państwa Izraela, które ustanowiło specjalny medal „Sprawiedliwych” i sieje las drzew, upamiętniających każdy indywidualny akt pomocy.

Wdzięczni jesteście pułkownikowi Irankowi-Osmeckiemu za tę „krwιά stuleci spisana historię tragiczną — dzieje dwu najsmutniejszych narodów na ziemi”. (Słonimski).

Józef LICHTEN

Bibliografia czasopism polonijnych w U.S.A.

Z końcem ubiegłego roku ukazała się w Chicago praca znanego polsko-amerykańskiego bibliografa, Jana Wepsięcia, pt. „Polish American Serial Publications 1842-1966”. Praca ta zapełnia jedną z najdotkliwszych luk w zakresie badań prasoznawczych polskiej diaspory, gdyż Polonia Amerykańska, najstarsze i najliczniejsze skupisko Polaków poza granicami kraju, rozwijała od połowy ubiegłego stulecia bardzo ożywioną działalność wydawniczą.

Autor ma poza sobą już szereg publikacji bibliograficznych z zakresu czasopiśmiennictwa, poświęconych produkcji wydawniczej Polski Ludowej, że wymienimy tu tylko „Polish Periodicals 1953-1956” (Washington, D.C., 1958), oraz „Polish Serial Publications 1953-1962” (Chicago, Ill., 1964), co stanowiło zarówno zaprawę, jak i zachętę do podjęcia nieporównanie trudniejszego zadania, jakim jest bibliografia retrospektywna czasopiśmienniczych poloników amerykańskich za okres stu dwudziestu pięciu lat.

Zasługa Wepsięcia jest tym większa, że opracowując swój katalog poloników amerykańskich, musiał przedzierać się przez teren prawie dziewiczy. Cała bowiem „historiografia” prasy polonijnej, jaką zastał, sprowadza się do kilku przyczynków (Nagiel,

Osada, ks. Kruszką, J. Skrzypek), oraz jednej angielsko-języcznej próby naszkicowania jej historii w najogólniejszych zarysach (Olszyk), zaś bibliografia przedmiotu prawie że nie istnieje.

Wepsięć we wstępie wspomina wprowadzie rejestry prasy polsko-amerykańskiej, które przed nim zestawiono, niestety prace te spełniają tylko pożyteczną rolę orientacyjną, nie wytrzymują natomiast krytyki jakiej poddaje się prace naukowe, gdyż są bardzo niekompletne, jednostronne, i nie są oparte o źródła archiwalne czy biblioteczne. Odnosi się to przede wszystkim do tandetnie opracowanej, i takżę wydanej, księgi adresowej pt. „Zjednoczona Prasa Polska w Ameryce” opublikowanej w Chicago w r. 1948. Wyjątek stanowi cenne studium E. Willging i H. Hatzfeld: „Nineteenth Century Polish Catholic Periodical Publications”, ale rzecz ta dotyczy jedynie drobnego wycinka, zarówno chronologicznie jak i tematycznie, interesującego nas tutaj zagadnienia. Wreszcie: wspomniane prace Zielińskiego i Kowalika, załedwie w części dotyczą prasy w Ameryce, gdyż poświęcone są prasie polonijnej w zakresie globalnym.

Lecz przypatrzmy się bliżej dziełu. Jest to zestawienie polsko-amerykańskich periodyków, ukazujących się w Stanach Zjednoczonych w czasie od 1842 do 1966 roku. Data wyjściowa zaskoczy zapewne opinię publiczną, która powstanie prasy polonijnej kojarzy z rokiem 1863, kiedy to pojawił się w Nowym Jorku periodyk „Echo z Polski”. Wepięć, najstuszniej w świecie, przesuwą datę powstania prasy polonijnej w Ameryce o przeszło dwadzieścia lat wstecz, zaczynając swoją bibliografię rokiem 1842-gim, czyli pojawieniem się wydawnictwa Sobolewskiego i Wyszyńskiego pt.: „Poland — Historical, Literary, Monumental and Picturesque”.

Jakie publikacje wchodzą w zakres bibliografii? Publikacje „dotyczące Polaków w Stanach Zjednoczonych albo w Polsce, wydawane przez Polaków lub amerykańskie instytucje, a ogłoszone w Stanach Zjednoczonych w czasie od 1842 do 1966 roku, w jakimkolwiek języku, drukiem lub pokrewną jemu techniką, w celach handlowych, albo dla ograniczonego koła odbiorców”. Druki dotyczące Europy Środkowej jako całości, a nie wydawane przez Polaków, zostały słuszenie usunięte poza nawias rejestru.

Poloniców spełniających wymienione wyżej warunki zestawiono imponującą liczbę, bo aż 1.201. Autor podaje tytuł każdej pozycji, wydawców i miejsce wydania pism, częstotliwość ukazywania się, i przy większości z nich, nazwiska redaktorów. Opis bibliograficzny kończy krótka adnotacja, zawierająca charakterystykę wydawnictwa, i klasyfikującą jego przynależność dziennikarską.

W pracy swej opierał się Wepięć na materiale autopsyjnym dwudziestu amerykańskich bibliotek, które wymienia na stronie 11, jak również na materiale archiwalnym prywatnych zbiorów redaktorów i wydawców. Zwraca uwagę pominięciu Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku, który posiada zasobną kolekcję czasopism emigracyjnych z lat 1939-1950.

W większej jeszcze mierze wykorzystane zostały wszelkiego rodzaju drugorzędne źródła, a więc oficjalne bibliografie amerykańskie („Gregory”, „Union List of Serials in USA and Canada”, „New Serial Titles”), katalogi prasowe Ayer’a i Rowell’a, bibliografie Zielińskiego, Kowalika, Kazimierzy Tatarowicz, Hatzfeld-Willging, Olszyka, oraz wspomniane już na wstępie przyczynki historyczne.

Powstaje pytanie w jakim stopniu wyczerpał autor temat? Można przyjąć z dużym prawdopodobieństwem że ujął on 85-90 procent całości dorobku czasopiśmienniczego wyprodukowanego przez Polonię Amerykańską. Z porównania tytułów jego bibliografii z tytułami centralnego katalogu roboczego polskiej prasy emigracyjnej, jaki istnieje w *Polish Emigre Press Archive* w Sunnysvale w Kalifornii, wynika, że jeśli chodzi o Polonica-Americana z lat 1939-1966 to bibliografia Wępsięcia opuściła przeszło 40 tytułów. Jest to znikomy „rozkusz” bibliograficzny, jak na katalog o przeszło tysiącu pozycji, i chodzi tu głównie o trudno uchwytnie wydawnictwa grup wyznaniowych, organizacji społecznych, biuletyny ziomkowskiich zrzeszeń i publikacje amerykańskich agencji federalnych.

Przyjrzyjmy się z kolei technice zapisu bibliograficznego. Wępsięc operuje tzw. skróconym opisem bibliograficznym, złożonym z kilku standartowych elementów, właściwym większości współczesnych amerykańskich „Union List”, używanych do rejestracji wydawnictw periodycznych. Posuwa się tak daleko, że opuszcza podtytuł wydawnictwa, zużywając zawarte tam elementy do swoich końcowych adnotacji. W wielu wypadkach, adnotacje te są dosłownym angielskim tłumaczeniem podtytułu polonijnego wydawnictwa. W „amerykanizacji” swej techniki posuwa się tak daleko, że w zapisie tytułów polskiej prasy pomija polskie znaki diakrytyczne. To wypranie opisu bibliograficznego z historycznego czy regionalno-polonijnego kolorytu sprawia, że mamy tu do czynienia raczej z tzw. bibliografią stosowaną, czyli po prostu katalogiem, a nie bibliografią w tradycyjnym jej ujęciu.

Mocną stroną zapisu jest lokalizowanie każdego wydawnictwa, w jednej lub kilku bibliotekach na terenie Stanów, przy czym autor usiłuje określić nawet objętość danego zbioru. Podnosi to niesłychanie wartość użytkową jego książki, i stanowi najmocniejszą jej stronę.

Jak każdy twór ludzkiej niedoskonałości, bibliografia Wępsięcia posiada niedociągnięcia i błędy. Jedne z nich są konsekwencją nie opanowania w szczegółach całokształtu zbyt obszernego materiału. Należą tu niezgodne z rzeczywistością daty, błędne określanie periodyczności wydawnictwa, rozszczepianie jednego wydawnictwa na dwa różniące się jakoby od siebie, i na odwrót, i powtarzanie błędów przejętych „na wiarę” z opublikowanego już źródła. Takich błędów jest w bibliografii Wępsięcia sporo, i wyliczanie ich rozszerzyłoby recenzję poza zakresłone jej granice. Zresztą błędy tego rodzaju odkrywa każdy autor prędzej czy później sam, i poprawia w następnym wydaniu bez rozgłosu.

Druga kategoria błędów trafiających się w bibliografiach wynika z nastawienia duchowego badacza, czasem z uprzedzeń, wreszcie z braku perspektywy historycznej. Konsekwencje, jakie stąd dla dzieła wypływają, są poważniejszej natury.

W książce Wepsięcia widoczne są, moim zdaniem, dwa takie nieporozumienia. Jedno dotyczy formy, a drugie treści jego pracy. Wszystko przemawia za tym, że praca jego pomyślana została jako pomoc naukowa dla obcokrajowców, i autor czyni wszystko, ażeby temu odbiorcy ułatwić korzystanie z dzieła. Rzecz w tym, że czyni to kosztem dokładności opisu bibliograficznego, i kosztem kaleczenia języka polskiego. Podtytuły pism, które z reguły zostały wszędzie opuszczone, są integralną częścią tytułu wydawnictwa, i opisu bibliograficznego. Podtytuł ma do spełnienia określone funkcje, i albo podaje częstotliwość ukazywania się pisma, jak również odbiorców, do których się wydawnictwo zwraca, wreszcie wskazuje związki danego pisma z innymi wydawnictwami, z których jego współczesna forma się wywodzi.

Wreszcie, w samym rejestrze, w szeregu jednakowo brzmiących tytułów, pomaga na pierwszy rzut oka odnaleźć pismo, którego się szuka. Zajestrowanie czasopisma jako „CEPY”, a zarejestrowanie tego samego czasopisma jako „CEPY. Jedyne antyklerykalne pismo polskie w Stanach Zjednoczonych” (przykłady są dowolne — J.K.), to nie to samo. Uwaga bibliografa, że chodzi o pismo antyklerykalne, nie naprawi sytuacji, gdyż może być rozumiana jako informująco-wartościująca uwaga autora, który w ten sposób zechce określić ogólną tendencję pisma, a nie odzwierciedla faktu, że pismo samo o siebie, w podtytule tę swoją antyklerykalność w bojowy sposób podkreśla. „POLSKA — Tygodnik Obozu Ludwigsburg”, czy „POLSKA — Tygodnik Polaków w ZSRR”, mają inną wymowę, niż „POLSKA”. Ludwigsburg, lub „POLSKA”. Kujbyszew.

Opuszcza też Autor w tytułach polskich wydawnictw polskie litery i polskie znaki diakrytyczne. Gdyby istniała już bibliografia analityczna polsko-amerykańskich periodyków, katalog Wepsięcia w swej obecnej formie można by usprawiedliwić. Ponieważ jest to jednak pierwsza bibliografia z tego zakresu, na źródłach oparta pionierska praca, która służyć będzie bibliotekarzom jako pomoc przy katalogowaniu, do której zwracać będą się w wątpliwościach przy uotóżsamianiu danego wydawnictwa, spoczywa na niej obowiązek pełnego, wiernego opisu bibliograficznego, ze znakami diakrytycznymi włącznie.

Fakt że katalogi „unijne” nie uwzględniają polskich liter i akcentów, nie jest usprawiedliwieniem, gdyż są to katalogi, zaś Wepsięć dzieło swoje nazywa „Adnotowaną Bibliografią”. Zresztą znane i poważne bibliografie stosują znaki diakrytyczne, taka np. „Deutsche Bibliographie-Zeitschriften 1945-1952”, lub klasyczna „German-American Newspapers and Periodicals 1732-1955”, albo prof. Fritza Blasera „Bibliographie der Schweitzer Presse”, który w dwutomowym naukowym dziele notuje setki obcojęzycznych tytułów prasy wydawanej w Szwajcarii przez emigrantów

politycznych, i którzy np. na str. 170 poprawnie notuje: „*Biuletyn Koła Inżynierów-Żołnierzy Obozu Uniwersyteckiego Winterthur*”.

Drugie nieporozumienie dotyczy treści bibliografii. Obeznan z prasą polonijną czytelnik zauważy, że w dziele Wepsięcia wydawnictwa polonijne z XIX, i z pierwszych trzech dziesiątków lat XX wieku, opracowane są bardzo starannie, i pieczołowicie sprawdzane. Natomiast u większości wydawnictw z okresu wojny, i z lat po drugiej wojnie światowej, spotykamy opisy niezgodne z rzeczywistością, albo zawierające sporo nieustalonych szczegółów, jak błędne lub nieustalone daty, brak nazwisk redaktorów, i to w wypadkach, kiedy o ustalenie tych danych wcale nie było trudno. Oto klasyczny przykład ilustrujący ten stan rzeczy. Znana w świecie, poważna agencja prasowa w Nowym Jorku „Inter-Catholic Press” została opisana w bibliografii następująco: „Inter-Catholic Press Agency, Inc., New York. [PRESS RELEASES: WERSJA POLSKA] 1946 — New York. Irregular. Editor: Ignatius Olszewski. [Press releases in Polish, covering religious, cultural and social news from Poland]”.

Trudno o więcej błędów w jednym opisie. INTER-CATHOLIC PRESS AGENCY, INC. wydawała w latach od 1946 do 1966 *regularny, tygodniowy lub dwutygodniowy serwis prasowy*, tak w *języku polskim*, jak i w *angielsko-języcznej edycji*. Kiedy zaś zmuszona została okolicznościami do zaprzestania tych wydawnictw, *ogłasza dorywczo*, a więc *nieregularnie*, tzw. „press releases”, które jednak do bibliografii *druków ciągłych nie należą*, gdyż ze względu na swą dorywczość i brak stałego tytułu *nie są wydawnictwem ciągłym*. INTER-CATHOLIC PRESS redagowany był przez franciszkanina *Marianą Wójcika*, przedwojennego redaktora „Małego Dziennika”, a po jego śmierci w dniu 26. VIII. 1956, redakcję prowadził ks. *Ignacy Olszewski*. Szefem grupy ludzi która Agencję założyła był, i jest do dziś, książe Jan Drucki-Lubecki. Komplet wydawnictwa znajdują się w kilku instytucjach w Nowym Jorku. Podobnie powierzchownie potraktowana została inna agencja prasowa w Nowym Jorku, której wydawcą był Klaudiusz Hrabek, zaś trzecia z rzędu, *Katolicka Agencja Prasowa*, działająca w czasie wojny pod red. Czesława Bittnera w Nowym Jorku, została przemilczana. Nie można się również zgodzić, jak to ma miejsce w wypadku ACPCC BULLETIN, z opuszczaniem miejscowości wydawniczych danego periodyku tylko dlatego, że ukazywał się on w kilku kolejnych miejscach. Podaje się wtedy miejsce publikacji pierwszego numeru, albo numeru najświeższego, lub najlepiej kolejno wymienia się wszystkie miejscowości. Zbycie problemu uwagą „Place of imprint varies” nie jest bibliograficznym rozwiązaniem sprawy.

Wypadki podobnego powierzchownego potraktowania periodyków z okresu wojny i po wojnie są tak częste, że budzą podejrzenia o niedocenianie tych publikacji. Byłoby to w niezgodzie z podstawową zasadą dokumentacji. Dla archiwisty i bibliografa nie istnieją mniej lub bardziej ważne druki i dokumenty, jeśli zestawia rektrospekcyjny rejestr wszystkiego co ujrzało światło

dzienne. Jeśli chce dokonywać wyboru, wtedy powinien zaznaczyć, że jest to bibliografia selekcyjna.

Na koniec kilka uwag o charakterze bibliografii zalecającej. Na str. 21 Wepścię ogłasza listę zatytułowaną „*Bibliographies and Studies of Polish-American Serial Publications*”.

Ponieważ osobno na innym miejscu podaje autor spis wykorzystanych źródeł (pominąwszy zresztą niektóre z nich), należy przyjąć, że „*Bibliographies and Studies...*” są rodzajem bibliografii zalecającej dla studentów prasoznawczych zagadnień Polonii.

Pomysł jest celowy i godny uznania pod warunkiem, że będzie to starannie dobrana, i metodycznie według stopnia trudności i zakresu tematyki, zestawiona lektura. W formie w jakiej ją podano, jest to nieprzemyślana i chaotyczna kompilacja wartościowej publicystyki i rzetelnych studiów, pomieszanych z ogólnikowymi artykułami, oraz pseudo-bibliografiami, w rodzaju Jana Fiebiga: „*Prasa Polonijna w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej*”; z pominięciem takich pozycji, jak Janiny Kurdelskiej „*Katalog emigracyjnych wydawnictw periodycznych 1830-1939 w Bibliotece Kórnickiej*” albo „*Newspaper Lists Compiled by the American Council for Nationalities Service: (Polish Publications in the United States)*”, (New York, 1964), czy nawet Ks. Fr. Bolka „*Who's Who in Polish America, 3rd Ed.*” (New York, 1943).

Zajęliśmy się szczegółowiej pionierską pracą Jana Wepścięcia, gdyż jest to dzieło, które w pełni na specjalną uwagę zasługuje, oraz w nadziei, że poruszone tutaj niedociągnięcia i błędy przyczynią się, być może, do wydania w przyszłości pełniejszego i doskonalszego drugiego wydania tej ze wszechmiar pozytywnej pracy.

Jan KOWALIK

Socjologia sercem pisana

Czy zdołaliśmy, emigranci, rzuceni ostatnią wojną w niezliczone kraje świata, przetłumaczyć nas samych, los i oblicze Polski, ludziom, społeczeństwom, instytucjom, rządów? Ileż razy próbowaliśmy to robić w takich, czy innych okolicznościach. W takich, czy innych, to znaczy bądź sprzyjających z racji atmosfery „Polska natchnieniem narodów”, lub wręcz wrogich po wojnie, kiedy podarowano nam, w ich pojęciu, „wolną ojczyznę”, a my mówiliśmy „o zdradzie sojuszników” i upieraliśmy się o jakąś inną wolność.

Nie była to zabawna przygoda, kiedy przyjaciel Szkot-nacjona-

* Alicja Iwańska: *Świat przetłumaczony*, Instytut Literacki, Paryż, 1968.

lista po długich rozmowach o sytuacji Polski wobec Rosji po Jaćie i Teheranie odpowiedział: Rozumiem, Polska teraz to tak jak Szkocja i Anglia. Albo druga, kiedy pytani na policji, czy ktoś nas namawiał do powrotu do Polski, odpowiadaliśmy drwiąco z gorzkim humorem: Tak, Bevin.

Daremne były „prywatne lekcje” przetłumaczenia Polski.

Na wizytach przyjaciele Anglicy dziobali delikatnie nasze narodowe potrawy, nie mogąc przełknąć marynowanego śledzia i krzywiąc nosy na zapach bigosu. Symboliczna „katedra sandwiczów” nie budziła ich entuzjazmu.

Wszyscy, bezwiednie, czy świadomie, ludzie prości, czy inteligenci, staraliśmy się w krajach zamieszkania być ambasadorami polskości: w domach prywatnych, w działalności politycznej i społecznej, w towarzystwach polsko- plus wszystkie nacje, w których nam żyć wypadło.

Bądźmy sprawiedliwi. W swej skwapliwości przetłumaczenia im naszego świata zapominaliśmy o nich, o ich świecie i osądzaaliśmy gorzko i surowo, a jakże często i pogardliwie, tę niemożność zrozumienia naszej prawdy, naszych potraw, obyczajów, naszego temperamentu, typowo polskiej egocentrycznej postawy wobec świata, widzenia poprzez Polskę ich obyczaju, ich prawd, zrośniętych z ich psychiką i sposobem myślenia.

Po latach przetłumaczyliśmy trochę z nas obcym. Stało się to dzięki temu, że zrezygnowaliśmy z niemądrego narzucania Polski tak im obcej jak czytanki szkolna o imieninach w elementarzu indiańskiego dziecka pod Meksykiem, które imienin nie obchodzi. Zrezygnowaliśmy z idei, zaczęliśmy szukać konkretów. Najpierw uczyliśmy się poznawać ich świat i znajdować jakieś paralele z naszym, a tym samym swoje u nich miejsce. Z każdym krokiem w to obce podszyszywaliśmy je naszym, polskim, często pasującym ku naszemu zdziwieniu. W pasowaniu, prawda, były szczeliny. Budowa miejsca w obcym świecie chwiejna jest i wątpliwa. Ale ocalamy to, co daje usprawiedliwienie bycia tu naszego — obcych. Chcieliśmy nie być obcymi. Chcieliśmy, aby nas przyjęto. I ciągle o to walczyliśmy, bo przecież nie można być wiecznie *gringos*.

A więc przysłowiowe „stoń i sprawa polska” — odwrócone. Cudza sprawa zrozumiana, a nade wszystko odczuta przez ciągłe przymierzanie jej do naszej, polskiej.

Takie bliskie nam, ale dziwne jednak i trudne zagadnienie, uproszczone przeze mnie i przybliżone przez to uproszczenie, podejmuje znacznie głębiej, subtelniej i docieklawiej Alicja Iwańska w swej powieści „Świat przetłumaczony”.

Wybiera formę ni to powieści, ni to pamiętnika, operując kilkoma płaszczyznami zdarzeń i faktów, zachodzącymi na siebie. Kompozycja raczej trudna dla upartych zwolenników fabularnej powieści klasycznej, a tak interesująca dla cierpliwego poszukiwacza nowych form tego rodzaju literackiego. Jeszcze jedna powieść „nowoczesna”, można by powiedzieć za przeciętnym czytelnikiem. I chyba tak, jeśli się weźmie pod uwagę zasadniczą ideę powieści. Iwańska wypowiada siebie i swoje widzenie świata

ale w ścisłym zespoleniu z treścią, którą przedstawia w najlepszym tego słowa znaczeniu „staroświecko”. Kilka płaszczyzn nie zaciemnia kompozycji. Fabuła jest fascynująca, a konflikt rozwiązany *par excellence* romantycznie. Powieść jest logiczną, filozoficzną wizją świata i niezmiernie głęboką nad nim zadumą. Socjologiczna homologia struktur społecznych, określona bezbłędną logiką i filozoficznym dociekaniami, tak charakterystycznym dla autorki (profesor socjologii na uniwersytecie w Stanach Zjednoczonych), jest podszyta niespodziewaną gorącą uczuciowością. Utożsamiając się z narratorem powieści, sama, jako jej autorka, jest jedną z postaci. Bierze udział zarówno w chłodnej ocenie struktur społecznych, jak i rozsądza naukowy sposób badania zagadnienia homologii tych struktur na wskroś przecież romantyczną intuicją, przymierzaniem do przedmiotu badań balastu polskiej przeszłości i polskiej rzeczywistości.

Źródłem poznania jest także intuicja, kiedy „logiczne pytanie nie wystarcza, aby otrzymać odpowiedź”. Prawda objawia się także w „znaczących” snach, jeśli się wierzy, że „Freud jest na ogół źle interpretowany, bo freudowska etyka była tylko etyką rozumu i woli, mozolnym poszukiwaniem kształtu, a nie, jak myśli wielu, poddaniem się chaosowi sprzecznych uczuć”.

Przede wszystkim etyka w czyhaniu na cudzą dogłębną i utajoną prawdę. Dodanie do metodologii badań społecznych szacunku dla człowieka obcego, prostego, prymitywnego, analfabety; z góry założone *humanitaire* — po prostu miłość do człowieka w ogóle, a na codzień i dobroć rozdawana w prosty nie narzucający się sposób. A to już chyba raczej elementy dziewiętnastowieczne, z których składa się ta nowoczesna powieść. To właśnie stawia ją na nieco odrębnym miejscu choćby w rejestrze ostatnich wydawnictw Instytutu Literackiego. Sielanką wydaje się po okrutnej wizji świata Hłaski, którego bohaterzy w „brudnych czynach” protestują przeciw spletanemu światu, czy obok czarnych fresków Tyrmanda i Stalińskiego.

Iwańska wkracza w realny ludzki świat w symbolicznej „win-dzie z deszczu”, aby przekazać nam go poetycko, jeśli utożsamia poezję z tym, co przywykliśmy nazywać pięknem wewnętrznym.

Młoda Polka, niegdyś żołnierz Powstania Warszawskiego, przeprowadza badania socjologiczne na temat: Kontakt społeczny między Indianami i nie-Indianami w świetle narodowej ideologii meksykańskiej.

Mbayo i Las Animas, dwie wsie odległe o kilkadziesiąt kilometrów od Meksyku, mają dostarczyć materiału do tej pracy. Pierwsza zamieszkała przez Mazahuów, druga przez Meksykańczyków. Właściwie ludzie z obydwóch wsi są potomkami pierwotnych mieszkańców tej ziemi, Indian, spadkobiercami wielkiej kultury olbrzymiego państwa Azteków, jakie tu było przed odkryciem Kolumba. Tenochtitlan — miasto Meksyk — w roku 1521 podbija hiszpański Cortez. Wspominając tę historię autorka zestawia obronę Tenochtitlanu z Powstaniem w Warszawie:

„A bronili się oni jeszcze dłużej niż my, bo aż 91 dni...

Cuauhtémoca złapano i Cortez obwoził go potem po całym kraju sadystycznie i miłośnicie... Ci, których Cuauhtémoc nie mógł sobie w najbardziej fantastycznych fantazjach wyobrazić (a młody cesarz był intelektualistą), wybudowali mu potem pomnik i teraz po wiekach i latach mówi się, że nasze Beznadziejne Obrony miały znaczenie symboliczne... My także mamy swój pomnik w Warszawie. Co roku w rocznicę wybuchu Powstania dla pomnika wieniec. Co roku w rocznicę poddania się Tenochtitlanu, wieniec dla Cuauhtémoca... Dlaczego tu poddanie, a tam wybuch? Jakie znaczenie ma ta nieregularność historii?"

Donia Marylita przechodzi długą drogę, zanim przymierzając naszą polską sprawę do tych ludzi zrozumie ich sercem i socjologicznie. Pokocha tych z Mbayo, którzy, zapomniawszy historii pradawnej, w dalszych burzliwych dziejach Meksyku nie stali się, jak ci z Las Animas, Meksykańczykami o hiszpańskich obyczajach, ale ciemni i „Nie-wiedzący” ocalili jednak dumę swego szczepu, nazywając siebie już nie Indianami ale Mazahuami, którzy ocalili obyczaj splecione już z obyczajami przyjętej od Hiszpanów religii katolickiej. Chcą być Meksykańczykami, zachowując imię, język i obyczaj szczepu. I za najważniejsze wydarzenie w swoich dziejach uważają nie fakt przyjęcia chrztu z rąk Hiszpanów, ale jedną z rewolucji, która zakończyła czasy haciendy i dała im ziemię.

Ostatecznie zamiast uczonego studium socjologicznego napisze Donia Marylita księgę uzgodnioną w każdym słowie z „panami z Mbayo”: *El libro de Mbayo por la gente de Mbayo*, księgę o przeszłości dla przyszłości, bo, jak mówi Don Edmundo „nie ma przyszłości bez przeszłości”.

Jest to księga o nich: o ich życiu, zajęciach, obyczajach, wierzeniach. Wbrew buntowniczej naturze inspiratorki z księgi wyrzucają to, co dla niej było cały czas szukaniem w ich dziejach i w swojej o nich powieści punktu kulminacyjnego. Usuwają tragiczną historię z roku 1948, kiedy zabito w pobliskiej wsi w górach amerykańskiego weterynarza „Gringa”, bo uśmiercał zarżone bydło. Dlaczego usunięto ten rozdział? To długa historia. Mądry Don Edmundo szedł w nowe ostrożnie: „Gdyby książka pisana była tylko po ‘mazahua’ i po polsku rozdział o zamordowaniu ‘Gringa’ zrozumieliby wnukowie tak jak trzeba”.

Maria DOBKOWA

Interesujące wydawnictwo

Kto miał okazję zetknąć się z publikacjami polskiego ośrodka wydawniczego „Éditions du dialogue”, mógł stwierdzić, że naresz-

cie coś się dzieje na emigracji w dziedzinie polskiej książki katolickiej — że nareszcie możemy mówić o instytucji wydawniczej katolickiej z prawdziwego zdarzenia i na europejskim poziomie. Nie można już tego powiedzieć dzisiaj o londyńskim „Veritasie”, który po długich latach żmudnych usiłowań wpadł w letarg i tym bardziej nie można uważać za ośrodki wydawnicze małych i chałupniczych warsztatików, które wydają jakąś gazetkę parafialną i jedną książeczkę co trzy lub cztery lata.

Les Editions du dialogue powstały kilka lat temu w Paryżu, z inicjatywy polskich księży pallotynów. Od samego początku swego istnienia zaskoczyły nas mile solidnością i poziomem swych wydawnictw. Dorobek ich kilku lat pracy jest pokaźny — 50 książek tak w języku polskim jak i francuskim, a wśród nich takie unikaty, jak pierwszy w dziejach Polski, łacińsko-polski mszał ołtarzowy i także dwujęzyczne wydanie krytyczne kompletu dokumentów ostatniego soboru powszechnego.

Znawcy sztuki drukarskiej i wydawniczej chwalą fachowość i stronę estetyczną publikacji — dobry papier, druk przejrzysty, bezbłędną korektę, obwoluty i okładki kolorowe itd.

Wydawnictwu jednak chodzi o coś ważniejszego, niż o nowocześniejszą prezentację książki. Katastrofalny wprost stan ilościowy i jakościowy współczesnej polskiej publicystyki katolickiej jest bolesnym symptomem niedorozwinięcia kulturalnego naszego katolicyzmu. Wynika on nie tylko z trudności stawianych przez komunistyczny reżym w kraju, ale z dziejowej tradycji. Katolicy nasi wolą sentyment i manifestacje zewnętrzne, niż solidność myśli i słowa. Stąd można było zawsze zauważyć chroniczny brak publicystów katolickich i co za tym idzie, brak zainteresowania słowem drukowanym, które rzadko wznosiło się na jakiś prawdziwy poziom. Nic w tym dziwnego, kiedy hołduje się takim absurdalnym hasłom, że w kraju o dużej ilości katolików nie potrzeba elit katolickich literacko-naukowych, ani kadr świeckich wyposażonych w solidną wiedzę teologiczną, bo tu wszystko może być urzeczywistnione „mózgami i rękami” samych księży. Ten krótkowzroczny i naiwny klerykalizm musi się źle skończyć dla samego Kościoła.

Tym brakiem usiłują zaradzić *Les Editions du dialogue*. Pragną one wyciągnąć polską publicystykę katolicką z marazmu — otworzyć przed nią okno na świat, gdzie tyle problemów nurtuje i pasjonuje ludzi — i równocześnie dać możliwość obcym, zapoznania się z naszą problematyką i naszymi wysiłkami.

W katalogu wydawnictwa z roku 1968 czytamy: „Celem naszym jest odpowiedzieć rzeczywistemu zapotrzebowaniu na książkę katolicką z prawdziwego zdarzenia... Celem naszym są wydawnictwa o charakterze katolickim, lub mówiąc ogólniej, o inspiracjach religijnych, zarówno w języku polskim jak francuskim... Zamierzamy ogłaszać książki o tematyce światopoglądowej, otwartej na zasadnicze sprawy człowieka współczesnego”.

W świetle tak sformułowanego celu przeprowadźmy teraz krótką analizę dotychczasowego dorobku „Wydawnictw dialogu”.

Dorobek ten możemy podzielić na dwa działy: Dział książek w języku polskim — i dział książek w języku francuskim.

1. Wydawnictwa w języku polskim

W tym dziale znajdujemy najpierw publikacje niektórych źródeł współczesnej myśli katolickiej:

„Nowy Testament” — w nowym tłumaczeniu ks. prof. E. Dąbrowskiego. Luksusowe wydanie „Tysiąclecia”.

„Mszał Rzymski” — prawdziwe arcydzieło sztuki wydawniczej.

„Sobór Watykański Drugi” — Konstytucje, dekryty, deklaracje. Tekst łacińsko-polski. Obszerny indeks rzeczowy. Oprawa płocienna, obwoluta złożona.

Trzy encykliki ostatnich dwóch papieży: *Mater et Magistra*, *Pacem in terris*, *Ecclesiam suam*. Dobre tłumaczenie z obszernym komentarzem, który nawiązując do przeszłości stara się podkreślić rozwój społecznej nauki Kościoła.

Do źródeł — ale tym razem polskich — należy zaliczyć trzy tomy kazań i przemówień Ks. Kard. Wyszyńskiego z okazji obchodów tysiąclecia chrześcijaństwa w Polsce. Czytelnik łatwo może zdać sobie sprawę z tematyki, perspektywy i uczuciowej intensywności obchodów. Szkoda, że nie wydano choćby jednego tomu przemówień innych biskupów polskich, bo mielibyśmy wtedy bardziej całościowy pogląd na stanowisko naszej hierarchii w tym dziejowym momencie naszej historii.

Druka kategoria działu polskiego obejmuje poważniejsze rozprawy i eseje pisarzy polskich na tematy religijne. Pośród nich można wyróżnić trzech autorów:

Prof. St. Jarocki, *Katolicka nauka społeczna*. Książka imponuje erudycją i zebraniem materiałem, oraz całościowym ujęciem rozległej problematyki.

„Pocztą Ojca Malachiasza” — przedruk z krakowskiego Tygodnika Powszechnego. Zbiór krótkich odpowiedzi na konkretne pytania życia codziennego w jego relacji do religii.

„Pius Rast i Józef Sadzik, Wincenty Pallotti” — książka-album o wysokim poziomie artystycznym, na temat apostoła prasy katolickiej i założyciela stowarzyszenia księży pallotyńów.

Do trzeciej kategorii zaliczymy tłumaczenia z obcych języków (z francuskiego i niemieckiego). Tutaj tematyka jest bardziej światopoglądowa, jak na to wskazują choćby następujące tytuły:

Robert Coffy, *Bóg niewierzących*; Etienne Borne, *Bóg nie umarł*; Paul Chauchard, *Nauka i wiara*; René Le Trocquer, *Kim jestem ja — człowiek?*

Do czwartej kategorii zaliczymy dwa wydawnictwa periodyczne na dobrym poziomie popularyzatorskim:

Miesięcznik „*Nasza Rodzina*” i „*Rocznik Naszej Rodziny*”. Na specjalną uwagę zasługuje przede wszystkim „*Rocznik N.R.*” jak o tym świadczą jego tytuły: „*Kościół w dobie Soboru*” 1967;

„Panorama Emigracji polskiej” 1968; „Losy emigrantów w literaturze polskiej” 1969.

2. Wydawnictwa w języku francuskim

Ten dział interesuje nas nie mniej niż pierwszy, bo chcielibyśmy wiedzieć, czym wydawcy „karmią” naszych sąsiadów i przyjaciół? Dział ten możemy podzielić na dwie części: Pierwsza, autorzy polscy w tłumaczeniu francuskim — druga, autorzy francuscy.

Z autorów polskich wybrano przede wszystkim profesorów, znawców filozofii tomistycznej, obowiązującej aż do ostatniego soboru, w Kościele katolickim. Spotykamy się więc z ks. prof. J.-M. Bocheńskim z Fryburga szwajcarskiego „Vers la pensée philosophique”. Jest to dziesięć ciekawych pogadanek radiowych na temat zasadniczych pojęć filozoficznych. Siłą rzeczy autor nie może w nich dać pełnego wymiaru swej myśli filozoficznej, ale stwierdzamy z przyjemnością, że umie w doskonały sposób popularyzować najbardziej abstrakcyjne pojęcia. Dalej, prof. J. Kalinowski, *Initiation à la philosophie morale*; bardzo dobre wprowadzenie w filozofię moralności. Sposób może za bardzo podręcznikowy nasuwa przypuszczenie, że zainteresują się nią przede wszystkim uczniowie.

Prof. J. Kalinowski i Świeżawski, *La Philosophie à l'heure du Concile*; jest to rozmowa dwóch myślicieli na temat kryzysu i odnowy filozofii scholastycznej w dobie soboru.

Prof. M.-A. Krąpiec, *Pourquoi le mal?* Metafizyk uniwersytetu katolickiego w Lublinie stara się rzucić światło na nierozwiązalny problem istnienia zła na świecie.

Editions du dialogue eksportują więc „polski” tomizm!

Obok powyższej tematyki filozoficznej, wydano również znaną książkę Kard. K. Wojtyły, *Miłość i odpowiedzialność* — „*Amour et responsabilité*”, oraz antologię współczesnych pisarzy polskich o inspiracji katolickiej: „*A l'ombre de leur Dieu*” *Anthologie du récit polonais* (M. Dąbrowska, K. Koniński, J. Zawieyski, K. Pruszyński, A. Gołubiew, J. Andrzejewski, J. Dobraczyński, H. Malewska, W. Żukowski, L. Elektorowicz, J. Krzysztoń).

Życzymy wydawcom rozszerzenia tematyki i wciągnięcia także innych autorów polskich w krąg ich zainteresowań.

W drugiej części działu książki francuskiej znajdujemy 11 pozycji autorów francuskich.

Celem tego pobieżnego przeglądu było zaznajomienie czytelników „Kultury” z poważnym i zasługującym na poparcie polskim ośrodkiem wydawniczym na emigracji.

J. St. PODBORSKI

Nadeślane nowości wydawnicze

- CATTI DE GASPERI (Maria Romana). *De Gasperi — Polityk i człowiek*. Przekł. z włoskiego Antoni Czułowski. Str. 297 i 3 nłb. (Wyd. ODNOWA, Londyn, 1968).
- MARCINKIEWICZ (Jan). *Reportaże i wspomnienia*. Na prawach rękopisu. Powielacz. Str. 129. (Nakł. autora, Londyn, 1968).
- LIDER (Julian). *Problemy integracji wojskowej na Zachodzie*. Z indeksem osób i nazw geograficznych. Str. 400. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1968, cena zł. 50).
- JASTRZĘBSKI (Włodzimierz). *Hitlerowskie wysiedlenia z ziem polskich wcielonych do Rzeszy. 1939-1945*. Str. 142 i 2 nłb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1968. T. IX „Badań nad okupacją niemiecką w Polsce”. Cena zł. 25).
- Badania socjologiczne na Ziemiach Zachodnich*. Materiały z konferencji w Poznaniu w dniach 1 i 2 marca 1968 r. Varityper. Str. 146. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1968).
- PORETSKI (Elisabeth K.). *Les nôtres. Vie et mort d'un agent soviétique*. Traduit de l'anglais par Olivier Simon. Str. 304. (Ed. De-noël, 1969, Fr. 22,70).
- WYRWA (Tadeusz). *Le Mexique*. Préface de Georges Langrod. Str. 367 et 1 nłb. (Wyd. R. Pichon & R. Durand-Auzias, Paris, 1969).
- Pour un droit juste et une gestion moderne*. Melanges Georges Langrod. Témoignages, Recherches: administratives, juridiques, historiques, offerts par ses anciens élèves à l'occasion de son 65^e anniversaire. (Wyd. Ed. Serpic France-Sélection, Paris, 1969).
- MORRISON (James F.). *The Polish People's Republic*. Str. 160. (Wyd. The Johns Hopkins Press, Baltimore, Md, USA, October 1968, cena dol. 2,95).
- LANDSBERGIS (Algirdas). *Five Posts in a Market Place*. Str. 76 i 2 nłb. (Wyd. Maryland Books, New York, Jan. 1969, dol. 4,00).
- Fifty Years of Communism in Russia*. Edited with an introduction by Milorad M. Drachkovitch. Str. 316. (Wyd. Pennsylvania State University Press, University Park, Pa, March 1969, London Office: 27 Whitfield Str., London, W.1., cena 71 sh 6 d. (dol. 7,50)).
- The Israel Year Book 1969*. Str. 327. (Wyd. Israel Yearbook Publications, Ltd. The Jewish Agency, Tel-Aviv).
- KRYCHOWSKI (T. W.). (Redaktor). *Polish Canadians*. Profile and Image. Praca zbiorowa: 6 esejów w jęz. angielskim, streszczenia w jęz. francuskim. Str. 111 i 1 nłb. (Wyd. Kongres Polonii Kanadyjskiej Polsko-Kanadyjski Instytut Badawczy, Toronto, 1969).
- Slavica Canadiana A.D. 1967*. Compiled by Jaroslav B. Rudnykyj in co-operation with J. Kirschbaum and T. W. Krychowski. Slavistica No 63. Str. 64. (Wyd. The Polish Canadian Research Institute and Ukrainian Free Academy of Sciences, Winnipeg, 1968).
- JUDEK (Stanisław). *Women in the Public Service*. Their utilization and employment. Str. 142. (Wyd. Economics and Research Branch Canada Department of Labour, Ottawa, 1968).
- DANILEWICZ (M. I.). „*The King of the New Israel*”: Thaddeus Grabianka (1740-1807). Str. 49-73. (Odbitka z „Oxford Slavonic Papers, New Series, Vol. I. 1968, Oxford).
- LERSKI (George J.). *The Pakistan-American Alliance: a Reevaluation of the Past Decade*. Str. 400-415. (Odbitka z „Asian Survey, Vol. VIII., No 5, May 1968).

Humor krajowy

Rozmowa w warszawskiej taksówce (autentyczne)

Taksówkarz: — Oj, źle się w tej Polsce dzieje, a głupi ten nasz naród, a głupi!

Pasażer (słabo protestuje, a nawet usiłuje bronić).

Taksówkarz: — Panie, pan jesteś młody, to nie pamiętasz! Przed wojną to się u nas krzyczało: „Żydy na Madagaskar!” — No i co nie głupi my? — Samemu trzeba było jechać!...



Do leżącego na trotuarze pijaka podchodzi milicjant:

— Ty, urzędniku!

— Ja Bożę kocham, panie władza — katolik!



— Jakie było najtragicznie powstanie w Polsce?

— Powstanie Polski Ludowej.



— Za co Gomułka dostanie medal Olimpijski?

— Za rzut Kociołkiem z Warszawy do Gdańska...



— Co to był soc-realizm?

— Formalistyczno-abstrakcyjna deformacja rzeczywistości.



— Kiedy Sowietci wycofają się całkowicie z Czechosłowacji?

— Jak znajdą tego, kto ich wezwał.

Elegia marcowa

W styczniowe wieczory,
Pod Wieszcza pomnikiem,
Spotykał się Dajan
Z Adamem Michnikiem...

Hymn pomarcowy

Myśl naszą dławia konfiskaty,
Olszowski wiesza na nas psy,
Przepraszam bardzo, czy nie wie Pan przypadkiem,
Kiedy nadejdzie dzień zapłaty?
Ewentualnie — Czy sędziami będziemy my?

Odpowiedzi Radia Erywań

— Czy w komunizmie generałowie będą nosili papachy?

— Nie, bo pogłowie baranów będzie mniejsze od pogłowia generałów...



— Dlaczego Josifa Wissarionowicza Stalina wyrzucono z Mauzoleum?

A jeżeli go już wyrzucono to dlaczego pogrzebano go tak blisko?

— Po pierwsze — Mauzoleum to nie obszczeżenie, a po drugie: dwudziesty

Zjazd to nie był ostatni zjazd...

Z manifestacji I-szomajowej

Chór: — Wolności! Podaj mi skrzydła!

Wolność: — Nie mogę, bo się pierzę!

K U P L E T Y

(które krążyły w Warszawie w czasie między interwencją w Czechach
a zjazdem Partii w 1968 roku)

Na początku był Gomułka

Potem jednorodna spółka...

Długo wciąż ta sama spółka

Dziś jest spółka plus Gomułka

Bardzo się tam Chruszczow stara

By z Gomułki mieć Kadara

I niejeden w KC wzdycha

Za pol-procesem Harricha

Inni mają tęgie szyszki

A nas stać tylko na Kliszki!

I choć prawda całkiem brzydka

To nie Kliszka, lecz odbitka!

Gdy chcesz spokój mieć od rana

Zmień Matwina na Kasmana

Bo takiego wszak organu

Żąda „polska racja stanu”

Jedni na mnie z wielkim krzykiem

Że ja jestem katolikiem

A ja w marksizm całkiem szczerze

Jak wierzyłem, tak i wierzę

Bo to właśnie polska droga

Z uwzględnieniem Pana Boga

Jak z „Po Prostu” nie da rady

To pałki nie od parady

Byli Żydzi i cykliści

Teraz są rewizjoniści

Drż w posadach Polska cała

Kto nie z Miciem — temu biada

By zaś wzmocnić te posady

W Kołakowskich wymierz szpady

Gdy z wojami Moczar hasa

Wrogiem znów się stała prasa

Więc tańczą zgodnym szykiem

„Narodowiec” z dogmatykiem

Gdy ze Zjazdu powrócimy

Naród znów za pysk chwycimy

Taka będzie misja spółki

Już pod przewodem Gomułki

(refren)

— Trudno, ucha-cha, trudno, ucha-cha

Potem jednorodna spółka...

— refren (z powtórzeniem drugiego
wiersza)

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno ucha-cha, trudno
że Bieńkowski katolikiem!

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha, trudno, ucha-cha
Teraz są rewizjoniści,

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

— Trudno, ucha-cha...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

19 stycznia 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pozwalam sobie uzupełnić artykuł pana Andrzeja Chciuka (*Kultura* nr 256/257) o zmianie nazwisk. Będąc przedmiotem dziwnego zainteresowania polskich ambasad po obu stronach Atlantyku, zostałem zmuszony do zmiany nazwiska. Sądzę, że warto było wspomnieć o tym w artykule pana Chciuka.

Łączę wyrazy poważania,

Maciej GRUBY

Nowy Jork, 25 lutego 1969 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Jeszcze raz korzystając z gościnnych łamów *Kultury* i uzupełniając, a raczej precyzując apel p. Józefa Bispinga (*Kultura*, nr 254) w sprawie zebrania danych o działalności ppłk. Jerzego Dąmbrowskiego-Łupaszkii zarówno w okresie 1918-20, jak i w 1939 roku, pozwalam sobie zasugerować wszystkim, którzy mogliby udzielić o Pułkowniku jakichś wiadomości, o nadsyłanie ich do Instytutu Piłsudskiego w Ameryce, by ewentualny przyszły autor monografii o nim miał wszystkie materiały zgrupowane w jednym miejscu.

Z takimże apelem zwracam się do osób posiadających wiadomości o innym, również zasługującym na specjalną monografię, bohaterze z okresu ostatniej wojny, który odegrał w naszym podziemiu jedną z pierwszych ról. Mam na myśli śp. generała Emila Fieldorfa-Nila, niewinnie straconego z wyroku sądu „polskiego” w dniu 24 lutego 1953 roku, po pięciu latach rehabilitowanego, gdyż, jak stwierdził tym razem sąd „obciążające Fieldorfa zeznania zostały wymuszone drogą stosowania niedozwolonych metod przez prowadzących śledztwo oficerów b. M.B.P.”.

Niestety, jak o tym wspomina Pobóg-Malinowski w swojej „Historii”, ta „jedna z najpiękniejszych postaci żołnierskich w A.K.”, jak dotychczas, została dziwnie przemilczana i rola gen. Fieldorfa w funkcjonowaniu władz Polski podziemnej została otoczona „zmową milczenia”.

Tak się złożyło, że zarówno gen. Fieldorf, jak ppłk. Dąmbrowski byli moimi przyjaciółmi, rodziny ich są w kraju i nie mogą same nie zdziałać w tej sprawie, czuję się więc upoważnionym i zobowiązanym je tu zastąpić.

Gen. Fieldorf ma jedynie symboliczny grób na Powązkach, (reżymowa prokuratura nie mogła zwłok jego odszukać), ppłk. Dąmbrowski nie ma grobu w ogóle — zabezpieczmy więc chociaż dla potomnych pamięć o ich nieprzejętym udziale w walkach o wolność.

Wyrazy poważania łączę,

Bohdan KAWECKI

Nancy, 13 marca 1969.

Drogi Panie Redaktorze,

W nrze 3/258 *Kultury* p. Maria Danilewiczowa, w recenzji pod tytułem „Literatura polska w „Dictionnaires des Littératures” wysunęła szereg zarzutów i sugestij pod moim adresem. Zanim będę mógł szczegółowo (wyczerpująco a więc z konieczności długo) odpowiedzieć na nie, poddaję pod rozagę licznych czytelników *Kultury* rozsianych po świecie, nie zawsze mogących sprawdzić kto ma rację w tym sporze literackim, następujące fakty:

Nie biorę odpowiedzialności za niżej wymienione hasła: 1) dotyczące piszących po francusku lub angielsku: Jan Potocki, Anna Langfus, Th. de Wyzewa, Natanson, Conrad-Korzeniowski; 2) redaktor całości, p. Philippe Van Tieghem, upoważniony na mocy kontraktu do skrótów lub uzupełnień dostarczonych mu tekstów, dodał z jakiegoś nieznanego mi źródła szereg hasseł pisarzy drugorzędnych lub trzeciorzędnych, z których niektórzy „wleźli jak Piłat w Credo”: Bielowski, Brodziński, A. T. Chlendorowski, Drużbacka, Garczyński, Gorecki, Grabowski, Kaczkowski, Kondratowicz (Syrokomla), Kaczkowski, Kaj, Koźmian, Fr. Morawski, H. Rzewuski, Skarbek a nawet pani Hańska; 3) o Putramencie i Parandowskim pisałem w tym, co p. Danilewiczowa nazywa „wspólnym grobem literatury współczesnej”; oddzielnie wprowadzone hasła należą do redaktora całości i tonem swym różnią się zasadniczo od mych ocen.

P. Danilewiczowa pisze: ... „już dziś zarysowuje się waga pewnych nazwisk. Ograniczę się do zmarłych: Bobkowski, Sułkowski, Naglerowa, Zahorska, Straszewicz”.

Stwierdzam że na str. 3101 poświęciłem cztery linie Sułkowskiemu, niezależnie od określenia, które sytuuje go wśród „współczesnych poetów o wielkim talencie”. Bobkowski zajmuje na str. 3106 dwanaście linii, Naglerowa (str. 3103) dziesięć linii, Straszewicz (str. 3106) jedenaście linii.

Pisze dalej recenzentka: „Upomnieć się też trzeba (przykładowo) o pominiętych zupełnie, nawet w wspólnym grobie literatury współczesnej: Janie Brzękowskim, Andrzej Chciuku, Leo Lipskim, Danucie Mostwin, Januszu Kowalewskim, Czesławie Dobku czy Tadeuszu Nowakowskim”. (Dotychczas upominało się o kogoś a nie o kimś — Z.M.). Jest prawdą, że na (około) 3500 linii poświęconych całej literaturze i kulturze polskiej (5 wieków), Janowi Brzękowskiemu przypadły jedynie dwie linie. Cytuję w przekładzie: „(ur. 1903-) najbardziej uzdolniony z surrealistów polskich, który kontynuuje we Francji swą działalność literacką”. Natomiast Tadeusz Nowakowski otrzymał piętnaście linii (str. 3104). Co do pozostałych, gdybym musiał wymienić „gros” członków Związku Pisarzy Polskich w Londynie, zostaliby przytłoczeni tysiącem literatów piszących w kraju (a niewymienionych). Poza tym w swej naiwności sędzę nadal, że *uważne* zapoznanie się z tekstem, który się omawia, jest *podstawowym* obowiązkiem recenzenta.

Na temat Broniewskiego pisze p. Danilewiczowa: „Broniewski jest dla autora „najlepszym wyrazicielem uczuć swych kompatriotów” (gdybym przekładał sam swój tekst napisałbym „rodaków” — Z.M.), co zostawiam bez komentarza”.

Niestety z dziewięciu linii poświęconych poecie przytoczono jedynie to określenie, odcinając je od poprzedzających a także od następującego bezpośrednio, które brzmi (przycząkam w polskim przekładzie): „Jego tomik „Bagnet na broń” (1943) zapewnił mu olbrzymi sukces”.

Odparowując cios, stosowany czasem przez polemistów, wolę również nie komentować metody zastosowanej przez recenzentkę.

Łączę wyrazy szacunku,

Zygmunt MARKIEWICZ

Rzym, 8 marca 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W trzynastym numerze „Zeszytów Historycznych” zamieścił Pan moje uwagi w związku z niektórymi ustępami wydanego w kraju przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą dalszego ciągu wspomnień Wincentego Witosa pt. „Moja tułaczka 1933-1939”. Chodziło mi w nich o wyjaśnienie źródła zanotowanych przez Witosa pogłosek na temat zachowania się Zygmunta Zaremby w okresie walki, jaką jego partia prowadziła z reżymem sanacyjnym. Opierając się na relacjach Hermana Liebermana wykazałem, że uwłaczające czci Zaremby i mające go całkowicie zdyskredytować pogłoski pochodziły z Komunistycznej Partii Polski (KPP). Jej to przedstawiciele zaofiarowali Liebermanowi po znalezieniu się przezeń na emigracji po wyroku brzeskim dostarczenie odpowiednich dowodów, mających udowodnić utrzymywanie przez Zarembe podejrzanych stosunków z ówczesnym ministrem spraw wewnętrznych Kaweckim. W ciągu kilku lat mimo przynaglań ze strony Liebermana i wyznaczonych przez oskarżycieli różnych terminów, dowodów tych oni nie dostarczyli. Wówczas to Lieberman zerwał z nimi rozmowy, informując o faktycznym stanie sprawy tych wszystkich przyjaciół, których w dobrej wierze w nią wtajemniczył. Nie zdążył tego jednak uczynić wobec Witosa.

Ostatnio zapoznałem się z wydaną w Polsce przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (Warszawa 1968) książką Jana Tomickiego pt. „Norbert Barlicki 1880-1941”. Jest to rozprawa doktorska w seminarium prof. dr. Henryka Jabłońskiego na Uniwersytecie Warszawskim, obroniona w styczniu 1966. Promotorem pracy był więc aktywny członek przedwojennej PPS, należący do tej grupy jej członków, która po wojnie całkowicie poddała się pod kontrolę komunistyczną. Książka bardzo obficie udokumentowana, opiera się przeważnie na materiałach Centralnego Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (przedwojennego) oraz Archiwum Zakładu Historii Partii przy KC PZPR.

Poświęcono w niej sporo miejsca wewnętrznym walkom w łonie warszawskiej organizacji PPS, tocącym się między zwolennikami jednolitego frontu z komunistami pod przewodnictwem Barlickiego i przeciwnikami tej koncepcji, których reprezentowali m.in. Tomasz Arciszewski, Jan Kwapiński i Zygmunt Zaremba. W rozdziale dziesiątym zatytułowanym „Na drodze do jedności działania lewicy” zanotowano wystąpienie Zaremby w 1934 r. przeciwko projektowi wspólnej demonstracji pierwszomajowej razem z komunistami. Zacytowany w tym miejscu ustęp z Poufnego Komunikatu Informacyjnego Komitetu Rządu na m.st. Warszawę używa w stosunku do Zaremby określenia, iż w tym okresie stosunki jego z komuną „były jak najbardziej fatalne”. W tym miejscu autor książki na stronie 322 w przypisie zaznacza co następuje: „Wspomnijmy tu, że w tym czasie Zaremba był oskarżony przez KPP o współpracę z kontrwywiadem sanacyjnym. *Zarzutu tego KPP nie potrafiła jednak udowodnić*” (podkreślenie moje).

W ten sposób i koła komunistyczne po latach potwierdziły bezpodstawność, stawianych w swoim czasie Zarembie zarzutów. Krok ten, chociaż tak późno i mimochodem dokonany, stanowi pośmiertne zadośćuczynienie śp. Zygmunta Zaremby. Wydaje mi się wskazane, by o tym fakcie poinformować tych wszystkich, którzy znali śp. Zarembe i którym drogą jest cześć i pamięć tego zasłużonego przewodcy Polski Podziemnej.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy szacunku i poważania,

Karol POPIEL

Otrzymaliśmy listy solidaryzujące się ze stanowiskiem p. S. Mękarskiego (list do Redakcji, zamieszczony w Nrze 1/256-2/257, ze stycznia rb.) od pp.: dr. St. Mgleja (ostatnio dokooptowany członek Rady Trzech Zjednoczenia Narodowego), L. de Laveau (B. d-ca P.O.W. Okręgu Lwowskiego i obrońca Lwowa z 1918 r.), Damiana Wandycza (dyr. Polskiego Instytutu Naukowego w New Yorku) oraz Zdz. Budynia (z Australii).

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

PRZEDSTAWICIELSTWA
Egz poj.
Prenumerata
1/2-roczna
Roczna

AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien 1, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a	280 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	30.000 F. b.	560.00 F. b
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; B. Krasuski, 857 King St W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikleciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping C*, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N* Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book C* 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Poeyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal.90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12 00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty portu 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.**

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 167 — SERIA „DOKUMENTY”

WYDARZENIA MARCOWE 1968

Wybór dokumentów
z przedmową prof. Zygmunta Baumana

Str. 160.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,75)



TOM 170 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘTNASTY

zawiera m.in.:

POWSTANIE WARSZAWSKIE W OBCYCH OCZACH

DZIENNIK DZIAŁAŃ NIEMIECKIEJ 9 ARMII
WSPOMNIENIA MARSZ. K. ROKOSSOWSKIEGO
I SKOCZKA SOWIECKIEGO W WARSZAWIE

Str. 256.

Cena egz. 17,50 F. (dol. 4,00)



TOM 172 — SERIA „DOKUMENTY”

POLSKIE PRZEDWIOŚNIE

**WYDARZEŃ MARCOWYCH TOM II
CZECHOSŁOWACJA**

W przeciwieństwie do pierwszego tomu, w którym przeważały rezolucje i ulotki, tom II zawiera gruntowniejsze i głębsze uzasadnienia rewolty marcowej. Książkę wzbogaca dodatkowo niezmiernie ciekawy wybór czechosłowackich dokumentów studenckich i pokrewnych.

Str. 160.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,75)

Cena 5,00 F